

W.SOMERSET MAUGHAM
KSIĘŻYC I MIEDZIAK

Państwowy Instytut Wydawniczy

W. Somerset Maugham

Księżyc i miedziak

przełożyła
Jadwiga Olędzka

Państwowy Instytut Wydawniczy

Tytuł oryginału angielskiego «THE MOON AND SIXPENCE»

Okładką i obwolutę projektował

JAN BOKIEWICZ

PRINTED IN POLAND

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1974 r.

Wydanie drugie

Nakład 30 000+290 egz. Ark. wyd. 12 Ark. druk. 14

Papier mat. ki. III 65 g form. 82X104/32

Oddano do składania w październiku 1973 r.

Podpisano do druku w marcu 1974 r.

Druk ukończono we wrześniu 1974 r.

Poznańskie Zakłady Graf. M. Kasprzaka — Poznań

Nr zam. 9210/73 — W-117/272

Cena zł 25.—

I

Przyznaję, że kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Karola Stricklanda, ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy, że jest w nim coś nieprzeciętnego. A dziś niewielu znajdzie się ludzi, którzy przeczyliby jego wielkości. Nie mówię oczywiście o wielkości, jaka staje się udziałem obdarzonego szczęściem polityka lub zwycięskiego żołnierza. Wielkość tego rodzaju związana jest raczej z pozycją człowieka niż z nim samym; zmienione okoliczności redukują ją do bardzo ograniczonych wymiarów. Premier poza swoim urzędem okazuje się nazbyt często niczym więcej niż pompacyjnym gadułą, a generał bez armii to tylko bohater prowincjonalnego miasteczka. Wielkość Karola Stricklanda nie budzi wątpliwości. Można nie być wielbicielem jego sztuki, trudno jednak przejść obok niej bez zainteresowania. Jest w tym malarzu coś niepokojącego i przyciągającego uwagę. Minęły czasy, gdy był on przedmiotem drwin. Stawać w jego obronie — to już nie oznaka ekscentryczności, a wychwalać go pod niebiosy — to nie dowód wypaczonego smaku. Błędy jego przyjmowane są jako konieczne uzupełnienie jego zalet. Można jeszcze dyskutować nad miejscem Stricklanda w sztuce; pochlebstwa wielbicieli jego talentu są może w równej mierze wyrazem osobistych upodobań co lekceważące uwagi krytyków. Ale jedno jest niewątpliwe, a mianowicie, że to był geniusz. Moim zdaniem najciekawszym elementem w sztuce jest osobowość artysty. A jeśli posiada on wyjątkową osobowość,

gotów jestem wybaczyć mu tysiące wad. Przypuszczam, że Velasquez był lepszym malarzem niż El Greco, lecz ustalona tradycja gasi w nas nadmierny zachwyt dla tego malarza. Kreteńczyk natomiast, pełen tragizmu i zmysłowości, składa światu tajemnicę swego ducha niby całopalną ofiarę. Artysta: malarz, poeta, muzyk — swoją sztuką wzniosłą czy piękną zadowala zmysł estetyczny; zmysł ten jest pokrewny instynktowi seksualnemu i równie jak on pierwotny; artysta więc ofiarowuje nam dar największy: samego siebie. Odkrywanie tajemnic jego geniuszu ma w sobie coś równie fascynującego jak czytanie powieści detektywistycznej. Jest to zagadka, która tak samo jak zagadka wszechświata pozostaje nierozwiązana. Najmniej ważne z dzieł Stricklanda noszą piętno jego indywidualności — niezwyklej, skomplikowanej, udręczonej. Ona właśnie sprawia, że nawet ci, którzy nie lubią jego obrazów, nie mogą być wobec nich obojętni. Ona wzbudza tak żywe zainteresowanie jego życiem i osobą.

Dopiero w cztery lata po śmierci Stricklanda Maurycy Huret opublikował w „Mercure de France” artykuł, który wydobył nieznanego malarza z mroków zapomnienia i wytyczył szlak, którym poszli mniej lub bardziej chętnie inni pisarze. Przez długi czas żaden krytyk nie cieszył się we Francji równie bezspornym autorytetem; nie sposób było nie ulegać sądom, które głosił Huret. Wydawały się one co prawda przesadne, lecz późniejsze opinie potwierdziły ocenę Hureta i sława Karola Stricklanda jest obecnie mocno utrwalona na fundamentach, które on położył. Geneza tej sławy to jedno z najbardziej romantycznych wydarzeń w historii sztuki. Nie zamierzam jednak zajmować się dziełem Stricklanda bliżej, niż dotyczy to jego osobowości. Nie mogę zgodzić się z malarzami, którzy głoszą zrozumiałe, że laik nie potrafi nic pojąć, jeśli idzie o malarstwo i że najlepszym dowodem uznania dla dzieł artystów jest milczenie i książeczka czekowa. To przecież śmieszne nieporozumienie widzieć w sztuce kunszt zrozumiały w pełni jedynie przez artystę. Sztuka jest przejawem uczuć, a uczucie przemawia językiem zrozumiałym dla każdego. Skłonny jestem przyznać, że krytyk nie posiadający praktycznej znajomości tech-

niki malarskiej rzadko może powiedzieć coś na temat istotnej wartości obrazu, moja zaś ignorancja w dziedzinie malarstwa jest wprost niebywała. Na szczęście nie potrzebuję porywać się na to przedsięwzięcie, gdyż przyjaciel mój, pan Edward Leggati, zdolny pisarz i równie zdolny malarz, wyczerpująco omówił twórczość Karola Stricklanda w niewielkiej książeczce, która stanowi głównie uroczy przykład formy literackiej, uprawianej z mniejszą finezją w Anglii niż we Francji.

Maurycy Huret w owym słynnym artykule dał szkic życia Karola Stricklanda, dobrze obliczony na podsycenie apetytu ciekawego czytelnika. W swej szlachetnej namiętności dla sztuki pragnął on szczerze zwrócić uwagę znawców na talent w najwyższym stopniu oryginalny. Był jednak zbyt wytrawnym dziennikarzem, by nie zdawać sobie sprawy, że „zainteresowanie człowiekiem” ułatwi mu bardzo osiągnięcie zamierzonego celu. Istotnie, gdy ci, co kiedykolwiek zetknęli się ze Stricklandem — pisarze, dawni znajomi z Londynu, artyści, którzy spotykali go w kawiarniach na Montmartrze — odkryli ze zdumieniem, że człowiek, w którym oni widzieli przeciętnego, nie znanego nikomu malarza, był prawdziwym geniuszem, żyjącym wśród nich, w czasopiśmie francuskich i amerykańskich ukazał się szereg artykułów — wspomnień lub ocen — które rozślawiły Stricklanda i podsyciły, nie zadowalając jej, ciekawość czytelników. Temat był wdzięczny. Dociekliwy Weitbrecht-Rotholz w swojej imponującej monografii mógł podać długą listę autorytetów interesujących się tym malarzem.

Skłonność do mitologizowania jest rodzajowi ludzkiemu wrodzona. Rzuca się on chciwie na wszelkie wypadki niezwykle lub tajemnicze w karierze tych, co wyróżnili się w jakiś sposób spośród swoich bliźnich, i tworzy legendę, z którą łączy się później fanatyczna wprost wiara. Jest to protest romantyzmu przeciwko popolitości życia. Wydarzenia, o których mówi legenda, stają się dla jej bohatera paszportem do nieśmiertelności. Ironiczny filozof stwierdza z uśmiechem, że sir Walter Raleigh pewnie utrwalił się w pamięci ludzkiej tym, że rzucił swój płaszcz pod nogi Królowej-

Dziewicy, niż tym, że rozślawił imię Anglii po nieznanym krajach. Karol Strickland żył zapomniany. Miał raczej wrogów niż przyjaciół. Nic dziwnego więc, że ci, którzy o nim pisali, uzupełniali bujną fantazją swe nikłe wspomnienia, i oczywiście jest, że w tym skąpym materiale znalazło się dość możliwości dla pisarza-romantyka. W życiu Stricklanda dużo było rzeczy dziwnych i przerażających, w jego charakterze — coś odpychającego, a w jego losach — niemało żalonych momentów. Po pewnym czasie z tych nielicznych szczegółów powstała legenda, którą mądry historyk wahałby się atakować.

Czcigodny Robert Strickland nie jest jednak mądrym historykiem. Napisał on biografię swego ojca zaznaczając otwarcie, że czyni to w tym celu, by „obalić pewne błędne sądy, które się rozpowszechniły” na temat ostatniego okresu jego życia i które „osobom żyjącym jeszcze sprawiły wiele przykrości”. Oczywiście wiele z tego, co było ogólnie wiadome o życiu Stricklanda, musiało wprawiać w zakłopotanie szanującą się rodzinę. Czytając to dzieło ubawiłem się niezgorzej i pogratulowałem sam sobie, gdyż jest ono nudne i bezbarwne. Pan Strickland skreślił portret idealnego męża i ojca, człowieka o łagodnym usposobieniu, pracowitych nawykach i moralnej postawie. Współczesny duchowny, studiując wiedzę, która, o ile wiem, zwie się egzegezą, osiąga zadziwiającą łatwość wyjaśniania różnych rzeczy, lecz zręczność, z jaką czcigodny Robert Strickland „interpretuje” te wszystkie fakty z życia ojca, których oddany syn uznał za właściwe nie pamiętać, gdyż mogłyby okazać się niewygodne, z pewnością doprowadzi go z biegiem czasu do najwyższych kościelnych godności. Widzę już jego muskularne łydki obciążone w biskupie getry. Było to ryzykowne, choć może i odważne posunięcie, możliwe bowiem, że powszechnie przyjęta legenda miała niemały wpływ na wzrost sławy Stricklanda. Wielu ludzi pociągnęła do jego sztuki odraza, jaką budził jego charakter, lub współczucie, jakie wywołała w nich jego śmierć. Pełne najlepszej woli wysiłki syna ochłodziły więc poważnie wielbicieli ojca. Nie jest dziełem przypadku, że kiedy jeden z jego najlepszych obrazów, *Samarytanka*¹, wystawiony

¹ Obraz ten został opisany w katalogu Christie w sposób następujący: „Naga kobieta, mieszkanka Wysp Towarzyskich, leży na ziemi obok strumienia. Tło tworzy krajobraz tropikalny z palmami, bananami itp. Wymiary 60 cali X 48 cali.” (Przyp. aut.)

został na sprzedaż z licytacji u Christie wkrótce po dyskusji, jaką wywołało ogłoszenie drukiem biografii pana Stricklanda, obraz ten uzyskał cenę dwieście trzydzieści pięć funtów mniejszą niż przed dziewięciu miesiącami, kiedy to kupił go wybitny kolekcjoner, po którego śmierci obraz znalazł się znów pod młotkiem licytatora. Możliwe, że talent i oryginalność Karola Stricklanda mogłyby nie wystarczyć dla podtrzymania jego pozycji, gdyby niezwykła właściwość skłaniająca ludzi do tworzenia mitów nie odrzuciła niecierpliwie książki, która nie zaspokajała ich tęsknoty za tym, co niezwykle. Wydana wkrótce potem przez dra Weitbrechta-Rotholza monografia uspokoiła ostatecznie obawy wszystkich miłośników sztuki. Dr Weitbrecht-Rotholz należy do szkoły historyków, głoszącej, że natura ludzka jest nie tylko tak zła, jak tylko być potrafi, lecz jeszcze o wiele gorsza. Oczywiście czytelnik znajdzie pewniejszą rozrywkę czytając ich dzieła niż dzieła pisarzy znajdujących złośliwą przyjemność w przedstawianiu romantycznych bohaterów jako wzorów cnót domowych. Jeśli o mnie chodzi, to odczuwałbym żal na myśl, że Antoniusza i Kleopatry łączyły jedynie sprawy ekonomiczne. I trzeba by o wiele więcej dowodów, niż można ich chyba będzie, dzięki Bogu, kiedykolwiek przedstawić, by przekonać mnie, że Tyberiusz był władcą równie nieskazitelnym jak król Jerzy V. Dr Weitbrecht-Rotholz rozprawił się z niewinną biografią pióra czcigodnego Roberta Stricklanda w taki sposób, że trudno nie współczuć nieszczęsnemu pastorowi. Jego skromna powściągliwość napiętnowana została jako hipokryzja, jego wymijające omówienia nazwano otwarciem kłamstwami, a przemilczenia — oszustwem. I na podstawie tych grzechów, karygodnych u autora, lecz wybaczalnych u syna, cały naród angielski został oskarżony o pruderię, oszukaństwo, chępliwość,

podstępność, chytryść i złą kuchnię. Osobiście uważam, że było nierozważną ze strony pana Stricklanda zaprzeczać wersji, która zyskała już wiarę, o pewnych „nieporozumieniach” pomiędzy jego ojcem a matką, i stwierdzać, że Karol Strickland w liście pisanym z Paryża nazwał ją „wspaniałą kobietą”, skoro dr Weitbrecht-Rotholz mógł opublikować *facsimile* tego listu, z którego wynika, że wspomniany ustęp brzmi naprawdę, jak następuje: „Do diabła z moją żoną! To wspaniała kobieta! Niech ją piekło pochłonie!” Nie w ten sposób Kościół w dniach swej wielkości załatwiał się z niewygodnymi dla siebie dowodami.

Dr Weitbrecht-Rotholz był entuzjastycznym wielbicielem Karola Stricklanda, lecz nie ma tu mowy o wybielaniu. Nieomylnym okiem wykrywał motywy postępowania mającego wszelkie pozory niewinności. Był psychopatologiem i badaczem sztuki, a podświadomość niewiele miała dla niego tajemnic. Żaden mistyk nie dojrzał głębszego znaczenia w sprawach najzwyczajniejszych. Mistyk widzi rzeczy niewyraźne, a psychopatolog — te, o których się nie mówi. Jest coś szczególnie fascynującego w obserwowaniu gorliwości, z jaką ów uczony autor wyszukuje każdą okoliczność, która mogłaby zdyskredytować jego bohatera. Serce w nim taje, kiedy może przytoczyć jakiś przykład okrucieństwa czy podłości, i cieszy się jak inkwizytor podczas auto *da fé* heretyka, kiedy jakimś zapomnianym szczegółem może podważyć synowską cześć czcigodnego Roberta Stricklanda. Wykazuje zdumiewającą dociekliwość. Najmniejsza rzecz nie uszła jego uwadze i możecie być pewni, że jeśli Karol Strickland zostawił nie zapłacony rachunek z pralni, będzie on wam podany *in extenso*, a jeśli zapomniał oddać pożyczone pół korony, żaden szczegół tej sprawy nie będzie pominięty.

II

Tak dużo napisano już o Karolu Stricklandzie, że może wydać się niepotrzebne, bym ja jeszcze pisał o nim. Pomnikiem malarza jest jego dzieło. Co prawda znałem go bliżej niż inni. Zetknąłem

się z nim po raz pierwszy, zanim jeszcze został malarzem, i widywałem go często podczas ciężkich lat, które spędził w Paryżu. Nie sądzę jednak, bym spisał kiedykolwiek moje wspomnienia, gdyby wypadki wojenne nie zagnały mnie na Tahiti. Tam, jak wiadomo, Strickland spędził ostatnie lata swego życia. I tam spotkałem ludzi, którzy znali go blisko. Wydaje mi się, że mogę rzucić nieco światła na ten najmniej znany okres jego tragicznych losów. Jeśli ci, co wierzą w wielkość Stricklanda, mają rację, wspomnienia człowieka, który znał go osobiście, nie mogą się wydać zbyt cenne. Ileż byśmy dali za wspomnienia kogoś, kto był w tak bliskim kontakcie z El Grekiem, jak ja ze Stricklandem!

Nie szukam jednak usprawiedliwienia w tego rodzaju wy-mówkach. Nie pamiętam, kto to zalecał ludziom, by dla dobra swej duszy robili codziennie dwie rzeczy, których nie lubią. Był to mądry człowiek i przestrzegam jego rady skrupulatnie: co dzień bowiem wstaję i co dzień kładę się spać. W naturze mojej leży jednak skłonność do ascetyzmu i co tydzień poddaję też moje ciało surowszemu umartwieniu. Nigdy nie zaniedbuję przeczytania „Times Literary Supplement”. To zbawienne ćwiczenie zastanawiać się nad tak olbrzymią ilością napisanych książek, nad pięknymi nadziejami, jakie ich autorzy wiążą z ukazaniem się tych dzieł w druku, i nad losem, jaki ich czeka. Jaką szansę ma któraś z tych książek, by wysunąć się na czoło w ogromnej masie? A poczytne utwory cieszą się poczytnością przez jeden zaledwie sezon. Bóg jeden wie, ile namęczył się autor, ile zniósł gorzkich doświadczeń i ile wycierpiał, by dać czytelnikowi możliwość parogodzinne-go wytchnienia lub skrócenia nudów podróży. O ile mogę sądzić na podstawie recenzji, wiele z tych książek napisanych jest dobrze i starannie. Wiele myślano nad ich kompozycją. W niektóre włożono nawet gorliwy trud całego życia. Wyciągam z tego morał, że pisarz powinien szukać nagrody w przyjemności, jaką daje mu pisanie, i w uldze, jaką odczuwa pozbywając się ciężaru własnych myśli. Obojętny na wszystko inne, niech nie dba o pochwały czy krytykę, niepowodzenie czy sukces.

Wraz z wojną zmienił się sposób myślenia. Młodzi znaleźli bogów, których my dawniej nie znaliśmy, i można już dostrzec kierunek, w którym pójdą ci, co przyjdą po nas. Młodsze pokolenie, świadome swej siły, głośnie i hałaśliwe, przestało pukać do drzwi. Wtargnęło do wnętrza i zajęło nasze miejsca. Wszędzie rozbrzmiewają jego okrzyki. Niektórzy starsi, naśladowując błazeńskie zachowanie młodzieży, usiłują przekonać samych siebie, że ich czas jeszcze nie przeminął. Wrzeszczą wraz z najbardziej hałaśliwymi, lecz te okrzyki bojowe brzmią fałszywie. Przypominają oni biedne ulicznice, które przy pomocy kredki, różu i pudru oraz nadrabiając krzykliwą wesołością starają się odzyskać złudzenie młodości. Mądrzejsi idą własną drogą z umiarem i wdziękiem. W ich powściągliwym uśmiechu kryje się jakaś pobłażliwa ironia. Pamiętają, że oni także z podobnym hałasem i pogardą stracili z piedestału poprzednie syte chwały pokolenie; wiedzą z góry, że i terazniejsi dzielni heroldowie ustąpią z czasem swego miejsca. Ostatnie słowo nie istnieje. Nowa ewangelia była już stara, gdy Niniwa wyносиła swą wielkość pod niebiosy. Szlachetne hasła, które wydają się tak nowe tym, co je głoszą, wypowiedano już setki razy poprzednio w niemal identycznej formie. Wahadło porusza się tam i z powrotem. Przemierza się wciąż ten sam krąg.

Niekiedy człowiek żyje jeszcze spory okres czasu po przeminieniu swojej ery i wchodzi do drugiej zupełnie mu obcej; ciekawi mogą wtedy oglądać niezwykle doprawdy w komedii ludzkiej widowisko. Kto dziś na przykład pamięta Jerzego Crabbe? Był to w swoim czasie sławny poeta i świat uznał go za geniusza z jednomyślnością nie spotykaną w dzisiejszym bardziej skomplikowanym życiu. Uczył się on swego rzemiosła w szkole Aleksandra Pope'a; pisał umoralniające powiastki w rymowanych strofkach. Potem przyszła rewolucja francuska i wojny napoleońskie i poeci zaczęli śpiewać nowe pieśni. A pan Crabbe pisał dalej umoralniające powiastki w rymowanych strofkach. Przypuszczam, że musiał czytać wiersze tych młodych ludzi, którzy tyle robili w świecie zamieszania, i wyobrażam sobie, że uważał je za marne. Oczywiście

wiele z nich zasługiwało na ten sąd. Ale ody Keatsa i Wordswortha, jeden czy dwa wiersze Coleridge'a, kilka poematów Shelleya odkryły rozległe, dotąd nie zbadane dziedziny ducha. Sztuka pana Crabbe'a była martwą literą, ale pan Crabbe pisał dalej umoralniające powiastki w rymowanych strofkach. Czytałem w urywkach utwory młodszej generacji. Może i wśród nich jakiś bardziej płomienny Keats lub subtelniejszy Shelley wydrukował już wiersze, które świat chętnie zapamięta. Nie wiem. Podziwiam ich wyrafinowanie — ta młodość jest już tak pełna osiągnięć, że absurdem wydaje się mówić o związanych z nią nadziejach — zdumiewa mnie doskonałość ich stylu. Ale przy całym bogactwie języka tych ludzi (używane przez nich słownictwo nasuwa myśl, że już w kołysce studiowali *Thesaurusa* Rogeta*) nie przemawiają do mnie. Moim zdaniem wiedzą zbyt dużo i zanadto objawiają swoje uczucia. Nie mogę strawić poufałości, z jaką klepią mnie po ramieniu, ani wylewności, z jaką rzucają mi się w ramiona; ich pasja wydaje mi się anemiczna, a ich marzenia nieco nudne. Nie lubię ich. Czuję się odsunięty na bok. Będę dalej pisał umoralniające powiastki w rymowanych strofkach. Byłbym jednak po trzykroć głupcem, gdybym to robił z jakiegokolwiek innego powodu niż dla własnej przyjemności.

* Mowa tu o słowniku angielskich synonimów.

III

Ale to wszystko na marginesie.

Byłem bardzo młody, kiedy napisałem swoją pierwszą książkę. Szczęśliwym trafem wzbudziła zainteresowanie i różni ludzie stali się mnie poznać.

Nie bez melancholii błędę wśród wspomnień literackiego świata Londynu, kiedy to po raz pierwszy, onieśmielony, lecz żądny poznania go, zostałem weń wprowadzony. Dawne to czasy, gdy się w nim obracałem, a jeśli powieści opisujące jego obecne

osobliwości odtwarzają go wiernie, to wiele się w nim zmieniło. Przede wszystkim arena. Chelsea i Bloomsbury zajęły miejsce Hampstead, Notting Hill i High Street, Kensington. Wtedy czterdziestka dodawała człowiekowi splendoru, dziś jest absurdem mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Wydaje mi się, że w owych czasach wstydziliśmy się okazywać nasze uczucia, a lęk przed śmiesznością hamował jaskrawsze przejawy chępliwości. Nie twierdzę, by wśród tamtej wytwornej cyganerii istniał przesadny kult czystości obyczajów, nie pamiętam jednak tak nieokrzesanego rozpasania, jakie panuje obecnie. Nie uważaliśmy za hipokryzję okrywać nasze wybryki zasłoną milczenia. Nie zawsze nazywano wtedy rzeczy po imieniu. Kobieta nie wywalczyła sobie jeszcze całkowicie swoich praw.

Mieszkałem w pobliżu dworca Victoria Station i przypominam sobie długie jazdy autobusem do gościnnych literackich domów. Onieśmielony spacerowałem dłuższy czas po ulicy, zanim zdobyłem się na odwagę, by zadzwonić do drzwi. A potem, chorego ze strachu, wprowadzano mnie do dusznego pokoju pełnego ludzi, przedstawiano kolejno różnym sławnym osobistościom, a uprzejme słowa, które wypowiadali na temat mojej książki, wprawiały mnie w szalone zakłopotanie. Czuję, iż oczekują, że powiem coś mądrego, a ja nigdy nie umiałem nic takiego wymyślić przed końcem wizyty. Starąłem się ukryć zakłopotanie podając sąsiadom filiżanki z herbatą i brzydko pokrajane tartynki. Pragnąłem, by nikt nie zwracał na mnie uwagi, żeby móc swobodnie obserwować tych sławnych ludzi i słuchać wygłaszanych przez nich mądrości.

Pozostały mi w pamięci okazałe, sztywno wyprostowane kobiety o dużych nosach i drapieżnych oczach, które nosiły swoje suknie jak zbroje. I małe, podobne do myszy stare panny o cichych głosach i przebiegłym spojrzeniu. Nigdy nie przestawał mnie fascynować upór, z jakim zajaadały grzanki z masłem nie zdejmując z rąk rękawiczek. Obserwowałem też z podziwem beztroskę, z jaką wycierały palce o fotele, kiedy sądziły, że nikt tego nie widzi. Nie musiało to być z pożytkiem dla foteli, ale przypuszczam, iż pani

domu brała odwet na meblach swych przyjaciółek, kiedy je z kolei odwiedzała. Niektóre z tych dam ubrane były modnie i twierdziły, że nie mogą pojąć, dlaczego ktoś, kto napisał powieść, miałby być zaniedbany w stroju. Jeśli ma się zgrabną figurę, trzeba to umieć wykorzystać, a elegancki pantofelek na małej nóżce nigdy jeszcze nie powstrzymał wydawcy przed przyjęciem „dzieła”. Inne uważały to za frywolność i nosiły „tkaniny artystyczne” i prymitywną biżuterię. Mężczyzn o ekscentrycznym wyglądzie widywało się rzadko. Starali się jak najmniej robić wrażenie literatów. Pragnęli uchodzić za ludzi światowych, a można ich było wziąć za kierowników jakiejś handlowej firmy. Mieli zawsze wygląd nieco znużony. Nie znałem dotąd pisarzy i wydawali mi się bardzo niezwykli, ale nigdy chyba nie patrzyłem na nich jak na prawdziwych ludzi.

Pamiętam, że ich rozmowy wydawały mi się błyskotliwe, i często ze zdumieniem słuchałem, z jak zgryźliwym humorem nicowali kolegę-autora, gdy tylko odwrócił się do nich plecami. Artysta ma tę przewagę nad resztą świata, że przyjaciele dostarczają materiału ostrzu jego satyry nie tylko wyglądem zewnętrznym i charakterem, ale i utworami. Wątpiłem, czy kiedykolwiek potrafię wyrażać się tak gładko i dowcipnie. W owych czasach konwersacja była jeszcze uprawiana jako sztuka. Ciętą ripostę ceniono wyżej niż „śmiech głupiego”*.

*W oryginale użyto część zwrotu ze Starego Testamentu: „Bo niby trzaskanie cierni [płonących] pod kotłem jest śmiech głupiego. I to jest także marnością.” Księga Eklezjastesa, VII, 6.

Epigram nie będący jeszcze wtedy mechaniczną sztuką, dzięki której nudziarz może uchodzić za człowieka dowcipnego, dodawał lekkości plotkom światowców. Smutne to, ale nie mogę sobie przypomnieć absolutnie nic z tej całej błyskotliwej sztuki. Wydaje mi się jednak, że konwersacja nigdy nie toczyła się przyjemniej niż wtedy, kiedy obracała się dokoła spraw handlowych będących odwrotną stroną uprawianego przez nas zawodu. Kiedy skończyliśmy dyskutować nad zaletami najnowszej książki, zaczęliśmy

się zastanawiać, ile egzemplarzy sprzedano, jaką zaliczkę otrzymał autor i ile może na książce zarobić. Potem mówiliśmy o tym lub innym wydawcy, porównując hojność jednego ze skąpstwem drugiego. Spieraliśmy się, czy lepiej iść do tego, który płaci przyzwoite tantiemy, czy do tego, który reklamuje książkę jak może. Niektórzy z nich reklamowali dobrze, inni źle. Jedni byli nowocześni, drudzy staroświeccy. Z kolei rozprawialiśmy o agentach i ofertach, jakie uzyskali dla nas, o wydawcach pism i o tym, jakie materiały są przez nich mile widziane, ile płacą za tysiąc wierszy i czy od razu, czy później. Wszystko to wydawało mi się bardzo romantyczne i dawało mi wewnętrzne poczucie, że jestem członkiem jakiegoś mistycznego bractwa.

IV

Nikt w owym czasie nie okazywał mi więcej sympatii niż Róża Waterford. Łączyła ona w sobie męską inteligencję z kobiecym sprytem. Powieści, które pisała, były niebanalne i frapujące. W jej właśnie domu spotkałem pewnego dnia żonę Karola Stricklanda. Panna Waterford urządziła proszoną herbatkę i jej małe mieszkanko było pełne jak nigdy. Wszyscy rozmawiali, a ja siedziałem milcząc i czułem się głupio. Byłem jednak zbyt nieśmiały, by włączyć się do którejsz z grup, które zdawały się pochłonięte interesującymi je sprawami. Panna Waterford jako dobra gospodyni, spostrzegłszy moje zakłopotanie, podeszła do mnie.

— Niech pan porozmawia z panią Strickland — powiedziała. — Jest zachwycona pańską książką.

— A czym ona się zajmuje? — spytałem. Świadomy własnej ignorancji, pomyślałem, że zanim zacznę rozmowę z panią Strickland, lepiej upewnić się, czy nie jest ona czasem znaną pisarką.

Róża Waterford spuściła skromnie oczy, by wywołać większe wrażenie swoją odpowiedzią:

— Wydaje proszone lunche. Musi pan tylko narobić trochę szumu koło własnej osoby, a na pewno pana zaprosi.

Róża Waterford była osobą cyniczną. Uważała życie za okazję do pisania powieści, a ludzi za surowiec do swego pisarstwa. Od czasu do czasu zapraszała niektórych do siebie, o ile okazywali uznanie dla jej talentu, i podejmowała ich z należytą hojnością. Ich słabość do sław literackich traktowała z wesołą pogardą, lecz godnie grała przed nimi rolę wybitnej pisarki.

Zostałem przedstawiony pani Strickland i rozmawialiśmy przez dziesięć minut. Nie zauważyłem w niej nic szczególnego poza miłym głosem. Miała mieszkanie w dzielnicy Westminster z widokiem na nie dokończoną katedrę. Mieszkaliśmy w tej samej okolicy, poczuliśmy więc od razu do siebie sympatię. Dom towarowy „The Army and Navy Store” jest przecież więzią, łączącą wszystkich, którzy mieszkają pomiędzy Tamizą a St. James's Park. Pani Strickland poprosiła mnie o adres i w parę dni później otrzymałem zaproszenie na lunch.

Moje zobowiązania towarzyskie były nieliczne, z przyjemnością więc przyjąłem zaproszenie. Kiedy przybyłem na miejsce — nieco spóźniony, bo w obawie, by nie przyjść za wcześnie, obszedłem trzy razy katedrę — zastałem już towarzystwo w komplecie: pannę Waterford i panią Jay, Ryszarda Twininga i Jerzego Rooda. Sami pisarze. Był piękny dzień wiosenny, humory dopisywały. Rozmowa toczyła się na przeróżne tematy. Panna Waterford, w której zamięłowanie do estetyki z lat jej wczesnej młodości — kiedy chodziła na przyjęcia w szarozielonej sukni, z narcyzem w ręku — walczyło z kokieterią dojrzałej kobiety, przejawiającą się w zamięłowaniu do wysokich obcasów i paryskich sukien, miała na głowie nowy kapelusz, co wprawiało ją w świetny humor. Nigdy jeszcze nie słyszałem z jej ust tylu złośliwości na temat naszych wspólnych przyjaciół. Pani Jay, pamiętając o tym, że pikanteria jest duszą dowcipu, robiła szeptem uwagi, pod wpływem których mógłby się zarumienić śnieżnobiały obrus. Ryszard Twining kipiał

wprost afektowanymi bzdurami, a Jerzy Road, zdając sobie sprawę, że nie potrzebuje popisywać się błyskotliwością, która stała się u niego nieomal przysłowiowa, otwierał usta tylko po to, by wkładać w nie jedzenie. Pani Strickland mówiła mało, ale miała miły dar podtrzymywania ogólnej rozmowy. Kiedy zapadało milczenie, umiała rzucić właściwą uwagę, by znów ją ożywić. Była to kobieta trzydziestosiedmioletnia, dość wysoka i pulchna, lecz nie otyła. Nie była ładna, twarz jednak miała miłą, głównie może dzięki łagodnym piwnym oczom. Cera jej była raczej blada, ciemne włosy starannie uczesane. Jedyna nieumalowana spośród trzech kobiet wyglądała przy nich prosto i naturalnie.

Jadalnia urządzona była z dobrym smakiem, surowo, w duchu epoki: wysoki szlak boazerii z jasnego drzewa, zielone tapety, a na nich sztychy Whistlera w zgrabnych ciemnych ramach. Zielone zasłony w pawie desenie zwisały sztywno, a dywan tegoż koloru, na którym wyblakłe króliki swawoliły wśród liściastych drzew, nasuwał myśl o wpływie Williama Morrisa. Na kominku stały niebieskie fajanse. W owym czasie musiało być w Londynie chyba kilkaset jadalni urządzonych w ten sposób. Były to wnętrza surowe, artystyczne i nudnawe.

Wyszliśmy razem z panną Waterford, a piękny dzień i jej nowy kapelusz skłoniły nas do przechadzki po parku.

- Bardzo miłe przyjęcie — powiedziałem.
- Czy jedzenie było dobre? Powiedziałam jej, że jeśli chce przyjmować literatów, to musi ich dobrze karmić.
- Cudowna rada — odrzekłem. — Ale dlaczego ona ich zaprasza?

Panna Waterford wzruszyła ramionami.

- Jej zdaniem są zabawni. Chce obracać się w tym kręgu. Wydaje mi się, że jest nieco naiwna, biedaczka, i uważa nas wszystkich za niezwykle ludzi. Ostatecznie sprawia jej przyjemność zaprosić nas na lunch, a nam to nic nie przeszkadza. Lubię ją za to.

Patrząc teraz wstecz, myślę, że pani Strickland była jednym z najbardziej nieszkodliwych „łowców znakomitości”, którzy

uganiają się za zdobyczą poczawszy od subtelnych wyżyn Hampsteadu do najmniejszych pracowni malarskich w Cheyne Walk. Spędziła spokojną młodość na wsi. Książki przysyłane z wypożyczalni Mudie's Library zawierały nie tylko własny romantyzm, ale i cały romantyzm Londynu. Lubiała namiętnie czytać (rzadka pasja u osób jej pokroju, interesujących się przeważnie bardziej autorem niż jego dziełem, malarzem niż jego obrazami) i stwarzała sobie świat fantazji, w którym żyła swobodniej aniżeli w świecie rzeczywistym. Kiedy zaczęła zawierać znajomości z pisarzami, było to tak, jakby weszła na scenę, znaną dotąd jedynie z drugiej strony rampy. Patrzyła na nich w sposób dramatyczny i naprawdę miała wrażenie, że żyje pełniejszym życiem przyjmując ich i odwiedzając w ich twierdzach. Przyjęła reguły gry, jakie oni uznali w życiu za słuszne dla siebie, ale nigdy, ani przez moment, nie pomyślała o tym, by nagiąć do nich swoje postępowanie. Ich moralne dziwactwa, ekstrawagancja strojów, niesamowite teorie i paradoksy bawiły ją, lecz nie miały najmniejszego wpływu na jej przekonania.

— Czy istnieje jakiś pan Strickland? — spytałem.

— Owszem. Jest czymś na giełdzie. Zdaje mi się, że maklerem. Jest bardzo nudny.

— Czy dobrze żyją ze sobą?

— Uwielbiają się wzajemnie. Spotka go pan bywając tam na kolacjach. Ale ona nieczęsto urządza prośzone kolacje. Strickland to bardzo spokojny człowiek. Nie interesuje się zupełnie literaturą czy malarstwem.

— Dlaczego porządne kobiety wychodzą za głupich mężczyzn?

— Bo inteligentni mężczyźni nie chcą się żenić z porządnymi kobietami.

Nie umiałem znaleźć ciętej odpowiedzi na to stwierdzenie, spytałem więc, czy pani Strickland ma dzieci.

— Tak. Chłopca i dziewczynkę. Są oboje w szkole.

Temat był wyczerpany i zaczęliśmy mówić o czym innym.

V

W ciągu lata często widywałem panią Strickland. Chodziłem od czasu do czasu na miłe lunche, które wydawała w swoim mieszkaniu, i na raczej przerażające proszone herbatki. Polubiliśmy się wzajemnie. Byłem jeszcze bardzo młody i może sprawiała jej przyjemność myśl, że kieruje mymi niedoświadczonymi krokami na trudnej literackiej drodze. Co do mnie, miło mi było mieć kogoś, do kogo mogłem zwrócić się z mymi drobnymi kłopotami, pewny, że zostanę uważnie wysłuchany i otrzymam rozsądną radę. Pani Strickland miała dar współczucia bliźnim. To urocza zaleta, często nadużywana jednak przez tych, którzy wiedzą, że ją posiadają. Jest bowiem coś z hyeny w żarłoczności, z jaką rzucają się na nieszczęścia przyjaciół, by ćwiczyć się w ten sposób w swej umiejętności współczucia. Współczucie to tryska jak szyb naftowy i wylewają je tak obficie, że jest nieraz kłopotliwe dla tych, którzy stają się jego ofiarą. Są łona, na które wylano tyle łez, że nie chciałbym skrapiać ich jeszcze moimi. Pani Strickland taktownie wykorzystywała swoją przewagę nade mną. Czulo się, że się ją zobowiązuje przyjmując jej współczucie. Kiedy w młodzieńczym zapale powiedziałem to Róży Waterford, odrzekła:

— Mleko jest bardzo smaczne, zwłaszcza jeśli dodać do niego kropelkę brandy, lecz krowa z radością się go pozbywa. Nabrzmiałe wymię to bardzo niewygodna rzecz.

Róża Waterford miała cięty język. Nikt inny nie potrafił mówić podobnych złośliwości. A z drugiej strony nikt nie miał tyle wdzięku.

Inną jeszcze cechą lubiłem w pani Strickland. Umiała nadać swemu otoczeniu pewną wytworność. Mieszkanie jej miało zawsze wygląd czysty i wesoły, było jasne od kwiatów, a kretony w saloniku mimo surowego deseniun wyglądały żywo i ładnie. Posiłki, podawane w artystycznie urządzonej małej jadalni, były urocze: nakryty starannie stół, dwie pokojówki zgrabne i schludne, jedzenie znakomicie przyrządzone. Trudno było nie dostrzec, że pani Strickland jest doskonałą panią domu. Na pewno musiała

być też idealną matką. W saloniku stały fotografie jej syna i córki. Syn — na imię miał Robert — chłopiec szesnastoletni, uczył się w Rugby. Na jednej fotografii stał we flanelowym ubraniu i krykiotowej czapce, na innej w surducie z wysokim kołnierzykiem. Miał pogodne czoło matki i piękne, myślące oczy. Wyglądał czysto, zdrowo i normalnie.

— Nie wiem, czy jest bardzo zdolny — powiedziała pewnego dnia pani Strickland, kiedy przyglądałam się fotografii — ale wiem, że jest dobry. Ma przemily charakter.

Córka miała czternaście lat. Włosy, ciemne i gęste jak u matki, opadały jej bogatą falą na ramiona; miała też ten sam co matka miły wyraz twarzy i spokojne, pogodne spojrzenie.

— Oboje są bardzo podobni do pani — powiedziałem.

— Tak. Wydaje mi się, że są bardziej podobni do mnie niż do ojca.

— Dlaczego nie pozwala mi pani z nim się spotkać? — spytałem.

— Miałby pan ochotę?

Uśmiechnęła się — uśmiech jej był naprawdę śliczny — i zarumieniła lekko. Dziwne, że kobieta w tym wieku mogła czerwienić się tak łatwo. Może właśnie naiwność była jej największym urokiem.

— Wie pan, on nie ma ani trochę literackich zainteresowań — powiedziała. — To typowy filister.

Nie wypowiedziała tych słów lekceważąco, lecz raczej serdecznie, jak gdyby uznając najgorszą cechę męża chciała bronić go przed kalumniami jej własnych przyjaciół.

— Pracuje na giełdzie. Jako makler. Myślę, że zanudziłby pana na śmierć.

— A panią nudzi? — spytałem.

— Widzi pan, jestem jego żoną. Jestem do niego bardzo przywiązana.

Uśmiechnęła się, by ukryć zakłopotanie. Przypuszczałem, że obawiała się, iż mógłbym kpić z takiego wyznania, czego nie omieszkałaby zrobić Róża Waterford. Zawahała się chwilę. W oczach jej pojawił się ciepły błysk.

- Nie udaje geniusza. Nie zarabia nawet dużo na tej gieldzie. Ale jest strasznie dobry i miły.
- Myślę, że polubiłbym go bardzo.
- Zaproszę pana kiedyś na skromną kolację w rodzinnym gronie, ale niech pan pamięta, że przyjdzie pan na własne ryzyko. Niech pan nie ma mi za złe, jeśli spędzi pan bardzo nudny wieczór.

VI

Kiedy w końcu poznałem Karola Stricklanda, stało się to w okolicznościach, które nie pozwoliły na nic więcej niż na zawarcie znajomości. Pewnego ranka pani Strickland przysłała mi bilecik donosząc, że wydaje tego wieczora proszony obiad, a że jeden z gości ją zawiódł, prosi, bym wypełnił lukę. Pisała:

„Muszę uczciwie uprzedzić Pana, że wynudzi się Pan śmiertelnie. Byłoby nudno nawet, gdyby wszyscy zaproszeni się zjawili, ale jeśli zechce Pan przyjść, będę Panu niezwykle wdzięczna. Pogawędzimy «na osobności».”

Jako dobry sąsiad nie mogłem odmówić tej prośbie.

Kiedy pani Strickland przedstawiła mnie swemu mężowi, po-
dał mi dość obojętnie rękę. Zwracając się do niego zażartowała wesoło:

— Zaprosiłam pana, by pokazać mu, że naprawdę mam męża. Wydaje mi się, że zaczynał w to wątpić.

Strickland roześmiał się uprzejmie, tak jak ludzie śmieją się z żartu, w którym nie widzą nic zabawnego, ale nic nie powiedział. Nowi goście pochłonęli uwagę mego gospodarza i zostałem sam. Kiedy wreszcie zebraliśmy się wszyscy i czekaliśmy na hasło do obiadu, myślałem sobie, gawędząc z kobietą, którą miałem prowadzić do stołu, że człowiek cywilizowany wykazuje dziwną pomysłowość w marnowaniu swego krótkiego życia na nudne zajęcia. Był to rodzaj przyjęcia, na którym zastanawiamy się, czemu pani domu zadała sobie trud, by zaprosić gości, i czemu oni po-fatygowali się, by przyjść. Zjawilo się dziesięć osób. Spotkali się

obojętni dla siebie i pożegnają się z ulgą. Było to oczywiście tylko wypełnienie towarzyskiego zobowiązania. Stricklandowie chcieli się zrewanżować obiadem pewnym osobom i zaprosili je, choć nic ich ci ludzie nie obchodzili. Osoby te zaś zaproszenie przyjęły. Dlaczego? Bo chciały uniknąć nudy spożywania w domu obiadu tête-à-tête lub dać możliwość odpoczynku służbie, lub może nie miały powodu odmówić, bo należał się im obiadowy rewanż.

W jadalni zrobiło się niemile ciasno. Był tam adwokat z żoną, jakiś dygnitarz rządowy z małżonką, siostra pani Strickland z mężem, pułkownikiem MacAndrew, i żona posła do Parlamentu. On właśnie przekonał się, że nie może opuścić sesji parlamentarnej, i dlatego zostałem zaproszony. Przyjęcie to cechowała niesłychana ceremonialność. Kobiety były zbyt porządne, aby być dobrze ubrane, i zbyt pewne swej pozycji, by być interesujące. Mężczyźni byli sztywni. A nad wszystkimi unosiła się atmosfera dobrobytu i zadowolenia z siebie.

Każdy mówił trochę głośniej niż zwykle, kierując się instynktownym pragnieniem ożywienia zebrania; w pokoju panował więc wielki hałas. Rozmowa nie była jednak ogólna. Rozmawiało się z sąsiadem: z sąsiadem z prawej strony jedząc zupę, rybę i przystawkę, i z sąsiadem z lewej strony spożywając pieczyście, deser i sery. Mówiono o sytuacji politycznej, o dzieciach i o granej ostatnio w teatrze sztuce, o obrazach wystawionych w Królewskiej Akademii, o pogodzie i projektach wakacyjnych. Rozmowa nie cichła ani na chwilę i gwar wzrastał się ciągle. Pani Strickland mogła pogratulować sobie udanego przyjęcia. Mąż jej grał jak trzeba swoją rolę. Co prawda mówił niewiele i wydało mi się, że pod koniec obiadu na twarzach siedzących obok niego kobiet pojawił się wyraz znużenia. Uważały widać, że nie jest interesujący. Parę razy wzrok pani Strickland spoczął na nim z pewnym niepokojem.

W końcu wstała i wyprowadziła panie do salonu. Strickland zamknął za nią drzwi i przesiadłszy się na drugi koniec stołu zajął miejsce pomiędzy adwokatem i dygnitarzem. Nalał wszystkim

wina i podał cygara. Adwokat pochwalił doskonale wino, a Strickland powiedział nam, gdzie je kupił. Zaczęliśmy mówić o winach i tytoniu. Adwokat opowiedział o sprawie, którą prowadził, a pułkownik rozprawił o grze w polo. Ja nie miałem nic do powiedzenia, siedziałem więc w milczeniu, starając się okazać uprzejme zainteresowanie rozmową. Przekonany, że nikt nie zwraca na mnie uwagi, obserwowałem swobodnie Stricklanda. Był tęższy, niż przypuszczałem: nie wiem dlaczego, wyobrażałem go sobie szczupłego i niepozornego. W istocie był masywny i ciężki, miał duże ręce i stopy, a wieczorowe ubranie nie leżało na nim zgrabnie. Przypominał trochę woźnicę wystrojonego od święta. Był to mężczyzna czterdziestoletni, nieładny, ale i niebrzydki, bo rysy miał raczej regularne. Ale wydawały się nienaturalnie duże, ogólny efekt był więc niekorzystny. Jego gładko wygolona, duża twarz robiła wrażenie gołej. Włosy miał rudawe, bardzo krótko przystryżone, oczy małe, niebieskie, a może szare. Wyglądał pospolicie. Nie dziwiłem się już, że pani Strickland czuła się z jego powodu nieco zakłopotana. Nie mógł być wielką chlubą dla kobiety pragnącej wyrobić sobie pozycję w świecie literacko-artystycznym. Jasne było, że nie posiada talentów towarzyskich, ale bez nich mężczyzna może się obejść. Nie było w nim nawet nic ekscentrycznego, co wyróżniałoby go z szarego tłumu. Był to po prostu dobry, nudny, uczciwy, zwykły człowiek. Podziwiał się jego wyjątkowe zalety, ale unikało jego towarzystwa. Był żaden. Był prawdopodobnie wartościowym członkiem społeczeństwa, dobrym mężem i ojcem, uczciwym maklerem. Ale to nie były powody, by tracić czas w jego towarzystwie.

VII

Londyński sezon dobiegał końca i wszyscy moi znajomi szykowali się do wyjazdu. Pani Strickland wybierała się z rodziną na wybrzeże w okolice Norfolku, by dzieci miały morze, a mąż — golfa. Pożegnaliśmy się i umówili na spotkanie w jesieni. Lecz ostatniego dnia mego pobytu w mieście, wychodząc ze sklepu,

spotkałem ją z synem i córką. Tak jak i ja, robiła ostatnie zakupy przed wyjazdem z Londynu. Byliśmy oboje zgrzani i zmęczeni. Zapropnowałem, byśmy wszyscy poszli do parku na lody.

Odniosłem wrażenie, że pani Strickland była zadowolona, że może pokazać mi swoje dzieci, chętnie bowiem przyjęła moje zaproszenie. Dzieci prezentowały się jeszcze lepiej niż na fotografii i matka miała rację chlubiąc się nimi. Byłem jeszcze na tyle młody, że w mojej obecności nie czuły onieśmienia i gawędziły wesoło o tym i owym. Była to wyjątkowo miła, zdrowa parka. Pod drzewami spędziłem czas bardzo przyjemnie.

Kiedy po godzinie stłoczyli się w dorożce, by jechać do domu, poszedłem wolnym krokiem do swego klubu. Czułem się może trochę samotny i z zazdrością myślałem o miłym rodzinnym życiu, które przez chwilę oglądałem. Wydawali się do siebie przywiązani. Ich własne żarciki, niezrozumiałe dla kogoś obcego, bardzo ich bawiły. Możliwe, że Karol Strickland mógł uchodzić za człowieka ograniczonego w kołach, gdzie wymagano przede wszystkim słownej błyskotliwości. Ale jego inteligencja odpowiadała otoczeniu, w jakim żył, a to jest paszport nie tylko do umiarkowanego powodzenia, ale co więcej — do szczęścia. Pani Strickland była czarującą kobietą i kochała go. Malowałem sobie w wyobraźni ich życie nie zakłócone żadnymi nieprzewidzianymi wypadkami, uczciwe, godne szacunku i — ze względu na tych dwoje miłych, wyjątkowo udanych dzieci, wyraźnie predestynowanych do kontynuowania normalnych tradycji swej klasy i pozycji społecznej — nie pozbawione znaczenia. Zestarzeją się niedostrzegalnie. Doczekają się, że ich syn i córka osiągną wiek dojrzały i w odpowiednim czasie założą własne rodziny. Syn poślubi ładną dziewczynę, przyszlą matkę zdrowych dzieci. Córka wyjdzie za przystojnego, dzielnego chłopca, oczywiście wojskowego. W końcu, jako zamożni i dostojni emeryci serdecznie kochani przez swych potomków, po udanym, pożytecznym życiu, dożywszy późnego wieku, spoczną w grobie.

Taki jest chyba los niezliczonych par małżeńskich i ten rodzaj

życia ma w sobie jakiś prosty urok. Przypomina ono spokojny strumyk wijący się łagodnie w cieniu drzew pośród zielonych łąk i wpadający wreszcie do ogromnego morza. Morze to jest jednak tak spokojne, tak milczące i obojętne, że człowieka ogarnia nagle jakiś niejasny niepokój. Może tylko przekora mojej natury, silna już wtedy, sprawiała, że w tego rodzaju egzystencji, będącej udziałem większości ludzi, wyczuwałem coś niewłaściwego. Doceniałem jej społeczną wartość, dostrzegałem wynikające z niej unormowane szczęście, lecz mój temperament domagał się mniej regularnego biegu. Wydawało mi się, że w takich nieskomplikowanych radościach musi być chyba coś niepokojącego. Osobiście pragnąłem żyć mniej bezpiecznie. Byłem przygotowany na ostre skały i niebezpieczne mielizny, bylebym za tę cenę mógł doświadczać zmiany — zmiany i wzruszeń związanych z nieprzewidywanym.

VIII

Przeczytawszy to, co napisałem o Stricklandach, zdaję sobie sprawę, że muszą się oni wydawać jacyś mgliści. Nie jestem w stanie przyoblec ich w żadną z tych cech, które czynią z postaci fikcyjnej postać żywą. Zastanawiając się, czy to moja wina, łamię sobie głowę, by przypomnieć sobie jakieś szczególne właściwości, które mogłyby dodać im życia. Czuję, że rozpisując się nad pewną cechą ich mowy lub dziwacznym przyzwyczajeniem, mógłbym nadać im własne piętno. Tak jak ich odmalowałem, przypominają postacie ze starych gobelinów; nie odcinają się od tła, a z odległości zatracają niejako zarysy, tak że widzi się nie więcej niż miłą barwną plamę. Jedyнным moim wytłumaczeniem jest fakt, że Stricklandowie wywarli na mnie właśnie takie wrażenie. Była w nich owa nieokreśloność spotykana u ludzi, których życie jest częścią życia społeczności: egzystują oni tylko w niej i przez nią. Są jak komórki w ciele, niezbędne w nim, lecz póki zdrowe, złane w wielką całość. Stricklandowie byli przeciętną rodziną klasy

średniej. Miła, gościnna kobieta, z nieszkodliwą manią uwielbienia dla małych lewków świata literackiego. Nudnawy mężczyzna, spełniający swe obowiązki w tej dziedzinie życia, w której umieściła go łaskawa Opatrzność. I dwoje ładnych, zdrowych dzieci. Trudno o coś bardziej przeciętnego. Nie wiem, czy znalazłby się w nich jakiś szczegół, który mógłby zwrócić uwagę ciekawych.

Kiedy rozmyślałam nad tym wszystkim, co wydarzyło się później, zadaję sobie pytanie, czy byłam głupi nie dostrzegając, że w Karolu Stricklandzie było jednak coś nieprzeciętnego. Być może. Wydaje mi się, iż w latach, które upłynęły od tego czasu, zdobyłem niezłą znajomość ludzi, ale gdybym nawet w okresie poznania Stricklandów miał to doświadczenie, jakie obecnie posiadam, nie przypuszczam, bym osądził ich inaczej. Ponieważ jednak przekonałem się, że człowiek to istota nieobliczalna, nie zdziwiłbym się dziś tak bardzo wiadomością, jaką usłyszałem wróciwszy wczesną jesienią do Londynu.

Nie upłynęło jeszcze dwadzieścia cztery godziny od mego powrotu, kiedy na Jermyn Street natknąłem się na Różę Waterford.

— Jest pani wesoła i ożywiona — powiedziałem. — Co się stało?

Uśmiechnęła się, a w oczach jej dojrzałem znany mi już błysk złośliwości. Oznaczał on, że dowiedziała się o jakimś skandalu, dotyczącym któregoś z przyjaciół, i że jej instynkt literacki był w czujnym napięciu.

— Pan znał Karola Stricklanda, prawda?

Nie tylko jej twarz, ale cała postać wyrażała podniecenie. Skinałem potakująco głową. Zastanawiałem się, czy biedak ogłosił na giełdzie swą niewypłacalność, czy też przejechał go autobus.

— Niech pan pomyśli, czy to nie straszne? Uciekł od żony.

Panna Waterford z pewnością czuła, że nie potrafi należycie rozwinąć tego tematu na Jermyn Street, więc jak prawdziwa artystka zakomunikowała mi sam fakt i dodała, że nie zna żadnych szczegółów. Nie mogłem wyrządzać jej krzywdy wysuwając przypuszczenie, że tak błaha okoliczność powstrzymałaby ją od

podania ich; była zresztą uparta.

— Mówię panu, że nic nie wiem — powiedziała w odpowiedzi na moje natarczywe pytania, a potem wzruszając lekko ramionami dodała: — Zdaje się, że jakaś młoda kelnerka z herbaciarni w City równocześnie rzuciła posadę.

Uśmiechnęła się do mnie i oznajmiwszy, że ma zamówioną wizytę u dentysty, oddaliła się beztrąsko. Byłem bardziej zaintrygowany niż przejęty. W owym czasie moje doświadczenia życiowe były skąpe, i wiadomość o incydencie, który wydarzył się wśród znanych mi ludzi, podnieciła mnie tak samo, jakbym wyczytał o tym w książce. Przyznam szczerze, że z biegiem lat przyzwyczaiłem się do takich wypadków w kręgu moich znajomych. Wtedy jednak byłem z lekka zgorszony. Strickland miał już na pewno czterdziestkę; uważałem za niesmaczne, by człowiek w jego wieku zaplątywał się w sercowe afery. Z bezczelnością właściwą młodym stawiałem trzydzieści pięć lat jako najdalszą granicę, kiedy mężczyzna może się zakochać nie robiąc z siebie głupca. Usłyszana wiadomość z osobistych względów wprawiła mnie w zakłopotanie, pisałem bowiem ze wsi do pani Strickland anonsując mój przyjazd i w dopisku dodałem, że jeśli nie otrzymam od niej odpowiedzi odmownej, przyjdę w określonym dniu na filiżankę herbaty. Był to właśnie ów dzień, a ja nie dostałem od niej ani słówka. Czy chciała mnie widzieć, czy nie? Możliwe, że w tym denerwującym okresie mój dopisek wywietrzył jej z pamięci. Może byłoby mądrzej nie chodzić. Z drugiej znów strony, możliwe, że pani Strickland pragnie utrzymać całą sprawę w tajemnicy i byłoby najwyższą niedyskrecją dać jej w jakikolwiek sposób do poznania, że dotarła do mnie ta niezwykła wiadomość. Wahałem się pomiędzy obawą zranienia uczuć tej milej kobiety a lękiem, by nie okazać się natrętem. Czułem, że ona cierpi, a nie chciałem patrzeć na cierpienie, któremu nie byłem w stanie ulżyć. W duchu jednak pragnąłem — wstydząc się tego trochę — zobaczyć, jak ona to znosi. Sam nie wiedziałem, co robić.

W końcu przyszło mi do głowy, że pójdę tam, jakby nic nie zaśzło, i zapytam przez pokojówkę, czy pani Strickland zechce mnie

przyjąć. To da jej okazję odprawienia mnie z kwitkiem. Czulem się jednak ogromnie zakłopotany, kiedy powiedziawszy służącej zdanie, które sobie ułożyłem, czekałem na odpowiedź w ciemnym korytarzu; musiałem przywołać na pomoc całą siłę ducha, by stamtąd nie uciec. Pokojówka wróciła. Jej sposób zachowania nasunął mojej podnieconej wyobraźni myśl, że wiedziała doskonale o tragedii domowej.

— Proszę tędy — powiedziała.

Wszedłem za nią do saloniku. Zasłony były częściowo opuszczone, by zaciemnić pokój. Pani Strickland siedziała plecami do światła. Szwagier jej, pułkownik MacAndrew, stał tyłem do kominka, grzejąc się przed nie istniejącym ogniem. Mnie samemu wejście moje wydało się szalenie niezręczne. Wyobrażałem sobie, że zaskoczyła ich ta wizyta, a pani Strickland pozwoliła mi wejść tylko dlatego, że zapomniała ją odwołać. Wydawało mi się, że pułkownik ma mi za złe to najście.

— Nie jestem pewien, czy pani mnie oczekiwała — powiedziałem starając się wyglądać spokojnie.

— Naturalnie. Anna poda za chwilę herbatę.

Nawet w przyciemnionym pokoju nie mogłem nie spostrzec, że twarz pani Strickland była spuchnięta od płaczu. Cera jej, nigdy nie grzesząca pięknnością, miała kolor ziemisty.

— Przypomina pan chyba sobie mego szwagra? Poznaliście się tu na obiedzie przed samymi wakacjami.

Podaliśmy sobie z pułkownikiem ręce. Czulem się tak onieśmielony, że nie wiedziałem, co powiedzieć, ale pani Strickland przysłała mi na ratunek. Spytała, co robiłem w lecie; z jej pomocą udało mi się podtrzymać rozmowę do momentu, gdy podano herbatę. Pułkownik poprosił o whisky z wodą sodową.

— Napij się i ty, Amy — powiedział.

— Nie. Wolę herbatę.

Była to pierwsza aluzja do jakiegoś niemilego zajścia. Udałem, że nie rozumiem, i starałem się, jak mogłem, zająć panią Strickland rozmową. Pułkownik, który stał ciągle przed kominkiem,

nie wyrzekł słowa. Zastanawiałem się, kiedy będę mógł pożegnać się i wyjść, zadając sobie równocześnie pytanie, po kiego licha pani Strickland pozwoliła mi przyjść. W pokoju nie było kwiatów, a różne drobiazgi, schowane na lato, nie zostały jeszcze ustawione na poprzednim miejscu. W saloniku, tak zawsze przytulnym, panowała atmosfera sztywna i smutna. Miało się dziwne uczucie, jakby w drugim pokoju leżał ktoś nieżywy. Dopilem swoją herbatę.

— Zapali pan? — spytała pani Strickland. Rozejrzała się za pudełkiem z papierosami, lecz nie znalazła go pod ręką.

— Chyba nie ma w domu papierosów. — Nagle wybuchnęła płaczem i wybiegła z pokoju.

Byłem przerażony. Przypuszczam teraz, że brak papierosów, które z reguły przynosił mąż, przypomniał go jej nagle, a nie znane dotąd uczucie, że pozbawiona jest małych udogodnień, do których przywykła, sprawiło jej ból. Zdała sobie sprawę, że dawne życie skończyło się. Niemożliwe było kontynuować dalej towarzyską obłudę.

— Sądzę, że wolałby pan, żebym sobie poszedł — powiedziałem do pułkownika i wstałem.

— Słyszał pan pewnie, że ten lajdak ją porzucił! — wykrzyknął gwałtownie.

Zawahałem się.

— Wie pan, jak ludzie plotkują — odparłem. — Słyszałem istotnie, że stało się coś niedobrego.

— Uciekł. Wyjechał do Paryża z kobietą. Zostawił Amy bez grosza.

— Strasznie mi przykro — bąknąłem nie wiedząc, co powiedzieć.

Pułkownik wychylił swoją whisky. Był to wysoki, szczupły mężczyzna lat pięćdziesięciu, o siwych włosach i obwisłych wąsach. Miał wyblakłe niebieskie oczy i usta zdradzające słaby charakter. Z poprzedniego z nim spotkania została mi w pamięci jego twarz o mało inteligentnym wyrazie. Przypomniałem też sobie, iż był dumny z faktu, że przez dziesięć lat, zanim wystąpił z wojska, grywał trzy razy na tydzień w polo.

— Nie sędzę, by pani Strickland miała ochotę zajmować się teraz moją osobą — powiedziałem. — Czy zechce pan wyrazić jej moje współczucie? Gdybym mógł przydać się na coś, zrobię z największą przyjemnością, co tylko będę mógł.

Nie zwrócił uwagi na moje słowa.

— Nie mam pojęcia, co ona teraz pocnie. No i są przecież dzieci. Z czego mają żyć? Z powietrza? Siedemnaście lat!

— Co siedemnaście lat?

— Siedemnaście lat przeżyli razem — odparł z irytacją. — Nigdy go nie lubiłem. Był moim szwagrem, więc oczywiście robiłem, co mogłem, by tego nie okazywać. Czy pan uważał go za dżentelmena? Nigdy nie powinna była za niego wychodzić.

— Czy to rzecz ostatecznie skończona?

— Pozostaje jej tylko jedno do zrobienia: rozwieść się z nim. Mówiłem jej to właśnie, kiedy pan wszedł. „Wnoś skargę o rozwód, moja droga Amy, powiedziałem. Winna to jesteś sobie i swoim dzieciom.” A on niech mi się nie pokazuje na oczy, bo spiorę go na kwaśne jabłko.

Nasunęła mi się wbrew woli myśl, że pułkownik MacAndrew mógłby mieć pewne trudności z skutecznieniem swych pogroźek. Strickland bowiem wydał mi się silnym mężczyzną; nic jednak nie powiedziałem. Jest to zawsze smutne, kiedy oburzona moralność nie posiada dość fizycznej siły, by bezpośrednio wymierzyć karę grzesznikowi. Postanowiłem znów spróbować wyjść, kiedy do pokoju wróciła pani Strickland. Osuszyła oczy i przypudrowała nos.

— Przykro mi, że się tak załamałam — rzekła. — Cieszę się, że pan został.

Usiadła. Nie wiedziałem zupełnie, co powiedzieć. Zabranie głosu na temat spraw, nic mnie w zasadzie nie obchodzących, wprawiało mnie w zakłopotanie. Nie wiedziałem jeszcze, że zartawdzyiałym grzechem kobiety jest chęć dyskusowania o swoich prywatnych sprawach z każdym, kto chce słuhać. Pani Strickland chyba opanowała się.

— Czy ludzie mówią o tym? — spytała.

Zdziwiło mnie przypuszczenie, że wiem wszystko o jej osobistym nieszczęściu.

— Dopiero co wróciłem. Widziałem tylko Różę Waterford.

Pani Strickland zacisnęła dłonie.

— Proszę, niech mi pan powie dokładnie, co ona mówiła. — A kiedy wahałem się, nalegała: — Specjalnie zależy mi, by to wiedzieć.

— Pani wie przecież, jak ludzie plotkują. Na słowach pani Róży trudno polegać. Powiedziała mi, że mąż porzucił panią.

— To wszystko?

Nie chciałem powtórzyć ostatniej uwagi Róży Waterford o kelnerce. Skłamałem.

— Nie mówiła nic o tym, z kim wyjechał?

— Nie.

— To tylko chciałam wiedzieć.

Byłem trochę zaintrygowany, ale w każdym razie zrozumiałem, że mogę teraz odejść. Żegnając się z panią Strickland powiedziałem jej, że cieszyłbym się, gdybym mógł być jej w czymkolwiek pomocny. Uśmiechnęła się blado.

— Dziękuję panu bardzo. Nie sądzę, by ktokolwiek mógł mi w czymś pomóc.

Zbyt nieśmiały, by wyrazić jej swoje współczucie, zwróciłem się z pożegnaniem do pułkownika. Nie ujął mojej wyciągniętej ręki.

— Ja też wychodzę. Jeśli pan idzie przez Victoria Street, pójdę z panem.

— Zgoda — odparłem. — Chodźmy.

IX

— To straszne — powiedział, gdy znaleźliśmy się na ulicy. Uświadomiłem sobie, że wyszedł ze mną, by raz jeszcze przewalkować to,

o czym przez kilka godzin mówił ze szwa-gierką.

— Nie mamy pojęcia, kim jest ta kobieta — rzekł. — Wiemy tylko, że łajdak pojechał do Paryża.

— Wydawało mi się, że tak dobrze ze sobą żyli.

— Bo tak było. Właśnie chwilę przedtem, zanim pan przyszedł, Amy mówiła, że przez cały czas małżeńskiego pożycia ani razu się nie pokłócili. Zna pan Amy. Nie ma lepszej kobiety na świecie.

Wobec tych nieproszonych zwierzeń, nie widziałem przeszkód, by zadawać pytania.

— Czy chce pan powiedzieć, że ona nic nie podejrzewała?

— Nic. Spędził sierpień z nią i dziećmi w Norfolk. Był taki sam jak zawsze. Pojechaliliśmy tam na parę dni z żoną i grałem z nim w golfa. Wrócił do miasta we wrześniu, by zwołać na urlop swego współnika, a Amy została na wsi. Wynajęli tam domek na sześć tygodni i gdy minął ten okres, napisała do męża donosząc, którego dnia wraca do Londynu. Odpowiedział jej z Paryża. Napisał, że postanowił nie żyć z nią dłużej.

— Czym się tłumaczył?

— Niczym się nie tłumaczył, drogi panie. Widziałem ten list. Zawierał nie więcej niż dziesięć linijek.

— Ależ to niesłychane!

Przechodziliśmy właśnie przez ulicę i ruch panujący na jezdni przerwał naszą rozmowę. To, co opowiedział pułkownik MacAndrew, wydawało się nieprawdopodobne; podejrzewałem, że pani Strickland z jakichś jej tylko znanych powodów ukryła przed nim część faktów. Jasne było, że mężczyzna po siedemnastu latach małżeństwa nie rzuca żony, jeśli nie zdarzyło się coś takiego, co mogłoby wzbudzić w niej podejrzenie, że nie wszystko w ich małżeństwie było w porządku. Pułkownik dogonił mnie.

— Oczywiście nie mógł dać innego wyjaśnienia, prócz tego, że uciekł z inną kobietą. Sądzi pewnie, że żona może się tego sama domyślić. To taki właśnie typ.

— Co pani Strickland zamierza robić?

— No, w pierwszym rzędzie należy zebrać dowody. Wybieram się sam do Paryża.

— A co z jego interesami?

— Tu okazał się niezwykle sprytny. W ciągu ostatniego roku wycofywał się z nich powoli.

— Czy powiadomił swego współnika, że wyjeżdża?

— Ani słowem.

Pułkownik MacAndrew miał bardzo powierzchowną znajomość spraw handlowych, a ja żadnej, nie rozumiałem więc zupełnie, w jakim stanie Strickland pozostawił swoje interesy. Dowiedziałem się, że opuszczony współnik jest wściekły i grozi sprawą sądową. Okazało się, że po spłaceniu wierzycieli pozostanie mu czterysta lub pięćset funtów długów.

— Całe szczęście, że meble w mieszkaniu są na imię Amy. To w każdym razie będzie miała.

— Czy pan poważnie mówił, że ona zostanie bez grosza?

— Naturalnie. Ma dwieście czy trzysta funtów i meble.

— Ależ z czego będzie żyła?

— Bóg raczy wiedzieć.

Sprawa wydawała się coraz bardziej skomplikowana, a pułkownik swymi informacjami, wypowiedzianymi oburzonym tonem, zamącił mi raczej, niż rozjaśnił w głowie. Ucieszyłem się więc, kiedy spojrzawszy na zegar na domu towarowym przypomniał sobie, że umówił się na karty w klubie i pożegnał mnie zapuszczając się w St. James's Park, by skrócić sobie w ten sposób drogę.

X

W dzień czy dwa później pani Strickland przysłała mi bilecik z prośbą, bym odwiedził ją tegoż wieczora po kolacji. Zastałem ją samą. Jej czarna suknia, surowa w swej prostocie, nasuwała myśl o żałobie. Zdziwiłem się naiwnie, że odczuwając prawdziwy smutek mogła grać rolę, którą grała zgodnie z jej pojęciami o tym, co wypada.

— Powiedział pan, że gotów jest spełnić, o co pana poproszę
— rzekła.

— To prawda.

— Czy zechciałby pan pojechać do Paryża i zobaczyć się z Karolem?

— Ja?

Byłem zdumiony. Pomyślałem, że widziałem Stricklanda raz w życiu. Nie wiedziałem, czego żąda właściwie ode mnie pani Strickland.

— Fred chce jechać! — Fred był to pułkownik MacAndrew.
— Ale jestem pewna, że to nie jest człowiek odpowiedni do takiej misji. Pogorszy tylko sprawę. Nie mam pojęcia, kogo innego mogłabym o to prosić.

Głos jej drżał lekko; poczułem, że byłoby brutalnością wahać się choć chwilę.

— Ależ ja nie zamieniłem dziesięciu słów z mężem pani. On mnie właściwie nie zna. Pośle mnie prawdopodobnie do diabła.

— Tym się pan chyba nie przejmie — odrzekła z uśmiechem.

— Czego dokładnie żąda pani ode mnie?

Nie odpowiedziała wprost.

— Moim zdaniem to raczej dobrze, że Karol pana nie zna. Widzi pan, on nigdy naprawdę nie lubił Freda. Uważał go za głupca. Nie rozumie wojskowych. Fred wpadnie w pasję, pokłóci się i jeszcze wszystko pogorszy, zamiast naprawić. Jeśli pan powie, że pan przyjechał wysłany przeze mnie, Karol nie będzie mógł pana nie wysłuchać.

— Znam państwa od niedawna — odrzekłem. — Nie można oczekiwać, że ktoś załatwi taką sprawę nie znając wszystkich szczegółów. Nie chcę wtrącać się w sprawy, które mnie nie dotyczą. Dlaczego pani nie pojedzie i nie zobaczy się z nim sama?

— Zapomina pan, że on nie jest sam.

Zamilkłem. Wyobraziłem sobie, że idę odwiedzić Karola Stricklanda i posyłam mu swój bilet. Ujrzałem go, jak wchodzi do pokoju trzymając go w palcach. „Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?” „Przyjechałem, aby zobaczyć się z panem z polecenia pańskiej

żony.” „Naprawdę? Kiedy pan będzie trochę starszy, nauczy się pan bez wątpienia, że najlepiej jest pilnować własnych spraw. Jeśli zechce pan łaskawie zwrócić głowę nieco w lewo, zobaczy pan drzwi. Życzę panu miłego popołudnia.” Przewidywałem, że niełatwo mi będzie wycofać się z godnością, i żałowałem, że nie wróciłem do Londynu dopiero wtedy, kiedy pani Strickland uporałaby się już ze swymi kłopotami. Zerknąłem na nią. Była pogrążona w myślach. Po chwili podniosła na mnie wzrok, westchnęła głęboko i uśmiechnęła się.

— Wszystko to jest takie zaskakujące — powiedziała. — Byliśmy małżeństwem od siedemnastu lat. Nigdy nie śniło mi się, by Karol mógł się w kimś zakochać. Zawsze żyliśmy zgodnie. Oczywiście, miałam wiele zainteresowań, których on nie podzielał.

— Czy dowiedziała się pani, kto... — sam nie wiedziałem, jak się wyrazić. — Co to za osoba?... Z kim wyjechał?...

— Nie. Nikt nie ma pojęcia. Wszystko to jest takie dziwne. Na ogół, kiedy mężczyzna się w kimś zakocha, ludzie widują go z tą osobą na lunchach lub gdzie indziej, a przyjaciele zawsze przyjdą i powiedzą o tym żonie. Ja nie otrzymałam ostrzeżenia... nic. Jego list spadł jak grom z jasnego nieba. A myślałam, że Karol był zupełnie szczęśliwy.

Zaczęła płakać, biedaczka, było mi jej szczerze żal. Po chwili uspokoiła się.

— Nie ma sensu robić z siebie idiotki — rzekła ocierając oczy. — Jedyna rzecz to zdecydować, co należy zrobić.

Mówiła dalej, trochę chaotycznie, to o niedawnej przeszłości, to znów o pierwszym spotkaniu z Karolem i o małżeństwie. Niebawem zacząłem sobie układać jakiś dosyć powiązany obraz ich życia. I wydało mi się, że moje przypuszczenia są słuszne. Pani Strickland była córką urzędnika administracyjnego w Indiach, który po przejściu na emeryturę osiedlił się w głębi kraju, lecz co roku w sierpniu zabierał rodzinę do Eastbourne dla zmiany powietrza. Tam właśnie w wieku lat dwudziestu poznała Karola.

Miał wtedy dwadzieścia trzy lata. Grali razem w tenisa, odbywali spacerunki wzdłuż morskiego brzegu, słuchali murzyńskich piosenek. Zdecydowała się przyjąć jego oświadczenia na tydzień przedtem, nim się oświadczył. Mieszkali w Londynie, najpierw w Hampstead, potem, kiedy zaczęło mu się powodzić lepiej, w centrum miasta. Urodziło im się dwoje dzieci.

— Zawsze wydawał się bardzo do nich przywiązany. Jeśli nawet miał mnie dość, dziwię się, jak mógł porzucić dzieci. To wprost nie do wiary. Z trudem jeszcze teraz mogę w to uwierzyć.

Wreszcie pokazała mi list, który do niej napisał. Byłem go ciekaw, ale nie miałem odwagi poprosić o niego.

„Kochana Amy!

Sądzę, że w mieszkaniu zastaniesz wszystko w porządku. Przekazałem Annie Twoje polecenia, obiad będzie czekał na Ciebie i dzieci, kiedy przyjedziecie. Mnie nie będzie, by was przywitać. Postanowiłem rozejść się z Tobą i dziś rano wyjeżdżam do Paryża. Po przyjeździe wyślę stamtąd ten list. Nie wrócę. Moja decyzja jest nieodwołalna.

Zawsze Twój Karol Strickland”

— Ani słowa wyjaśnienia czy żalu. Czy nie uważa pan tego za nieludzkie?

— W tych okolicznościach to rzeczywiście bardzo dziwny list — odpowiedziałem.

— Jest tylko jedno wytłumaczenie — on przestał być sobą. Nie wiem, co to za kobieta, która nim owdładnęła, ale zrobiła z niego innego człowieka. Widocznie trwało to już dłuższy czas.

— Po czym pani tak sądzi?

— Fred to wykrył. Mój mąż mówił, że chodzi do klubu wieczorami trzy, cztery razy w tygodniu, by grać w brydża. Fred zna jednego z członków klubu, wspomniawszy kiedyś o tym, że Karol jest namiętnym brydżystą. Tamten się zdziwił. Powiedział, że nigdy nie widział go w pokoju do kart. Teraz jest zupełnie jasne, że kiedy myślałam, iż mąż jest w klubie, on był u niej.

Milczałem przez chwilę. Potem przyszły mi na myśl dzieci.

— Było chyba bardzo trudno wyjaśnić to Robertowi — powiedziałem.

— O, nie powiedziałam ani słowa żadnemu z nich. Widzi pan, wróciliśmy do miasta w przeddzień ich wyjazdu do szkół. Miałam na tyle przytomności umysłu, by zakomunikować im, że ojciec wyjechał w sprawach handlowych.

Nielatwo jej chyba było, kryjąc w duszy tę niespodziewaną tajemnicę, zachować pogodę i beztruskę i skupić uwagę na koniecznych przygotowaniach związanych ze spokojnym wyprawieniem dzieci w drogę. Głos pani Strickland załamał się znowu.

— Co się z nimi, biedactwami, stanie? Jak my będziemy żyli?

Starła się opanować. Zobaczyłem, że kurczowo zaciska i rozluźnia palce. Był to ogromnie bolesny widok.

— Oczywiście pojedę do Paryża, jeśli pani uważa, że przydam się na coś, ale musi mi pani powiedzieć dokładnie, co pani chce, żebym zrobił.

— Chcę, żeby on wrócił.

— Z tego, co mówił pułkownik MacAndrew, zrozumiałem, że jest pani zdecydowana na rozwód.

— Nigdy nie zgodzę się na rozwód! — wykrzyknęła gwałtownie. — Niech mu to pan ode mnie powie. Nigdy nie będzie mógł poślubić tej kobiety. Jestem równie uparta jak on i nigdy nie zgodzę się na rozwód. Muszę myśleć o dzieciach.

Przypuszczam, że dodała to ostatnie zdanie, by wyjaśnić mi swoje stanowisko, lecz pomyślałem w duchu, że jest ono wynikiem raczej bardzo zrozumiałej zazdrości niż macierzyńskiej troski.

— Czy pani kocha go jeszcze?

— Nie wiem. Chcę, żeby wrócił. Jeśli to zrobi, wszystko zostanie zapomniane. Ostatecznie żyliśmy razem siedemnaście lat. Potrafię się zdobyć na wyrozumiałość. Mógł zrobić, co chciał, bylebym o niczym nie wiedziała. Musi przecież zdawać sobie sprawę, że to zadurzenie długo nie potrwa. Jeśli wróci teraz,

wszystko da się zatuszować i nikt się o niczym nie dowie.

Zmroziło mnie to trochę, że pani Strickland przejmowała się plotkami, nie wiedziałem jeszcze wtedy, jak wiele w życiu kobiet znaczy opinia ludzka. Rzuca to cień nieszczerości na ich najgłębsze uczucia.

Wiadomo było, gdzie zatrzymał się Strickland. Jego wspólnik w pełnym oburzenia liście, przesłanym na adres banku, oskarżył go o ukrywanie miejsca swego pobytu. A Strickland w dowcipnej, cynicznej odpowiedzi poinformował go najdokładniej, gdzie go można znaleźć. Mieszkał, jak się okazało, w hotelu.

— Nigdy o takim nie słyszałam — powiedziała pani Strickland. — Ale Fred zna dobrze ten hotel. Mówi, że jest bardzo drogi.

Zaczerwieniła się mocno. Wyobraziłem sobie, że ujrzała męża zainstalowanego w luksusowym apartamencie, jadającego obiady w eleganckich restauracjach, odmalowała sobie jego życie spędzane w dzień na wyścigach konnych, a wieczorem przy stołach gry.

— Nie można tak żyć w jego wieku — powiedziała. — Ostatecznie ma czterdzieści lat. Mogłabym zrozumieć coś podobnego u młodego mężczyzny, ale to okropne u człowieka w jego wieku, ojca dorastających dzieci. Jego zdrowie tego nie wytrzyma. — Gniew i rozpacz toczyły walkę w jej sercu. — Niech mu pan powie, że nasz dom płacze po nim. Wszystko jest niby tak samo, a jednak inaczej. Nie mogę żyć bez niego! Zabiję się. Niech mu pan przypomni przeszłość i wszystko, cośmy razem przeżyli. Co mam powiedzieć dzieciom, kiedy zapytają o niego? Jego pokój czeka na niego, tak jak go zostawił. Wszyscy na niego czekamy. — Potem wyjaśniła mi dokładnie, co powinienem mówić. Podała szczegółowe odpowiedzi na wszelkie możliwe uwagi męża. — Zrobi pan dla mnie, co pan będzie mógł — prosiła żałośnie. — Niech mu pan powie, w jakim jestem stanie.

Zrozumiałem, że pragnęła, bym odwołał się do jego współczucia wszelkimi środkami, jakie będą w mojej mocy. Płakała nie

krepując się już wcale. Byłem niezwykle poruszony. Oburzało mnie zimne okrucieństwo Stricklanda. Obiecałem zrobić, co tylko będę mógł, by skłonić go do powrotu. Zgodziłem się wyjechać pojutrze i pozostać w Paryżu, póki czegoś nie załatwię. Potem, ponieważ zrobiło się późno i byliśmy oboje wyczerpani nadmiarem wzruszeń, pożegnałem się i wyszedłem.

XI

W czasie podróży rozmyślałem z obawą nad zleceniem, które mi powierzono. Teraz, wolny od widoku zrozpaczonej pani Strickland, mogłem zastanowić się spokojniej nad całą sprawą. Zaskoczyły mnie sprzeczności, jakie dostrzegłem w jej zachowaniu. Była bardzo nieszczęśliwa, lecz chcąc wzbudzić moje współczucie potrafiła manifestować swoje nieszczęście. Najwidoczniej przygotowała się do płaczu, bo zaopatrzyła się w odpowiednią ilość chustek do nosa. Podziwiałem jej przezorność, ale z oddalenia lzy te były może mniej wzruszające. Nie umiałem rozstrzygnąć, czy pragnęła powrotu męża dlatego, że go kochała, czy dlatego, że bała się skandalu i plotek. Nękało mnie podejrzenie, że ból z powodu wzgardzonej miłości mieszał się w jej zranionym sercu z cierpieniem — niskim w moim młodocianym pojęciu — jakie sprawiała jej podrażniona ambicja. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, jak pełna sprzeczności jest ludzka natura. Nie wiedziałem, ile pożywieści się w szczerości, ile podłości w człowieku szlachetnym, ile dobroci w niegodziwym.

Podróż moja miała jednak w sobie coś z przygody i w miarę zbliżania się do Paryża humor zaczął mi się poprawiać. Patrzyłem teraz na siebie jak na postać z dramatu i lubowałem się rolą wiernego przyjaciela przywożącego zbłąkanego męża gotowej wszystko mu wybaczyć żonie. Postanowiłem zobaczyć się ze Stricklandem następnego wieczoru; czułem instynktownie, że należy wybrać taktownie godzinę spotkania. Jest mało prawdopodobne, by odwoływanie się do czyichś uczuć przed lunchem odniosło jakiś

skutek. Rozmyślałem wtedy sam ustawicznie o miłości, ale nie umiałem wyobrazić sobie małżeńskich rozkoszy o innej porze niż wieczorem.

Zapytałem w hotelu, w którym się zatrzymałem, o ten, gdzie mieszkał Karol Strickland. Nosił on nazwę „Hôtel des Belges”. Portier jednak ku memu zdziwieniu nigdy o takim nie słyszał. Z tego, co mówiła pani Strickland, zrozumiałem, że był to duży, okazały budynek na tyłach Rue de Rivoli. Szukaliśmy go w książce telefonicznej. Jedyne hotel tej nazwy mieścił się na Rue des Moines. Nie była to elegancka dzielnica, a nawet nie ciesząca się dobrą sławą. Potrząsnąłem głową.

— Jestem pewien, że to nie ten — powiedziałem.

Portier wzruszył ramionami. Nie ma w Paryżu drugiego hotelu tej nazwy. Przyszło mi do głowy, że może Strickland zataił swój prawdziwy adres. Podając współnikowi ten, który znałem, zażartował sobie po prostu z niego. Nie wiem czemu, podejrzewałem, że poczucie humoru Stricklanda znalazłoby satysfakcję w ściągnięciu rozwścieczonego maklera na darmo do Paryża, do lokalu o złej sławie na nędznej ulicy. Pomyślałem sobie jednak, że pójdę i sam się przekonam. Nazajutrz około szóstej wziąłem dorożkę i pojechałem na Rue des Moines, ale odprawiłem ją na rogu, bo wolałem pójść do hotelu piechotą i przyjrzeć mu się przed wejściem do środka. Była to ulica małych sklepików zaspokajających potrzeby biedaków. Mniej więcej w jej połowie, po lewej stronie, wznosił się „Hôtel des Belges”. Hotel, w którym zatrzymałem się, był dość skromny, lecz w porównaniu z tym — wspaniały. Wysoki, odrapany budynek nie był chyba odnawiany od lat i miał wygląd tak obskurny, że domy stojące obok wydawały się czyste i schludne. Brudne okna były wszystkie zamknięte. Na pewno nie tu mieszkał w grzesznym zbytku Strickland wraz z nieznaną uwodzicielką, dla której poświęcił honor i obowiązek. Byłem zły, czułem bowiem, że wystrychnięto mnie na dudka, i już prawie zamierzałem odejść nie prowadząc dalszych dociekań. Wszedłem do hotelu jedynie dlatego, by móc powiedzieć pani Strickland, że zrobiłem, co mogłem.

Drzwi wejściowe znajdowały się obok jakiegoś sklepu. Były otwarte, w głębi na wprost widniał napis: *Bureau au premier*. Poszedłem po wąskich schodkach na górę i na podeście znalazłem rodzaj oszklonej klatki, w której znajdowało się biurko i dwa krzesła. Na zewnątrz stała ławka, na której przypuszczalnie nocny portier spędzał niespokojne noce. Nie było tu nikogo, lecz pod elektrycznym dzwonkiem widniał napis: *Garçon*. Zadzwoiłem i po chwili ukazał się służący, młody mężczyzna o rozbieganych oczach i ponurym wyglądzie. Nie miał na sobie marynarki i był w miękkich pantoflach. Nie wiem czemu, spytałem jak najobojętniejszym tonem:

— Czy nie mieszka tu czasem pan Strickland?

— Pokój trzydziesty drugi. Szóste piętro.

Byłem tak zdumiony, że przez chwilę nie odpowiadałem.

— Czy jest u siebie?

Służący spojrzął na tablicę wiszącą wewnątrz *bureau*.

— Nie zostawił klucza. Niech pan pójdzie i zobaczy.

Zdecydowałem się postawić jeszcze jedno pytanie:

— *Madame est là?*¹

— *Monsieur est seul?*²

¹ Czy pani w domu? (fr.) ² Pan jest sam. (fr.)

Służący przyglądał mi się podejrzliwie, gdy szedłem na górę.

Na schodach było ciemno i duszno. Panował tu stęchły, niemiły zaduch. Na trzecim piętrze jakaś rozczochrana kobieta w szlafroku otworzyła drzwi i przyjrzała mi się w milczeniu, gdy przechodziłem. W końcu dotarłem na szóste piętro i zapukałem do drzwi oznaczonych numerem trzydziestym drugim. Wewnątrz rozległ się szmer i drzwi uchylły się częściowo. Przedemną stanął Karol Strickland. Nie wyrzekł ani słowa; najwidoczniej nie poznał mnie.

Przedstawiłem się. Starłem się być jak najbardziej swobodny.

— Pan mnie nie pamięta. Miałem przyjemność być u państwa na obiedzie w lipcu.

— Proszę, niech pan wejdzie — odrzekł wesoło. — Bardzo mi miło widzieć pana. Niech pan siada.

Wszedłem. Był to mały pokoik przeładowany meblami w stylu, który Francuzi nazywają stylem Ludwika Filipa. Stało tam duże drewniane łóże z czerwoną spiętrzoną na nim pierzyną, duża szafa, okrągły stół, mała umywalka i dwa miękkie krzesła kryte czerwonym rypsem. Wszystkie meble były brudne i zniszczone. Nie widać tu było śladu niedbałego zbytku, który z takim przekonaniem opisywał pułkownik MacAndrew. Strickland zrzucił na podłogę ubranie leżące na krześle. Usiadłem.

— Czym mogę panu służyć? — zapytał.

W tym małym pokoiku wydawał się wyższy, niż go zapamiętałem. Miał na sobie starą luźną marynarkę, od paru dni nie golił się chyba. Kiedy widziałem go ostatni raz, wyglądał dość schludnie, lecz robił wrażenie skrępowanego; teraz, nieporządnie ubrany i brudny, czuł się najwidoczniej doskonale. Nie wiedziałem, jak przyjmie zdanie, które sobie przygotowałem.

— Przyjechałem zobaczyć się z panem z polecenia pańskiej żony.

— Właśnie chciałem wypić kieliszek przed obiadem. Może pójdzie pan ze mną. Lubi pan absynt?

— Mogę się napić.

— No to chodźmy.

Włożył na głowę zakurzony melonik.

— Możemy zjeść razem obiad. Jest mi pan przecież winien obiad.

— Oczywiście. Czy pan jest sam?

Powinszowałem sobie, że tak swobodnie zadałem to ważne pytanie.

— Tak. Prawdę mówiąc, nie przemówiłem od trzech dni słowa do nikogo. Moja francuszczyzna nie jest olśniewająca.

Idąc przed nim zastanawiałem się, co się stało z kelnerką, czy już się pokłócili, czy też zakochanie mu przeszło.

Trudno było w to uwierzyć, skoro jak się okazało, od roku przygotowywał się do tego szalonego kroku. Doszliśmy do Avenue de Clichy i usiedliśmy przy jednym ze stolików ustawionych na chodniku przed dużą kawiarnią.

XII

Na Avenue de Clichy panował o tej porze tłok, a człowiek o bujnej wyobraźni mógłby dopatrzeć się w przechodniach postaci z wielu marnych romansideł. Widziało się tam urzędników i ekspedientki; starych jegomościów jakby żywcem wyjętych z powieści Honoriusza Balzaca; męskich i żeńskich przedstawicieli zawodów, ciągnących zyski z ludzkich słabości. Ulice najbiedniejszych dzielnic Paryża mają w sobie jakąś bujną żywotność, na skutek której krew krąży szybciej, a dusza przygotowuje się do rzeczy niezwykłych.

— Czy pan zna dobrze Paryż? — spytałem.

— Nie. Spędziliśmy tu nasz miodowy miesiąc. Od tej pory nie byłem w tym mieście.

— Jakim cudem wynalazł pan taki hotel?

— Polecono mi go. Zależało mi na czymś tanim.

Przyniesiono absynt. Z należnym w takiej chwili ceremoniałem leliśmy kroplami wodę na rozpuszczający się cukier.

— Myślę, że od razu powiem panu, dlaczego przyjechałem zobaczyć się z panem — rzekłem nieco zmieszany.

Oczy jego rozbłysły.

— Przypuszczałem, że prędzej czy później ktoś przyjedzie. Dostałem masę listów od Amy.

— No to wie pan dobrze, co chcę panu powiedzieć.

— Nie czytałem tych listów.

Chcąc zyskać na czasie zapaliłem papierosa. Nie bardzo wiedziałem, jak zabrać się do wypełnienia powierzonego mi zadania. Wymowne frazesy, pełne patosu i oburzenia, które sobie przygotowałem, nie pasowały tu, na Avenue de Clichy. Strickland nagle roześmiał się.

— Niemiała to dla pana misja, co?

— Och, sam nie wiem — bąknąłem.
— No, to jazda, niech pan z tym skończy, a potem spędzimy razem miły wieczór.

Zawahałem się.

— Czy nie przyszło panu do głowy, że pańska żona jest okropnie nieszczęśliwa?

— Wyleczy się z tego.

Nie potrafię opisać, w jak niezwykle obojętny sposób odpowiedział na moje pytanie. Speszyły mnie jego słowa, ale robiłem, co mogłem, by tego nie okazać. Przybrałem ton, którego zwykł był używać mój stryj Henryk, pastor, kiedy prosił któregoś z krewnych o datek na Stowarzyszenie Wikarych.

— Nie weźmie mi pan za złe, jeśli będę z nim mówił szczerze?

Potrząsnął z uśmiechem głową.

— Czy ona zasłużyła na to, żeby ją pan tak traktował?

— Nie.

— Czy ma jej pan coś do zarzucenia?

— Nie.

— No więc, czy to nie potworne rzucić ją w ten sposób po siedemnastu latach małżeństwa bez żadnej winy z jej strony.

— Potworne.

Zerknąłem na niego ze zdziwieniem. Jego szczere potakiwanie wszystkiemu, co mówiłem, zbijało mnie z tropu. Stawiało mnie w sytuacji skomplikowanej, żeby nie powiedzieć — śmiesznej. Przygotowałem się do tego, by przekonywać, wzruszać, upominać, ganić i robić wymówki; jeśli zajdzie potrzeba — wyrazić nawet naganę, oburzenie, zadrwić. Ale co, u diabła, robi mentor, kiedy grzesznik przyznaje się bez wahania do grzechu? Nie miałem w tym względzie żadnego doświadczenia, bo sam zawsze w takich wypadkach zaprzeczałem wszystkiemu.

— No więc? — zagadnął Strickland.

Spróbowałem odąć wargi.

— Jeśli pan się do wszystkiego przyznaje, nie ma chyba wiele więcej do powiedzenia.

— I ja tak sędę.

Czułem, że nie wywiążuję się zbyt zrzęcznie z mego poselstwa. Byłem wyraźnie zirytowyany.

— Do diabła! Nie można przecież zostawić kobiety bez grosza.

— Dlaczego?

— Jak ona ma żyć?

— Utrzymywałem ją przez siedemnaście lat. Dlaczego dla odmiany nie miałyby się utrzymywać sama?

— Nie potrafi.

— Niech spróbuje.

Oczywiście miałem wiele argumentów, którymi mogłem mu na to odpowiedzieć. Mogłem mówić o ekonomicznej sytuacji kobiety, o umowie, milczącej i oczywistej, jaką mężczyzna żeniąc się zawiera, i o wielu innych rzeczach. Czułem jednak, że jest tylko jeden punkt ważny w tym wszystkim.

— Czy panu już nic na niej nie zależy?

— Ani trochę — odrzekł.

Sprawa była niezwykle poważna dla obu stron, lecz w tonie jego odpowiedzi brzmiało tak beztrroskie zuchwalstwo, że musiałem zagryźć wargi, by nie parsknąć śmiechem. Uprzytomniłem sobie jednak, że jego zachowanie jest wstrętne. Zmusiłem się do stanu moralnego oburzenia.

— Do licha! Powinien pan pomyśleć o swoich dzieciach. Nie zrobiły panu nic złego. Nie prosiły się na świat. Jeśli rzuci pan wszystko w ten sposób, pójdą na ulicę.

— Miały dobrych parę lat życia w dostatku. To o wiele więcej, niż ma większość dzieci. Poza tym, ktoś się przecież o nie zatroszczy. Kiedy co do czego przyjdzie, MacAndrewowie opłacą ich szkołę.

— Ale czy pan ich nie kocha? To takie przemile dzieciaki. Czy to znaczy, że nie chce pan mieć nic więcej z nimi do czynienia?

— Lubilem ich bardzo, kiedy byli mali, ale teraz, kiedy podrastają, nie żywię dla nich żadnych specjalnych uczuć.

— To po prostu nieludzkie.

— Możliwe.

- Nie czuje się pan ani trochę zawstydzony?
- Nie.
- Spróbowałem innej metody.
- Wszyscy uznają pana za skończoną świnię.
- Bardzo proszę.
- Czy świadomość, że ludzie brzydzą się i pogardzają panem, nie będzie miała dla pana znaczenia?
- Nie.

Ta krótka odpowiedź była tak pełna lekceważenia, że moje pytanie, z pozoru naturalne, wydało się śmieszne. Namyślałem się przez parę minut.

— Zastanawiam się, czy można żyć zupełnie spokojnie będąc świadomym potępienia bliźnich. Czy jest pan pewien, że to nie zacznie pana dręczyć? Każdy ma przecież jakieś sumienie; prędzej czy później ono panu to wypomni. Przypuśćmy, że żona pańska umrze, czy nie będą pana nękały wyrzuty sumienia?

Nie odpowiedział, a ja czekałem chwilę, czy się nie odezwie. W końcu musiałem sam przerwać milczenie:

- Co pan mi na to odpowie?
- Chyba tyle, że z pana skończony idiota.
- W każdym razie można pana zmusić do tego, by pan łożył na utrzymanie żony i dzieci — odparłem, z lekką urażony. — Przypuszczam, że prawo stanie w ich obronie.
- Sądzi pan, że prawo potrafi wycisnąć krew z kamienia? Nie mam pieniędzy. Zostało mi około stu funtów.

Zaczął mnie to wszystko coraz bardziej intrygować. Ten hotel istotnie wskazywał na bardzo ograniczone możliwości finansowe Stricklanda.

- Co pan ma zamiar robić, kiedy pan je wyda?
- Zarobić w jakiś sposób.

Był idealnie spokojny, w oczach jego widniał ciągle ten sam szyderczy uśmiech, pod wpływem którego wszystko, co mówiłem, brzmiało głupio. Umilkłem na chwilę, by zastanowić się, co mu odpowiedzieć. Ale on przemówił pierwszy.

— Czemu Amy nie miałyby wyjść powtórnie za mąż? Jest jeszcze stosunkowo młoda i niebrzydka. Mogę polecić ją jako idealną żonę. Jeśli chce rozwieść się ze mną, nie mam nic przeciwko

temu, by dać jej konieczne do tego powody. Teraz ja z kolei uśmiechnąłem się. Strickland wykazywał dużo sprytu, ale najwi-
doczniej to był cel, do którego dążył. Musiał mieć jakieś powody,
by ukrywać fakt, że uciekł z kobietą, i używał wszelkich środków
ostrożności, aby ukryć jej obecność. Odrzekłem stanowczo:

— Pańska żona twierdzi, że cokolwiek by pan zrobił, nie
skłoni jej to do rozwodu z panem. Taka jest jej nieodwołalna de-
cyzja. Może pan to sobie stanowczo wybić z głowy.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, które z pewnością nie było
udane. Uśmiech znikł z jego warg, odezwał się całkiem poważnie:

— Ależ, mój drogi przyjacielu, mnie wcale na tym nie zależy.
Nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia.

Roześmiałem się.

— O, niech pan nie myśli, że jesteśmy tacy głupi. Wiemy
przecież, że pan wyjechał z kobietą.

Drgnął lekko, a potem wybuchnął głośnym śmiechem. Śmiał
się tak hałaśliwie, że ludzie siedzący w pobliżu zaczęli się oglądać,
a niektórzy mu zawtórowali.

— Nie widzę w tym nic zabawnego.

— Biedna Amy! — chichotał.

Po chwili twarz jego przybrała gorzki, pogardliwy wyraz.

— Jakież kobiety są ograniczone! Miłość! Zawsze tylko mi-
łość! Myślą, że mężczyzna rzuca je tylko dlatego, że pożąda innych
kobiet. Czy pan sądzi, że mógłbym być takim głupcem, by zrobić
dla kobiety to, co zrobiłem?

— Chce pan więc powiedzieć, że nie opuścił pan żony dla in-
nej kobiety?

— Oczywiście, że nie.

— Słowo honoru?

Nie wiem, czemu o to zapytałem. Była to z mojej strony naiw-
ność.

— Słowo honoru.

— No więc, dlaczego, na miłość boską, rzucił ją pan?

— Chcę malować.

Wpatrywałem się w niego przez długą chwilę. Nie rozumiałem.

Pomyślałem, że zwariowałem. Trzeba pamiętać, że byłem bardzo młody i patrzyłem na niego jak na starszego już mężczyznę. Nie mogłem otrząsnąć się ze zdumienia.

— Ależ pan ma już ze czterdzieści lat!

— Dlatego myślę, że najwyższy czas zacząć malować.

— Czy pan już kiedy próbował malować?

— Gdy byłem chłopcem, miałem trochę ochotę zostać malarzem, ale ojciec zmusił mnie do zajęcia się interesami. Mówił, że sztuka nie daje pieniędzy. Zacząłem malować mniej więcej przed rokiem. W ciągu tego czasu chodziłem wieczorami na kursy.

— Czy to tam pan chodził, kiedy pani Strickland myślała, że gra pan w klubie w brydża?

— Tak.

— Dlaczego jej pan o tym nie powiedział?

— Woląłem zachować to dla siebie.

— Umie pan malować?

— Jeszcze nie. Ale będę umiał. Dlatego przyjechałem tu. W Londynie nie mogłem zdobyć tego, co mi jest potrzebne. Może uda mi się to tutaj.

— Czy uważa pan za możliwe, by człowiek doszedł do czegoś startując w pańskim wieku? Większość ludzi zaczyna malować, gdy ma lat osiemnaście.

— Mogę nauczyć się teraz szybciej, niż mogłem mając lat osiemnaście.

— Co każe panu przypuszczać, że pan ma talent?

Przez chwilę nie odpowiadał. Wzrok jego spoczął na tłumie przechodniów, lecz nie sądzę, by ich widział. Odpowiedź jego nie była żadną odpowiedzią.

— Muszę malować.

— Czy to nie straszne ryzyko?

Spojrzał znów na mnie. We wzroku jego było coś dziwnego, poczułem się nieswojo.

— Ile pan ma lat? Dwadzieścia trzy?

Pytanie to wydało mi się nie na temat. Naturalne było chyba, że ja mogę ryzykować. Ale jego młodość dawno minęła, był maklerem giełdowym o wyrobionej pozycji, miał żonę i dwoje dzieci.

Decyzja naturalna dla mnie stawała się w jego sytuacji niedorzeczna. Chciałem być naprawdę sprawiedliwy.

— Oczywiście cud może się zdarzyć i może pan zostać wielkim malarzem, ale musi pan przyznać, że to jedna szansa na milion. Byłby to straszny zawód, gdyby się w końcu okazało, że poniósł pan klęskę.

— Muszę malować — powtórzył.

— Przypuśćmy, że nie będzie pan nigdy niczym więcej niż trzeciorzędny malarzem, czy uważa pan, że warto dlatego rzucić wszystko? Ostatecznie w każdej innej dziedzinie nie ma to takiego znaczenia, gdy jest się przeciętnym. Można radzić sobie całkiem nieźle będąc tylko miernym. Ale artysta to co innego.

— Skończony z pana głupiec — powiedział.

— Nie rozumiem dlaczego. Czy mówienie prawdy to głupota?

— Powiadam panu, że muszę malować. Nie mogę inaczej. Kiedy człowiek wpada do wody, to nieważne, jak pływa, dobrze czy źle. Musi się z niej wydobyć, bo inaczej się utopi.

W głosie jego brzmiała prawdziwa pasja; wbrew sobie byłem pod jej wrażeniem. Wydawało mi się, że wyczuwam w nim jakąś gwałtowną siłę, która się szamocze w jego duszy. Sprawiało to wrażenie czegoś bardzo mocnego, przemożnego, co owładnęło nim jakby wbrew jego woli. Nie mogłem tego pojąć. Wydawał się naprawdę opanowany przez szatana, który każdej chwili mógł go zniszczyć. A jednak Strickland wyglądał zupełnie zwyczajnie. Wzrok mój, spoczywający na nim ciekawie, nie wprawiał go w zakłopotanie. Zastanawiałem się, za kogo by go wzięto, gdy siedział tu tak w swoim starym żakiecie i brudnym meloniku. Spodnie wisiały na nim jak worek, ręce miał brudne. A twarz z rudą szczeciną nie ogolonej brody, małymi oczkami i dużym, wydatnym nosem była brzydka i ordynarna. Usta miał duże, wargi grube, zmysłowe. Nie, nie potrafiłbym go zaklasyfikować.

— A więc nie wróci pan do żony? — spytałem w końcu.

— Nigdy.

— Gotowa jest zapomnieć wszystko, co się wydarzyło, i zacząć od nowa. Nigdy nie zrobi panu najmniejszej wymówki.

— Niech ją diabli porwą!

— Czy nie dba pan o to, że ludzie uznają pana za łajdaka? Nie dba pan o to, że żona i dzieci mogą być zmuszone pójść na żebrzy?

— Ani trochę.

Milczałem chwilę, by nadać większą moc następnemu zdaniu. Wypowiedziałem je tak spokojnie, jak tylko potrafiłem:

— Skończony łotr z pana.

— No, teraz, kiedy zrzucił pan ten kamień z serca, chodźmy na obiad — odrzekł.

XIII

Sądzę, że byłoby właściwiej nie przyjąć tej propozycji. Może powinienem był okazać oburzenie, które istotnie czułem; pewien jestem, że pułkownik MacAndrew miałby o mnie w każdym razie dobre mniemanie, gdybym mógł oznajmić mu, że zdecydowanie nie zgodziłem się zasiąść przy jednym stole z tego rodzaju człowiekiem. Obawa jednak, że nie zdołam utrzymać skutecznie moralizatorskiej postawy, powstrzymywała mnie zawsze przed jej przyjęciem. W tym wypadku pewność, że moje zdanie nie wywrze na Stricklanda żadnego wpływu, powstrzymywała mnie przed wypowiedzeniem go i wprawiała w szczególne zakłopotanie. Tylko poeta lub święty może polewać asfaltowy chodnik w ufnym oczekiwaniu, że wyrosną tam lilie, nagradzając jego trud.

Zapłaciłem za to, co wypiliśmy, i udaliśmy się do taniej restauracji, gwarnej i zatłoczonej, gdzie w miłym nastroju zjedliśmy obiad. Mój apetyt podsyciała młodość, jego — zatwardziałe sumienie. Potem poszliśmy do kawiarni na kawę z likierem.

Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia na temat,

który sprowadził mnie do Paryża, i choć uważałem za nielojalność w stosunku do pani Strickland, że nie podtrzymuję tego tematu, nie umiałem dłużej walczyć z obojętnością jej męża. Trzeba kobiecego temperamentu, by powtarzać to samo trzy razy z tym samym zapalem. Pocieszałem się myślą, że zdołam wybadać stan ducha Stricklanda. Interesował mnie on coraz bardziej. Nie była to jednak taka łatwa sprawa, bo Strickland okazał się bardzo mało rozmowny. Wyrażał się z trudem, jak gdyby słowa nie były tym środkiem, którym mógł oddać swoje myśli. Trzeba było domyślać się, co się w nim dzieje, z urywkowych, gwarowych powiedzeń i niejasnych, nie dokończonych gestów. Ale chociaż nie mówił nic istotnego, miał coś w swojej osobowości, co sprawiało, że nie był nudziarzem. Może to była szczerość. Wydawało się, iż Paryż, który widział po raz pierwszy — nie brałem pod uwagę jego wizyty z żoną w tym mieście — nie wywarł na nim wielkiego wrażenia; to, co oglądał i co powinno by wydawać mu się niezwykle, przyjmował bez najmniejszych oznak zdziwienia. Ja sam byłem w Paryżu ze sto razy i zawsze znalazłszy się tam odczuwałem dreszcz podniecenia. Nie potrafię przejść ulicami tego miasta nie czując się niejako na krawędzi przygody. Strickland pozostawał spokojny. Patrząc teraz wstecz, myślę, że był ślepy na wszystko prócz wizji dręczącej jego duszę. Zdarzył się wtedy dość zabawny incydent. W lokalu, do którego przyszliśmy, znajdowało się wiele prostytutek. Niektóre siedziały z mężczyznami, inne same. Po chwili spostrzegłem, że jedna z nich przygląda się nam. Podchwyciwszy spojrzenie Stricklanda uśmiechnęła się. Sądzę, że jej nie zauważył. Po chwili wyszła, lecz niebawem wróciła i przechodząc koło naszego stolika poprosiła bardzo grzecznie, by zamówić jej coś do picia. Przysiadła się do nas. Zacząłem z nią rozmowę. Lecz jasne było, że interesuje się tylko Stricklandem. Wyjaśniłem, że zna on tylko parę francuskich słów. Spróbowała z nim rozmawiać, częściowo na migi, częściowo żargonem, uważając widocznie, że będzie on bardziej dla niego zrozumiały; umiała też kilka zdań po angielsku. Kazała mi tłumaczyć to, co umiała wyrazić jedynie we

własnym języku, i natarczywie domagała się tłumaczenia odpowiedzi Stricklanda. Był on opanowany i z lekka ubawiony, lecz najwidoczniej zupełnie obojętny.

— Zdaje się, że zrobił pan konkiętę — roześmiałem się.

— Nie pochlebia mi to zbytnio.

Na jego miejscu byłbym bardziej zakłopotany i mniej spokojny. Dziewczyna miała śmiejące oczy i śliczne usta. Była młoda. Dziwiłem się, co widziała pociągającego w Stricklandzie. Nie kryła wcale swoich zamiarów; zmusiła mnie do roli pośrednika.

— Chce, żeby pan poszedł z nią do jej mieszkania.

— Nie skorzystam z propozycji — odrzekł.

Przekazałem dziewczynie jak najuprzejmiej jego odpowiedź. Wydało mi się, że to trochę niegrzecznie odmawiać takiego zaproszenia, usprawiedliwiałem więc odmowę Stricklanda brakiem pieniędzy.

— Ale on mi się podoba — powiedziała. — Niech mu pan powie, że to z miłości.

Gdy powtórzyłem jej słowa, wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Niech jej pan powie, żeby poszła do diabła! — rzekł.

Sposób jego zachowania uczynił tę odpowiedź dostatecznie wymowną i dziewczyna odrzuciła nagle głowę. Może nawet zaczerwieniła się lekko pod warstwą różu. Wstała.

— *Monsieur n'est pas poli*¹ — powiedziała i wyszła z lokalu.

¹ Pan nie jest uprzejmy, (fr.)

Oburzyłem się z lekka.

— Moim zdaniem nie miał pan potrzeby ubliżać jej — powiedziałem. — Ostatecznie było to pochlebne dla pana.

— Nie cierpię takich rzeczy — odparł szorstko.

Przyjrzałem mu się z zaciekawieniem. Na twarzy jego malowało się wyraźne obrzydzenie, a jednak była to twarz zmysłowego i brutalnego mężczyzny. Przypuszczam, że dziewczynę pociągnęła właśnie ta brutalność.

— Mogłem mieć w Londynie, jakie tylko chciałem kobiety. Nie po to tu przyjechałem.

XIV

W powrotnej drodze do Anglii myślałem dużo o Stricklandzie. Staralem się uporządkować to, co miałem do zakomunikowania jego żonie. Nie było to zgodne z jej życzeniami i nie wyobrażałem sobie, by ona mogła być ze mnie zadowolona. I ja nie byłem z siebie zadowolony. Strickland zaintrygował mnie. Nie rozumiałem motywów jego postępowania. Kiedy zapytałem go, skąd przyszła mu pierwszy raz do głowy myśl zostania malarzem, nie umiał lub nie chciał mi odpowiedzieć. Nie mogłem z tego nic wywnioskować. Próbowałem przekonać sam siebie, że nie określone bliżej uczucie buntu stopniowo opanowało jego mało wrażliwy umysł, lecz przeczył temu niewątpliwy fakt, że on nigdy nie okazywał znudzenia monotonią swego życia. Gdyby ogarnięty nudą nie do zniesienia postanowił zostać malarzem jedynie dlatego, by zerwać uciążliwe więzy, byłaby to rzecz zrozumiała i banalna. Ale czułem, że banalność nie miała tu właśnie miejsca. Na koniec, jako romantyk, wykoncypowałem sobie wyjaśnienie — przyznając, że bardzo wyszukane, lecz jedyne, które mnie zadowoliło. A było ono następujące: Zadałem sobie pytanie, czy w duszy jego nie tkwił czasem głęboko zakorzeniony instynkt twórczy, który warunki życiowe stłumiły, lecz który rozrastał się nieprzerwanie jak rak w żywych tkankach, aż wreszcie owładnął całym jego jestestwem i zmusił go nieprzezwyciężalnie do działania. Kukułka składa jajka w gniazdach innych ptaków, lecz kiedy pisklą kukułcze wykluje się ze skorupki, wypycha swych przybranych braci, a na koniec niszczy gniazdo, które dało mu schronienie.

Jakie to dziwne, że instynkt twórczy ogarnął tego nudnego maklera, ku jego własnej zgubie może i na nieszczęście tych, którzy byli od niego uzależnieni. W nie mniej dziwny sposób duch Boży brał w posiadanie ludzi potężnych i bogatych, ścigając ich uparcie i wytrwale, aż zwyciężeni, wyrzekali się radości tego świata i miłości kobiet, by zamienić je na surowe klasztorne życie. Nawrócenie miewa różną postać i bywa spowodowane w różny

sposób. Niektórych ludzi tylko kataklizm może poruszyć, jak skały, które rozbija w kawałki siła rwącego potoku. U innych przemiana następuje stopniowo; ci znów są jak kamień drążony bez przerwy spadającymi kroplami wody. W Stricklandzie czuło się upór fanatyka i płomienny zapal apostoła.

Mój praktyczny umysł chciał jednak wiedzieć, czy pasja, która go opętała, potwierdzi się w jego pracach. Kiedy spytałem, co koledzy z wieczornych kursów, na które uczęszczał w Londynie, sądzili o jego malarstwie, odparł z uśmiechem:

- Pokpiwali ze mnie.
- Czy zaczął już pan tu uczęszczać do pracowni?
- Tak. Przyszedł tam dziś rano ten typas, profesor, wie pan.

Kiedy zobaczył mój rysunek, podniósł tylko w zadziwieniu brwi i poszedł dalej.

Strickland zachichotał. Nie był zniechęcony. Nie obchodziło go zdanie kolegów.

I to właśnie w kontaktach z nim najwięcej mnie peszyło. Kiedy ludzie mówią, że nie dbają o to, co inni o nich myślą, przeważnie oszukują sami siebie. Na ogół dają przez to tylko do zrozumienia, że robią, co będą chcieli, ufając, że nikt nie dowie się o ich wybrykach. Co najwyżej godzą się postępować wbrew opinii większości, mając aprobatę swych sąsiadów. Nietrudno być niekonwencjonalnym w oczach świata, ta niekonwencjonalność jest po prostu konwencją przyjętą we własnym środowisku. Wzmaga się tylko wtedy szacunek dla samego siebie. Ma się poczucie zadowolenia z własnej odwagi bez kłopotów narażania się na niebezpieczeństwo. Pragnienie aprobaty jest może najgłębiej zakorzenionym instynktem cywilizowanego człowieka. Nikt nie dba tak o pozory szacowności, jak niekonwencjonalna kobieta, która narażała się na „strzały gwałtownego losu”¹. Nie wierzę ludziom, którzy mówią mi, że nie dbają ani trochę o opinię bliźnich. Jest to brawa płynąca z nieświadomości. To znaczy, że nie lękają się wy mówek z powodu grzechów, których w ich przekonaniu nikt nie odkryje.

¹ Szekspir, *Hamlet*, akt III sc. 1. Przekład R. Brandstaettera.

Tu jednak miałem do czynienia z człowiekiem, który szczerze nie dbał o to, co ludzie o nim myślą, konwencje więc nie były dla niego żadnym hamulcem. Był jak zapaśnik o naoliwionej skórze, wyslizgiwał się z rąk. Dawało mu to oburzającą swobodę. Pamiętam, że powiedziałem mu:

— Gdyby każdy postępował tak jak pan, świat nie mógłby istnieć.

— Co za przekłeta głupota mówić w ten sposób. Nie każdy chce postępować tak, jak ja postąpiłem. Większość ludzi jest zupełnie zadowolona robiąc najzwyczajniejsze rzeczy.

W pewnej chwili zdobyłem się na ironię:

— Najwidoczniej nie wierzy pan w zasadę: „Postępuj w ten sposób, by każdy twój czyn mógł stać się prawem powszechnym.”

— Nigdy nie słyszałem o takiej zasadzie, ale to kompletna bzdura.

— Powiedział to Kant.

— Wszystko mi jedno; to wierutna bzdura.

Nie można się też było spodziewać, że apel do sumienia takiego człowieka da jakies rezultaty. Równie dobrze można by oczekiwać odbicia w lustrze nie używając lustra. Moim zdaniem sumienie jest u jednostki strażnikiem praw, które społeczeństwo ustanowiło dla własnej ochrony. Jest ono policjantem, umieszczonym w naszych sercach, by pilnował przestrzegania tych praw. Jest szpiegiem osadzonym w centralnej twierdzy naszego „ja”. Pragnienie aprobaty jest w człowieku tak mocne, jego obawa przed krytyką tak silna, że sam wprowadził wroga we własne mury. Wróg ten pilnuje go, zawsze czujny w interesie swego pana, gotów zdławić każde na pół ukształtowane pragnienie jednostki wyrwania się ze stada; zmusić ją do postawienia dobra ogółu nad własne. To najsilniejsza więź łącząca jednostkę z ogółem. A człowiek, poddając się dobru, które uznał za ważniejsze od własnego, czyni się niewolnikiem swego dozorca. Sadza go na honorowym miejscu. A potem jak dworak płaszczy się przed królewską łaską, co spada na jego ramiona, szczydzi się wrażliwością swego sumienia. Nie znajduje słów dostatecznie ostrych dla tego, kto nie uznaje

autorytetu sumienia. Jako członek społeczeństwa bowiem zdaje sobie dokładnie sprawę, że jest wobec niego bezsilny. Przekonawszy się, że Strickland jest naprawdę obojętny na potępienie, jakie jego postępowanie musiało wywołać, mogłem jedynie uciec w przerażeniu niby przed potworem o nieludzkiej niemal postaci.

Ostatnie słowa, jakie wyrzekł do mnie, kiedy mówiłem mu dobranoc, brzmiały:

— Niech pan powie Amy, że nie ma celu gonić za mną. W każdym razie zmienię hotel, tak że nie będzie mnie mogła odnaleźć.

— Mam wrażenie, że szczęśliwie pozbyła się pana na zawsze — odparłem.

— Jedyna moja nadzieja w tym, że potrafi ją pan o tym przekonać, mój drogi. Ale kobiety są tak mało inteligentne.

XV

Po przyjeździe do Londynu zastałem w domu bilecik zawierający gorącą prośbę, bym przyszedł do pani Strickland natychmiast po kolacji. Zastałem u niej pułkownika MacAndrew z żoną. Siostra pani Strickland była starsza od niej i podobna do niej, lecz bardziej zniszczona. A minę miała tak godną, jak gdyby dźwigała w kieszeni Imperium Brytyjskie; takie miny przybierają żony wyższych oficerów, świadome swej przynależności do klasy uprzywilejowanej. Cechował ją żywy sposób bycia, a dobre wychowanie z trudem pozwalało ukryć przeświadczenie, że jeśli mężczyzna nie jest żołnierzem, można traktować go jak subiekta. Nienawidziła oficerów gwardii, których uważała za zarozumiałców, i wołała unikać rozmów o ich żonach nie przestrzegających obowiązku oddawania wizyt. Suknia jej była kosztowna i źle uszyta. Pani Strickland wyglądała wyraźnie zdenerwowana.

— No, jakie ma pan nowiny? — spytała.

— Widziałem męża pani. Wydaje mi się, że jest zupełnie zdecydowany nie wrócić do pani. — Umilkłem na chwilę. — Pragnie zostać malarzem.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zawołała pani Strickland z najwyższym zdumieniem.

— Czy pani nigdy nie zauważyła, że go to pociągało?

— Ależ to kompletny wariat! — krzyknął pułkownik.

Pani Strickland zmarszczyła lekko brwi. Szukała w myśli.

— Przypominam sobie, że zanim pobraliśmy się, wałęsał się nieraz z pudełkami farb. Ale trudno o większe bohomyzy niż to, co malował. Kpiliśmy z niego. Nie miał w tym kierunku najmniejszego talentu.

— Oczywiście to tylko pretekst — odezwała się pani MacAndrew.

Pani Strickland zastanawiała się chwilę głęboko. Widoczne było, że nie może pojąć tego, co jej oznajmiłem. Uporządkowała już trochę salonik, instynkty gospodarskie zwyciężyły widać jej depresję. Pokój nie miał już opuszczonego wyglądu umeblowanego domu do wynajęcia, który uderzył mnie podczas mojej pierwszej wizyty po katastrofie. Teraz, gdy widziałem Stricklanda w Paryżu, trudno mi było wyobrazić go sobie w tym otoczeniu. Pomyślałem, że nie mogło chyba ujść ich uwagi, iż było w tym człowieku coś dziwnego.

— Jeśli pragnął zostać artystą, dlaczego tego nie powiedział? — zapytała w końcu pani Strickland. — Wydaje mi się, że jestem ostatnią osobą, która nie sprzyjałaby tego rodzaju aspiracjom.

Pani MacAndrew zacisnęła wargi. Przypuszczam, że nigdy nie podzielała inklinacji swej siostry do osób zajmujących się sztuką. Wyrażała się szyderczo o „kulturze”.

Pani Strickland mówiła dalej:

— Ostatecznie, gdyby miał talent, ja pierwsza zachęciłabym męża do rozwijania go. Nie zważałabym na ofiary, jakich by to wymagało. Wolałabym na pewno być żoną malarza niż maklera giełdowego. Gdyby nie dzieci, zniosłabym wszystko. Czułabym się równie szczęśliwa w marnej pracowni w Chelsea, jak w tym mieszkaniu.

— Moja droga, tracę doprawdy cierpliwość! — zawołała pani MacAndrew. — Nie chcesz chyba powiedzieć, że wierzysz choć jednemu słowu z tych bzdur?

- Ależ to prawda — wtrąciłem łagodnie.
Spojrzała na mnie z dobrodusznym lekceważeniem.
- Mężczyzna czterdziestoletni nie rzuca swego zajęcia, żony i dzieci, aby zostać malarzem, jeżeli nie wchodzi w grę kobieta. Przypuszczam, że poznał jedną z twoich przyjaciółek-artystek, która zawróciła mu głowę.
Rumieniec zabarwił nagle policzki pani Strickland.
- Jak ona wygląda?
Zawahałem się chwilę. Wiedziałem, że mam w zanadrzu „bombę”.
- Nie ma tam żadnej kobiety.
Pułkownik MacAndrew i jego żona zrobili niedowierzające miny, a pani Strickland zerwała się z miejsca.
- Czy to znaczy, że pan jej nie widział?
— Nie ma kogo oglądać. On jest zupełnie sam.
— To absurd! — wykrzyknęła pani MacAndrew.
— Wiedziałem, że muszę pojechać sam — powiedział pułkownik. — Zaręczam, że wysledziłbym ją bardzo prędko.
— Szkoda, że pan nie pojechał — odrzekłem nieco cierpko.
— Przekonałby się pan, że wszystkie pańskie przypuszczenia są błędne. On nie mieszka w eleganckim hotelu, lecz w małym, brudnym pokoiku. Jeśli opuścił dom, to nie po to, by pędzić bez troskie życie. Jest prawie bez grosza.
- Czy myśli pan, że zrobił coś, o czym nie wiemy, i ukrywa się przed policją?
Myśl ta wlała kroplę nadziei we wszystkie serca, ale ja rozwiązałem tę iluzję.
- Gdyby tak było, nie okazalby się taki głupi, by dawać adres swemu współnikowi — odparłem kwaśno. — W każdym razie jednego jestem pewny: nie wyjechał z nikim. Nie jest zakochany. Jest jak najdalszy od tego.
- Zaległo milczenie. Zebrani rozważali moje słowa.
- No, jeśli to prawda, co pan mówi — odezwała się w końcu pani MacAndrew — nie jest tak źle, jak myślałam.
- Pani Strickland spojrzała na nią, ale nic nie powiedziała. Była teraz bardzo blada, a jej piękne czoło spochmurniało.

Nie rozumiałem wyrazu jej twarzy. Pani MacAndrew mówiła dalej:

— Jeśli to tylko kaprys, to mu minie.

— Dlaczego nie miałabyś pojechać do niego, Amy? — zaryzykował pytanie pułkownik. — Nie ma przeszkód, byś pomieszkała z nim rok w Paryżu. My zajmiemy się dziećmi. Sądzę, że znudzi mu się to malarstwo. Prędzej czy później wróci do Londynu i niewielka wyniknie z tego wszystkiego szkoda.

— Nie postąpiłabym w ten sposób — odezwała się pani MacAndrew. — Pozwoliłabym mu robić, co chce. Wróci jak niepyszny i będzie znów siedział spokojnie. — Popatrzyła chłodno na siostrę. — Może nie zawsze postępowałaś z nim mądrze. Mężczyźni to dziwne stworzenia, trzeba umieć się z nimi obchodzić.

Pani MacAndrew podzielała opinię innych kobiet, że mężczyzna porzucający kochającą go kobietę to brutal, ale jeśli to zrobi, dużą winę ponosi kobieta. *Le coeur a ses raisons que la raison ne connaît pas.*¹

¹ Serce ma swoje racje, których rozum pojąć nie może. (fr.)

Pani Strickland obrzuciła nas wszystkich długim spojrzeniem.

— On nigdy nie wróci — powiedziała.

— Moja droga, pamiętaj, cośmy dopiero co usłyszeli. Przyzwyczaił się do wygod i do tego, że ktoś dbał o niego. Jak ci się zdaje, czy długo wytrzyma w brudnym pokoju w marnym hotelu? Poza tym nie ma pieniędzy. Musi wrócić.

— Dopóki myślałam, że uciekł z jakąś kobietą, uważałam, że jest jeszcze jakaś szansa. Podobne historie zwykle tak się kończą. Po trzech miesiącach zanudziłby się nią na śmierć. Ale jeśli nie uciekł dlatego, że jest zakochany, to koniec.

— O, wydaje mi się to niesłychanie finezyjne — odezwał się pułkownik kładąc w to słowo całą pogardę, jaką odczuwał dla cechy tak obcej tradycjom jego zawodu. — Nie wierz w to. On wróci, i jak mówi Dorota, uważam, iż nie zaszkodzi, że sobie trochę bryknął.

— Ale ja go nie chcę z powrotem — powiedziała pani Strickland.

— Amy!

Panią Strickland opanował gniew. Twarz jej zbladła. Była to bladeść wywołana nagłą, zimną wściekłością.

— Mogłabym wybaczyć, gdyby zakochał się beznadziejnie w jakiejś kobiecie i uciekł z nią. Uważałabym to za rzecz naturalną. Nie potrafiłabym go naprawdę potępić. Powiedziałabym sobie: no cóż, dał się uwieść. Mężczyźni są słabi, a kobiety bez skrupułów. Ale rzecz ma się inaczej. Nienawidzę go. Nigdy mu nie przebaczę.

Pułkownik MacAndrew i jego żona zaczęli ją przekonywać mówiąc jednocześnie. Byli zdumieni. Twierdzili, że postradła rozum. Nie mogli jej pojąć. Pani Strickland zwróciła się z rozpaczą do mnie:

— Czy p a n też tego nie rozumie? — krzyknęła.

— Nie jestem pewien. Czy uważa pani, że mogłaby mu przebaczyć, gdyby opuścił panią dla kobiety, ale nie dla idei? Czy sądzi pani, że z pierwszą może pani współzawodniczyć, lecz wobec tej drugiej jest pani bezsilna?

Pani Strickland rzuciła mi niezbyt przyjazne spojrzenie, ale nie odpowiedziała. Możliwe, że trafiłem w sedno. Ciągnęła dalej cichym, drżącym głosem:

— Nie wiedziałam, że można nienawidzić kogoś tak, jak ja go nienawidzę. Wie pan, pocieszałam się myślą, że jakkolwiek długo to potrwa, w końcu zatęskni do mnie. Sądziłam, że kiedy będzie umierał, pośle po mnie, i gotowa byłam wtedy do niego pojechać. Pielęgnowałabym go jak matka i w ostatniej chwili powiedziałabym mu, że to wszystko nieważne, że kochałam go zawsze, i wybaczyłabym mu wszystko.

Zawsze wprawia mnie w zakłopotanie namiętny zapach, z jakim kobiety pragną zachowywać się wzniosie przy łożu śmierci ukochanych przez siebie osób. Czasami ma się wrażenie, że oplakują ich długowieczność, która odwleka tę efektowną scenę.

—Ale teraz... teraz wszystko skończone. Jest mi tak obojętny jak

obcy człowiek. Chciałabym, żeby umarł w biedzie, nieszczęśliwy, głodny, bez przyjaciół. Mam nadzieję, że zarazi się jakąś wstrętną chorobą. Skończyłam z nim na zawsze.

Pomyślałem sobie, że dobrze będzie w tym momencie wspomnieć o propozycji Stricklanda.

— Jeśli chce pani rozwodu, on jest gotów zrobić wszystko, by to pani umożliwić.

— Dlaczego miałabym zwracać mu wolność?

— Nie wydaje mi się, by mu na tym zależało. Sądził po prostu, że byłoby to może dogodne dla pani.

Pani Strickland wzruszyła niecierpliwie ramionami. Rozczarowałem się trochę co do niej. Sądziłem wtedy, że ludzie są bardziej jednolici, i z przykrością odkryłem tyle mściwości w tak uroczej kobiecie. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, jak różne cechy tworzą człowieka. Teraz już wiem, że małostkowość i wielkość, złość i dobroć, nienawiść i miłość mogą żyć obok siebie w ludzkim sercu.

Zastanawiałem się, czy mógłbym powiedzieć coś jeszcze, co złagodziłoby uczucie gorzkiego upokorzenia, które dręczyło w tej chwili panią Strickland. Postanowiłem spróbować.

— Widzi pani, nie mam pewności, czy mąż pani jest w pełni odpowiedzialny za swoje czyny. On chyba nie jest sobą. Jest jakby owładnięty jakąś mocą, która wykorzystuje go dla swoich celów i w której szponach jest równie bezsilny jak mucha w pajęczej sieci. Jakby ktoś rzucił na niego urok. Przypominają mi się te dziwne historie, które się czasem słyszy, że w człowieku budzi się inna osobowość usuwająca dawną. Dusza jest zmienna i zdolna do tajemniczych przeobrażeń. W dawnych czasach mówiono by, że w Karola Stricklanda wstąpił diabeł.

Pani MacAndrew wygładziła spódnicę na kolanach; złote bransolety zsunęły jej się aż do napięstków.

— Wszystko to wydaje mi się naciągnięte — powiedziała kwaśno. — Nie przeczę, że Amy była może zbyt pewna swego męża. Gdyby nie pochłaniały jej tak własne sprawy, musiałyby dostrzec, co się święci. Nie wyobrażam sobie, by Alec mógł knuć coś

przez rok lub więcej, a ja bym o tym nie wiedziała.

Pułkownik patrzył przed siebie, a ja zastanawiałem się, czy ktoś mógłby być tak pozbawiony chytryści, jak wskazywała jego mina.

— Co nie zmienia faktu, że Karol Strickland to łajdak bez sumienia. — Popatrzyła na mnie surowo. — Powiem panu, czemu porzucił żonę: ze zwykłego egoizmu, i nic więcej.

— To z pewnością najprostsze wyjaśnienie — odrzekłem. Ale wydało mi się, że nie wyjaśnia niczego. Powiedziałem, że czuję się zmęczony, i podniosłem się, by wyjść, a pani Strickland nie próbowała mnie nawet zatrzymać.

XVI

Dalsze jej postępowanie dowiodło, że była kobietą z charakterem. Umiała ukryć swoją mękę. Spostrzegła z właściwym jej sprytem, że świat nudzi się szybko opowiadaniem o nieszczęściu i chętnie unika jego widoku. Gdziekolwiek szła — a przyjaciele współczując jej zapraszali ją skwapliwie — zachowywała się bez zarzutu. Była dzielna, lecz nie przesadnie; wesoła, ale nie hałaśliwie głośna. Zdawała się chętniej słuchać o cudzych kłopotach niż mówić o własnych. Jeśli wspominała męża, to ze współczuciem. Jej stosunek do niego dziwił mnie początkowo. Pewnego dnia powiedziała:

— Wie pan, jestem pewna, że pan pomylił się mówiąc, że Karol jest sam. Z tego, co dowiedziałam się z pewnych źródeł, których nie mogę panu zdradzić, wiem, że nie wyjechał z Anglii sam.

— W takim razie umie doprawdy genialnie zacierać ślady.

Odwróciła wzrok i zaczerwieniła się lekko.

— Chciałam powiedzieć, że gdyby opowiadano panu coś na ten temat, niech pan, proszę, nie zaprzecza, kiedy będą mówić, że uciekł z kimś.

— Oczywiście, że tego nie zrobię.

Zmieniła temat rozmowy, jakby to była sprawa, do której nie

przywiązywała znaczenia. Przekonałem się niebawem, że wśród jej przyjaciół krąży dziwna historia. Opowiadano, że Karol Strickland zakochał się we francuskiej baletnicy i wyjechał za nią do Paryża. Nie mogłem zbadać, skąd wzięła się ta plotka, ale, rzecz szczególna, wzbudzała ona współczucie, a równocześnie szacunek dla pani Strickland. Przydało jej się to w zajęciu, któremu postanowiła się poświęcić. Pułkownik MacAndrew nie przesadził mówiąc, że została bez grosza i musi jak najprędzej zacząć zarabiać na życie. Zdecydowała się wykorzystać swoją znajomość z tyloma pisarzami i nie tracąc czasu zaczęła się uczyć stenografii i pisania na maszynie. Można się było spodziewać, że dzięki wykształceniu stanie się lepszą maszynistką niż przeciętne dziewczyny, a jej los budził współczucie. Przyjaciele obiecali przysyłać jej robotę i zartoszczyli się o to, by polecić ją znajomym.

Małżonkowie MacAndrew, którzy byli bezdzietni i dobrze sytuowani, podjęli się opieki nad dziećmi, tak że pani Strickland musiała troszczyć się tylko o siebie. Wynajęła swoje mieszkanie i sprzedała meble. Zamieszkała w dwóch małych pokojach w dzielnicy Westminster i na nowo stawiała czoło światu. Była tak energiczna, że nie ulegało wątpliwości, iż wybrnie z kłopotów.

XVII

W jakieś pięć lat potem postanowiłem spędzić pewien czas w Paryżu. Zacząłem się nudzić w Londynie. Zmęczyła mnie monotonia otoczenia. Życie moich przyjaciół płynęło bezbarwnie. Nie czekały mnie już z tej strony żadne niespodzianki; kiedy ich spotykałem, wiedziałem, co mi powiedzą. Nawet ich miłosne przygody były banalne i nudne. Byliśmy jak wozy tramwajowe jadące po swoich szynach od początkowego przystanku do końca trasy; można było mniej więcej obliczyć, ilu pasażerów zabiorą. Życie było zbyt unormowane i zbyt łatwe. Ogarnął mnie strach. Opuściłem

swoje mieszkanko. Sprzedałem skromny dobytek i zdecydowałem się zacząć wszystko od początku.

Przed wyjazdem odwiedziłem panią Strickland. Nie widziałem jej czas dłuższy i zauważyłem w niej pewne zmiany: nie tylko postarzała się, schudła, miała więcej zmarszczek; zmienił się też jej charakter. Praca, którą rozpoczęła, przyniosła jej sukces, miała teraz własne biuro na Chancery Lane. Sama mało pisała na maszynie, spędzała czas przeważnie na poprawianiu pracy czterech dziewcząt, które zatrudniała. Wpadła na pomysł, by wykonywać tę robotę estetycznie: używała dużo czerwonego i niebieskiego atramentu. Oprawiała przepisane maszynopisy w szorstki wytłaczany papier w pastelowych odcieniach. Wyrobiła sobie dobrą markę z powodu swej dokładności i porządku. Zarabiała dobrze. Lecz nie umiała wyzbyć się myśli, że praca zarobkowa to coś uwłaczającego, i chętnie dawała do zrozumienia, że urodziła się damą. Nie umiała też powstrzymać się, by nie wymieniać w rozmowie nazwisk różnych znajomych, co miało upewnić słuchaczy, że nie spadła na drabinie społecznej. Wstydziła się trochę swojej odwagi i zdolności do interesów, ale była zachwycona, że nazajutrz wieczorem pójdzie na kolację z adwokatem zamieszkałym w dzielnicy South Kensington. Z przyjemnością napomykała, że jej syn studiuje w Cambridge, i z lekkim uśmiechem mówiła o licznych wieczorkach tanecznych, na które zaproszona została jej córka, która właśnie zaczęła bywać. Powiedziałem, jak mi się zdaje, bardzo głupią rzecz. Mianowicie spytałem:

- Czy ona będzie pracować w pani biurze?
- O, nie. Nie pozwoliłabym na. to — odpowiedziała pani Strickland. — Jest taka ładna. Jestem pewna, że wyjdzie dobrze za mąż.
- Myślałem, że będzie pani pomagać.
- Wielu moich znajomych sądzi, że powinna pójść na scenę, ale ja oczywiście nie mogę się na to zgodzić. Znam wszystkich wybitnych dramaturgów i mogłabym zdobyć dla niej jutro rolę, ale nie chciałabym, by przestawała z byle kim.

Ekskluzywność pani Strickland zmroziła mnie nieco.

- Czy miała pani wiadomości o mężu?
- Nie. Ani słowa. Może nie żyje.
- Mogę go spotkać przypadkiem w Paryżu. Czy chciałaby pani, bym przekazał jej wiadomości o nim?

Zawahała się chwilę.

- Jeśli jest naprawdę w potrzebie, gotowa jestem pomóc mu trochę. Poślę panu pewną sumę, a pan będzie mu ją dostarczał stopniowo w miarę potrzeby.
- Bardzo to ładnie z pani strony — odrzekłem.

Wiedziałem jednak, że nie dobroć skłoniła ją do tej propozycji. To nieprawda, że cierpienie uszlachetnia. Szczęście czasem tak, ale cierpienie przeważnie czyni ludzi małostkowymi i mściwymi.

XVIII

Stricklanda spotkałem istotnie przed upływem dwóch tygodni mego pobytu w Paryżu.

W krótkim czasie znalazłem sobie małe mieszkanie na piątym piętrze w domu na Rue des Dames i za kilkaset franków kupiłem u handlarza używanych mebli dostateczną ich ilość, by uczynić je wygodnym. Umówiłem się z konsjerżką, że będzie mi rano robiła kawę i sprzątała mieszkanie. Potem poszedłem odwiedzić mego przyjaciela, Dirka Stroeve.

Dirk Stroeve był jednym z tych ludzi, o których — zależnie od usposobienia — nie można myśleć inaczej niż z szyderczym uśmiechem lub zakłopotanym wzruszeniem ramion. Natura stworzyła go błaznem. Był malarzem, lecz złym malarzem; poznałem go w Rzymie i dotąd pamiętałem jego obrazy. Był pełen szczerego entuzjazmu dla banalności. Serce jego ożywiała miłość do sztuki; malował modele wałęsające się beczynnymi na schodach Berniniego na Piazza di Spagna, nie zrażając się ich bijącą w oczy jaskrawością. Pracownia jego pełna była portretów wąsatych, wielkokochanych wieśniaków w spiczastych kapeluszach, uliczników w

twarzowych lachmanach i kobiet w szerokich spódnicach. Niekiedy postacie te wałęsały się po stopniach wiodących do kościoła, innym razem baraszkowały pośród cyprysów na tle bezchmurnego nieba. Czasami uprawiały miłość przy renesansowej studni, kiedy indziej szły po italskiej równinie obok wozu ciągniętego przez woły. Były starannie naszkicowane i starannie namalowane. Fotografia nie mogłaby być dokładniejsza. Jeden z malarzy z Villa Medici nazwał Dirka Stroeve *le maître de la boîte à chocolats*.¹

¹ mistrzem bombonierki (fr.)

Patrząc na jego obrazy można by pomyśleć, że Manet, Monet i reszta impresjonistów nie istnieli w ogóle.

— Nie pretenduję do tego, by być wielkim malarzem — miałem. — Nie jestem Michałem Aniołem, nie, ale mam pewien talent. Kupują moje obrazy. Wnoszę romantyzm do domów różnych ludzi. Czy wiesz, że kupują moje obrazy nie tylko w Holandii, ale i w Norwegii, w Szwecji i Danii? Kupują je przeważnie kupcy i bogaci rzemieślnicy. Nie wyobrażasz sobie, jakie tam są zimy w tych krajach, jakie długie, mroźne i ponure. Ludzie lubią myśleć, że Italia jest taka, jaką ją widzą na moich obrazach. Tak ją sobie wyobrażają. I ja ją sobie tak wyobrażałem, zanim tu przyjechałem.

Wydaje mi się, że ten obraz na zawsze utkwił w jego pamięci, oślepiając go do tego stopnia, że nie mógł już dojrzeć prawdy. Pomimo brutalnej rzeczywistości, która go otaczała, patrzył nadal oczyma ducha na Italię pełną romantycznych rozbójników i malowniczych ruin. Malował ideał — nędzny, pospolity, przyblakły, ale zawsze ideał. Dodawało mu to zdecydowanego uroku.

Ponieważ tak myślałem, Dirk Stroeve nie był dla mnie, tak jak dla innych, jedynie przedmiotem drwin. Koledzy malarze nie kryli się ze swoją pogardą dla jego obrazów, ponieważ jednak zarabiał dobrze, nie wahali się korzystać swobodnie z jego sakiewki. Był hojny, więc potrzebujący, śmiejąc się z jego naiwnej wiary w ich

opowieści o biedzie, pożyczali od niego bezczelnie. Stroeve był bardzo uczuciowy, ale w tej wrażliwej uczuciowości było coś niemądrego; przyjmowało się jego uprzejmość nie odczuwając żadnej za nią wdzięczności. Wziąć od niego pieniądze to było to samo co obrabować dziecko. Pogardało się nim za jego głupotę. Wyobrażam sobie, że złodziej kieszonkowy, dumny ze swoich zręcznych palców, musi odczuwać podobną pogardę w stosunku do roztrzępanej kobiety, która zostawia w dorożce torebkę z całą swoją biżuterią. Natura stworzyła Dirka na pośmiewisko, ale nie pozbawiła go wrażliwości. Skręcał się z powodu żartów i kawałów, które mu ustawicznie robiono, a jednak nie przestawał jakby umyślnie narażać się na nie. Bez ustanku go raniono, ale z natury dobroduszny, nie umiał chować w sercu urazy; żmija mogła go ukąsić, ale to doświadczenie niczego go nie uczyło i gdy tylko pozbył się bólu, umieszczał ją znów troskliwie na własnym łonie. Życie jego było tragedią napisaną w stylu marnej farsy. Żywił dla mnie wdzięczność, bo nie śmiałem się z niego, i zwykł był wlewać w moje współczujące uszy długą litanie swoich kłopotów. Najsmutniejsze było to, że były one groteskowo śmieszne, a im żałośniejsze, tym większą budziły chęć do śmiechu.

Lecz ten zły malarz miał subtelne poczucie artyzmu; pójście z nim do galerii obrazów było wyjątkową przyjemnością. Jego entuzjazm był szczerzy, a krytyka wnikliwa. Był wszechstronny. Miał nie tylko prawdziwe uznanie dla starych mistrzów, ale i zrozumienie dla nowoczesnych. Szybko odkrywał talent i chętnie chwalił. Myślę, że nie znałem człowieka o trafniejszym sądzie. Był też bardziej wykształcony od innych malarzy. W przeciwieństwie do większości z nich znał się i na innych sztukach; zamiłowanie do muzyki i literatury dodawało głębi i różnorodności jego zrozumieniu malarstwa. Dla młodego człowieka jak ja jego rady i przewodnictwo miały nieocenioną wartość.

Po wyjeździe z Rzymu korespondowałem z nim i mniej więcej raz na dwa miesiące dostawałem długi list pisany dziwną angielszczyzną, który przypominał mi żywo jego głośny, pełen entuzjazmu i gestykulacji sposób mówienia. Jakiś czas przed moim

przyjazdem do Paryża ożenił się z Angielką i miał teraz pracownię na Montmartrze. Nie widziałem go od czterech lat i nie znałem jego żony.

XIX

Nie uprzedziłem Stroeve'a o moim przyjeździe, kiedy więc zadzwoniłem do drzwi jego pracowni i otworzył mi sam — w pierwszej chwili nie poznał mnie. Potem wydał okrzyk radości i wciągnął mnie do pokoju. Bardzo było przyjemnie być witanym z tak szczerym zapalem. Żona jego siedziała koło pieca zajęta szyciem; wstała, gdy wszedłem. Stroeve przedstawił mnie.

— Nie pamiętasz? — spytał. — Opowiadałem ci często o nim. — Potem zwrócił się do mnie: — Ale dlaczego nie dałeś znać, że przyjedziesz? Od jak dawna tu jesteś? Jak długo masz zamiar zostać? Czemu nie przyszedłeś godzinę wcześniej? Zjedlibyśmy razem kolację.

Zasypał mnie pytaniami. Posadził w fotelu, poklepując jak poduszkę, wmuszał we mnie cygara, wino, ciastka. Nie odchodził ode mnie ani na krok. Był zrozpaczony, że nie ma whisky, chciał mi zaparzyć kawy, łamał sobie głowę, co by jeszcze dla mnie zrobić, śmiał się, promieniał i pocił obficie z wielkiej radości.

— Nic się nie zmieniłeś — odezwałem się z uśmiechem patrząc na niego.

Miał ten sam niemądry wygląd, który pozostał mi w pamięci. Był to niski, tłusty człowieczek na krótkich nóżkach, młody jeszcze — nie miał chyba więcej niż trzydzieści lat — lecz przedwcześnie wyłysiały. Twarz miał okrągłą jak księżyc, o bardzo żywym kolorycie: bladą cerę, czerwone policzki i wargi. Oczy niebieskie, również okrągłe, przesłaniały duże okulary w złotej oprawie, a brwi były tak jasne, że prawie niewidoczne. Przypominał wesołych, tłustych kupców malowanych przez Rubensa.

Kiedy powiedziałem mu, że zamierzam zabawić jakiś czas w Paryżu i że wynająłem mieszkanie, zrobił mi gorzką wymówkę, że

go o tym nie zawiadomiłem. Wynałazłby mi sam mieszkanie i pożyczył meble — czy naprawdę naraziłem się na wydatek kupowania ich? — i pomógłby mi się urządzić. Uważał za dowód braku przyjaźni, że nie dałem mu sposobności okazania się użytecznym. Pani Stroeve siedziała cały czas spokojnie, cerując pończochy i nie odzywając się, lecz słuchała tego, co mówił, z pogodnym uśmiechem na ustach.

— No, widzisz, ożeniłem się — powiedział nagle. — Co powiesz o mojej żonie?

Uśmiechnął się do niej i poprawił okulary na nosie. Pocił się tak, że ciągle mu opadały.

— Cóż ja ci mam na to odpowiedzieć? — odparłem ze śmiechem.

— Daj spokój, Dirk — wtrąciła uśmiechając się pani Stroeve.

— Ale czy ona nie jest cudowna? Mówię ci, chłopcze, nie trać czasu. Żeń się jak najprędzej. Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Spójrz tylko na nią. Czy nie przypomina ci obrazu? Chardin, co? Widziałem najpiękniejsze kobiety świata, ale żadna nie była piękniejsza od pani Stroeve.

— Jeśli się nie uspokoisz, Dirk, pójdę sobie.

— *Mon petit choux*¹ — powiedział.

¹ Pieszczotliwe określenie francuskie.

Zaczerwieniła się lekko, zawstydzona namiętym tonem jego głosu. Z listów Dirka wiedziałem, że był bardzo zakochany w żonie, a teraz zobaczyłem, że nie może prawie oderwać od niej oczu. Nie umiałbym powiedzieć, czy ona go kocha. Biedny błazen nie mógł być przedmiotem wielkiej miłości, ale w oczach jego żony widniał czuły uśmiech i może pod pozorami rezerwy kryło się w niej naprawdę głębokie uczucie. Nie była tak zachwycająca, jak widział ją w wyobraźni nieprzytomnie zakochany mąż; była to jednak kobieta o surowej urodzie, dość wysoka, a szara suknia, prosta i dobrze skrojona, podkreślała jej doskonałą figurę, która

byłaby raczej w guście rzeźbiarza niż właściciela domu mody. Ciemne, gęste włosy były skromnie zaczesane, twarz bardzo blada, a rysy regularne, lecz dość pospolite. Miała spokojne szare oczy. Czegoś jej brakowało, by można ją uważać za piękną, a nawet za ładną. Stroeve jednak słusznie wspomniął Chardina: przypominała i mnie sympatyczną gospodynię w czepku i fartuchu, którą uwiecznił wielki malarz. Łatwo mogłem wyobrazić ją sobie wśród garnków i patelni, wypełniającą niczym rytuał swoje domowe obowiązki, tak że nabierały one moralnego wprost znaczenia. Nie sądziłem, by była mądra czy zabawna, ale w jej pełnej skupienia pracowitości było coś, co wzbudzało moje zainteresowanie. Jej powściągliwość intrygowała. Zastanawiałem się, czemu poślubiła Dirka Stroeve. Choć była Angielką, nie umiałem ściśle określić, z jakiej warstwy społecznej pochodzi, jak została wychowana i jak żyła, zanim wyszła za mąż. Była bardzo milcząca, ale gdy się odzywała, głos jej brzmiał miło, a sposób bycia był prosty i naturalny. Zapytałem Stroeve'a, czy maluje.

— Czy maluję? Maluję teraz lepiej niż kiedykolwiek.

Siedzieliśmy w pracowni. Ruchem ręki wskazał mi nie dookończony obraz na sztalugach. Wzdrygnąłem się lekko. Obraz przedstawiał grupę włoskich wieśniaków w strojach kampanjskich, odpoczywających na schodach rzymskiego kościoła.

— Czy to malujesz teraz? — spytałem.

— Tak. Mogę tu mieć modeli tak samo jak w Rzymie.

— Czy nie sądzi pan, że to bardzo piękny obraz? — zapytała pani Stroeve.

— Ta moja niemądra żona uważa mnie za wielkiego artystę — powiedział Stroeve.

Usprawiedliwiający śmieшек nie mógł ukryć przyjemności, jaką mu to najwidoczniej sprawiało. Wzrok jego przesunął się po obrazie. Dziwne, że jego zmysł krytyczny, tak ścisły i niezależny, kiedy osądzał prace innych, mógł zadowolić się czymś, co bez wątplenia było banalne i wulgarne.

— Pokaż panu inne twoje obrazy — odezwała się pani Stroeve.

— Chcesz?

Choć Dirk wycierpiał tyle ze strony wyśmiewających go przyjaciół, zawsze żądny pochwał i w swej naiwności zadowolony z siebie, nie mógł oprzeć się pokusie, by nie pochwalić się swoim dziełem. Przyniósł obraz przedstawiający dwóch kędzierzawych uliczników włoskich, grających w kulki.

— Czyż nie śliczni? — zapytała pani Stroeve.

Dirk pokazał mi jeszcze inne swoje obrazy. Przekonałem się, że w Paryżu malował te same opatrzone, jaskrawo krzykliwe rzeczy, które całymi latami tworzył w Rzymie. Wszystko to było fałszywe, nieszczerze, pretensjonalne. A nie istniał przecież uczciwszy, bardziej szczerzy i prostolinijny człowiek od Dirka Stroeve. Kto potrafiłby wyjaśnić tę sprzeczność?

Nie wiem, co przyszło mi do głowy, że spytałem:

— Słuchaj, czy przypadkiem nie spotkałeś malarza nazwiskiem Karol Strickland?

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że go znasz? — wykrzyknął Stroeve.

— To ordynus — odezwała się żona.

Stroeve roześmiał się.

— *Ma pauvre chérie*.¹ — Podszedł do n.oj i ucałował jej rękę.
— Nie lubi go. Jalde to dziwne, że znasz Stricklanda!

¹ Moje biedne kochanie, (fr.)

— Nie lubię źle wychowanych ludzi — rzekła pani Stroeve.

Dirk, ciągle śmiejąc się, zwrócił się do mnie z wyjaśnieniem:

— Widzisz, zaprosiłem go tu któregoś dnia, żeby obejrzał moje obrazy. Przyszedł i pokazałem mu wszystko, co miałem. — Stroeve zawahał się chwilę, zakłopotany. Nie wiem, czemu zaczął opowiadać tę historię stawiającą go w mało pochlebnym świetle. Kończył ją zmieszany: — Spojrzał na... na moje obrazy i nie powiedział nic. Myślałem, że wygłosi swój sąd na końcu. Powiedziałem więc: „No, to wszystko!”

A on na to: „Przyszedłem prosić cię, byś mi pożyczył dwa-
dzieścia franków.”

— I Dirk mu je dał — dorzuciła z oburzeniem jego żona.

— Byłem zaskoczony. Nie chciałem odmówić. Włożył pie-
niądze do kieszeni, skinął głową, powiedział: „Dziękuję!”, i wy-
szedł.

Na okrągłej poczciwej twarzy Dirka Stroeve, gdy opowiadał tę
historię, malował się wyraz tak ogromnego zdziwienia, że nie
można było powstrzymać się od śmiechu.

— Nie miałbym mu za złe, gdyby powiedział, że moje obrazy
są złe, ale on nie powiedział nic... nic...

— A ty o p o w i a d a s z o tym, Dirku — rzekła jego żona.

Było to smutne, że o wiele bardziej śmieszyła żaloszna mina
Holendra, niż oburzał brutalny postępek Stricklanda.

— Mam nadzieję, że nigdy go więcej nie zobaczę — powie-
działa pani Stroeve.

Stroeve uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Odzyskał już
dobry humor.

— Fakt faktem jednak, że to wielki artysta, bardzo wielki ar-
tysta.

— Strickland? — wykrzyknąłem. — To chyba nie ten sam.

— Wysoki chłop z rudą brodą, Karol Strickland. Anglik.

— Kiedy go poznałem, nie nosił brody, ale jeśli ją zapuścił,
możliwe, że jest ruda. Człowiek, o którym myślę, zaczął malować
dopiero pięć lat temu.

— Tak jest. To wielki malarz.

— Niemożliwe!

— Czy ja się kiedy mylę? — spytał Dirk. — Mówię ci, że to
geniusz. Jestem tego pewny. Jeśli za sto lat będą o nas pamiętać,
to tylko dlatego, że znaleźli Karola Stricklanda.

Byłem zdumiony, a jednocześnie ogromnie podniecony. Przy-
pomniałem sobie nagle moją ostatnią rozmowę ze Stricklandem.

— Gdzie można zobaczyć jego obrazy? — spytałem. — Czy
osiągnął sukces? Gdzie mieszka?

— Nie. Nie osiągnął żadnego sukcesu. Nie wydaje mi się, by

kiedykolwiek sprzedał choć jeden obraz. Kiedy mówi się o nim, ludzie się śmieją. Ale ja wiem, że to wielki malarz. Ostatecznie, śmiano się i z Maneta. Corot nigdy nie sprzedał żadnego ze swoich obrazów. Nie wiem, gdzie mieszka Strickland, ale mogę cię do niego zaprowadzić. Chodzi co dzień o siódmej wieczorem do kawiarni na Avenue de Clichy. Jeśli chcesz, możemy tam pójść jutro.

— Nie jestem pewny, czy on zechce mnie widzieć. Sądzę, że mógłbym przypomnieć mu czasy, o których woli zapomnieć. Ale jednak pójdę. Czy jest jakaś szansa obejrzenia któregoś z jego obrazów?

— Nie u niego. Nie pokaże ci nic. Jest tu taki mały handlarz, mój znajomy, który ma parę obrazów Stricklanda. Ale nie chodź do niego beze mnie; nic nie zrozumiesz. Muszę ci je pokazać sam.

— Dirk, irytujesz mnie — odezwała się pani Stroeve. — Jak możesz mówić tak o jego obrazach, kiedy potraktował cię w ten sposób? — zwróciła się do mnie: — Czy pan wie, że kiedy przyszli tu Holendrzy, by kupić obrazy Dirka, on starał się ich przekonać, żeby kupili obrazy Stricklanda? Uparł się, że przyniesie je tu do obejrzenia.

— A co p a n i o nich myśli? — zapytałem z uśmiechem.

— Są okropne.

— Ach, kochanie, nic nie rozumiesz.

— Ci twoi Holendrzy byli na ciebie wściekli. Myśleli, że kpisz sobie z nich.

Dirk Stroeve zdjął okulary i przetarł je. Jego czerwona twarz błyszczała z podniecenia.

— Czy myślisz, że piękno, rzecz najcenniejsza w świecie, leży jak kamień na plaży, by je mógł podnieść leniwie obojętny przechodzień? Piękno to rzecz niezwykła i wspaniała, którą artysta wydobywa z chaosu świata i kształtuje w męce ducha. A kiedy tego dokona, nie wszystkim dane jest rozpoznać owo piękno. By je odkryć, trzeba niejako przejść przez przeżycie artysty. To melodia, którą on ci śpiewa. Chcąc usłyszeć ją we własnym sercu, trzeba posiadać wiedzę, wrażliwość i wyobraźnię.

— A dlaczego ja zawsze uważałam twoje obrazy za piękne,

Dirku? Podziwiałam je od pierwszej chwili, gdy je zobaczyłam.

Wargi Stroeve'a zadrżały lekko.

— Idź spać, mój skarbie. Odprowadzę kawalek naszego przyjaciela i zaraz wrócę.

XX

Dirk Stroeve zgodził się zaprowadzić mnie następnego dnia wieczorem do kawiarni, gdzie najprawdopodobniej można było spotkać Stricklanda. Zwróciło moją uwagę, że była to ta sama kawiarnia, w której piłem absynt ze Stricklandem, kiedy przyjechałem przed kilku laty do Paryża, by się z nim zobaczyć. Fakt, że nie zmienił lokalu, nasuwał myśl o gnuśnym przyzwyczajeniu, które wydawało mi się dla niego charakterystyczne.

— Jest — powiedział Stroeve, kiedy doszliśmy do kawiarni.

Mimo że był to październik, wieczór był ciepły, a przy wszystkich stolikach ustawionych na chodniku siedzieli ludzie. Przebiegłem je wzrokiem, ale nie dostrzegłem Stricklanda.

— Popatrz! Tam, w rogu, gra w szachy.

Dojrzałem mężczyznę pochylonego nad szachownicą, lecz różniłem jedynie szeroki filcowy kapelusz i rudą brodę. Lawirując wśród stolików dotarliśmy w końcu do niego.

— Strickland!

Podniósł głowę.

— Jak się masz, tłuściochu! Czego chcesz?

— Przyprowadziłem ci starego przyjaciela.

Strickland rzucił na mnie okiem, ale najwidoczniej nie poznał mnie. Znów wpatrzył się uważnie w szachownicę.

— Siadajcie i bądźcie cicho — powiedział.

Posunął pionek i znowu pochłonęła go gra. Biedny Stroeve rzucił mi zakłopotane spojrzenie, ale ja nie spieszyłem się ani trochę. Zamówiłem coś do picia i czekałem cierpliwie, aż Strickland skończy. Zadowolony byłem, że mam okazję przyjrzeć mu się

swobodnie. Z pewnością nigdy bym go nie poznał. Przede wszystkim ruda broda, niechlujna i skołtuniona, zarastała większą część jego twarzy, a włosy nosił długie. Najbardziej zaskakującą jednak zmianą, jaka w nim zaszła, była jego niezwykła chudość. Ogromny nos sterczał z tego powodu wyzywająco, kości policzkowe rysowały się wyraźnie, oczy wydawały się większe, skronie były głęboko zapadnięte. Ciało przypominało szkielet. Strickland miał na sobie to samo ubranie, w którym widziałem go przed pięciu laty. Było podarte, wyplamione, wytarte i zwisało na nim luźno, jakby zostało uszyte na kogo innego. Zwróciłem też uwagę na jego ręce: brudne z długimi paznokciami, składały się jedynie z kości i ścięgien, były duże i silne. Ale zapomniałem już, jak bardzo są kształtne. Gdy siedział tak, z uwagą skupioną na grze, sprawiał niezwykle wrażenie, wrażenie ogromnej siły. Nie mogłem zrozumieć, czemu jego chudość zdawała się tę siłę podkreślać.

Po chwili, zrobiwszy ruch na szachownicy, przechylił się do tyłu i spojrzał wzrokiem dziwnie roztargnionym na swego przeciwnika. Był to tłusty, brodaty Francuz. Oceniał on przez chwilę sytuację na szachownicy, potem rzuciwszy jowialnie jakieś wyjaśnienie, niecierpliwym gestem zgarnął pionki i wrzucił je do pudełka. Obsypał Stricklanda przekleństwami, zawołał kelnera, zapłacił za to co wypili, i opuścił lokal. Stroeve przysunął swoje krzesło bliżej do stołu.

— Myślę, że teraz możemy porozmawiać — powiedział.

Wzrok Stricklanda spoczął na nim, w jego oczach był ironiczny błysk. Czulem, że szukał w myśli jakiejś złośliwości, ale nie mógł nic wymyślić i musiał milczeć.

— Przyprowadziłem ci starego przyjaciela — powtórzył Stroeve uśmiechając się wesoło.

Strickland patrzył na mnie dłuższą chwilę w zamyśleniu. Nie odzywałem się.

— Nie widziałem go nigdy w życiu — rzekł.

Nie mam pojęcia, czemu to powiedział, gdyż byłem pewny, że mnie poznał. Nie peszyłem się już tak łatwo jak przed paru laty.

— Widziałem się niedawno z pańską żoną — powiedziałem.
— Z pewnością wysłucha pan chętnie najświeższych wiadomości o niej.

Roześmiał się krótko. Oczy mu zabłyśły.

— Spędziliśmy kiedyś razem miły wieczór — powiedział. —
Ile to lat temu?

— Pięć.

Zamówił jeszcze jeden absynt. Stroeve wyjaśnił mu obszernie, w jaki sposób spotkaliśmy się i jak przypadkiem odkryliśmy, że obaj go znamy. Nie wiem, czy on słuchał tego gadania. Zerknął na mnie parę razy z uwagą, ale na ogół zdawał się być zajęty własnymi myślami. Gdyby nie paplanina Strove'a rozmowa z pewnością byłaby utrudniona. Po pół godzinie Holender spojrzawszy na zegarek oznajmił, że musi już iść. Spytał, czy i ja z nim pójdę. Pomyślałem, że zostawszy sam, wydobędę coś może ze Stricklanda; odpowiedziałem więc, że zostaję.

Kiedy grubas poszedł, powiedziałem:

- Dirk Stroeve uważa pana za wielkiego malarza.
- Czy przypuszcza pan, u diabła, że mnie to dużo obchodzi?
- Pokaże mi pan swoje obrazy?
- Dlaczego miałbym to robić?
- Może będę skłonny kupić któryś z nich.
- A ja może nie będę skłonny go sprzedać.
- Dobrze pan zarabia? — spytałem uśmiechając się.

Zachichotał.

- Czy wyglądam na to?
- Wygląda pan na zagłodzonego.
- Jestem na pół zagłodzony.
- No to chodźmy coś zjeść.
- Dlaczego mnie pan zaprasza?
- Nie z litości — odparłem chłodno. — Niewiele mnie to obchodzi, czy pan przymiera głodem, czy nie.

Oczy jego rozbłyśły znowu.

— No to chodźmy — powiedział wstając. — Chętnie zjem coś porządnego.

XXI

Zostawiłem wybór restauracji do jego uznania; po drodze kupiłem gazetę. Kiedy zamówiliśmy kolację, oparłem ją o butelkę St. Galmier i zacząłem czytać. Jedliśmy w milczeniu. Czułem od czasu do czasu jego wzrok na sobie, ale nie zwracałem na to uwagi. Chciałem zmusić go do rozmowy.

— Jest coś ciekawego w gazecie? — spytał pod koniec naszego milczącego posiłku.

Wydało mi się, że wyczułem w jego tonie lekką nutę irytacji.

— Z przyjemnością czytuję felietony teatralne — odrzekłem. Zwinąłem gazetę i położyłem ją obok siebie.

— Bardzo mi kolacja smakowała — rzekł.

— Uważam, że moglibyśmy wypić tu kawę, co?

— Chętnie.

Zapaliliśmy cygara. Palilem w milczeniu. Spostrzegłem, że Strickland od czasu do czasu patrzy na mnie z lekkim uśmiechem rozbawienia. Czekałem cierpliwie.

— Co pan robił od czasu, gdy widziałem pana po raz ostatni? — spytał w końcu.

Niewiele miałem do powiedzenia. Był to okres ciężkiej pracy i niewielu przygód, okres różnorodnych doświadczeń, stopniowego poznawania książek i ludzi. Uważałem, by nie pytać Stricklanda o to, co on robił; nie okazywałem żadnego zainteresowania jego sprawami i w końcu doczekałem się nagrody. Zaczął mówić o sobie. Lecz słabo obdarzony darem wymowy, rzucał tylko luźne uwagi na temat swoich przeżyć, tak że własną wyobraźnią musiałem uzupełniać luki. Męczyły mnie te urywkowe informacje o człowieku, który interesował mnie tak bardzo. Było to jakby przedzieranie się przez zniszczony manuskrypt. Miałem przed oczami obraz życia, będącego ciężką walką z wszelkiego rodzaju trudnościami. Uświadomiłem sobie, że wiele z tego, co większości ludzi wydałoby się okropne, Stricklanda nie martwiło zupełnie. Różnił się on od innych Anglików tym, że był zupełnie niewrażliwy na

życiowy komfort. Nie drażniło go mieszkanie w nędznie umeblowanym pokoju; nie odczuwał potrzeby otaczania się pięknymi przedmiotami. Nie sądzę, by zauważył kiedy, jak brudne były tapety w pokoju, w którym znalazłem go za moim pierwszym przyjazdem do Paryża. Nie potrzebował foteli, czuł się lepiej na kuchennym krześle. Jadł z apetytem, lecz było mu obojętne, co je. Dla niego ważny był tylko pokarm, by uciszyć kurcze głodu. A kiedy nie było co jeść, potrafił obywać się bez jedzenia. Dowiedziałem się, że przez pół roku żył bochenkiem chleba i butelką mleka na dzień. Był to człowiek zmysłowy, a jednak obojętny na sprawy zmysłów. Nie uważał niedostatku za coś przykrego. Było coś imponującego w jego trybie życia — życia czysto duchowego.

Kiedy wyczerpała się niewielka suma pieniędzy, którą przywiózł ze sobą z Londynu, nie przeraził się tym wcale. Nie sprzedał żadnego ze swoich obrazów. Myślę, że nie bardzo próbował je sprzedawać. Zaczął szukać jakiegoś sposobu zarobku. Opowiedział mi z ponurym humorem o okresie, kiedy zarabiał oprowadzając po mieście cockneyów pragnących poznać nocne życie Paryża. Zajęcie to odpowiadało jego cynicznemu usposobieniu. W ten lub inny sposób zdołał dobrze poznać cieszące się złą sławą dzielnice miasta. Opowiedział mi o długich godzinach, gdy spacerował po Boulevard de la Madeleine wypatrując Anglików, najchętniej podchmielonych, którzy pragnęli obejrzeć rzeczy przez prawo zakazane. Kiedy dopisało mu szczęście, zarabiał nieraz ładną sumkę. Ale jego zniszczone ubranie odstraszyło w końcu zwiedzających i nie mógł już znaleźć ludzi na tyle żądnych przygód, by powierzyli mu się z całkowitym spokojem. Potem trafiło mu się zajęcie tłumacza ogłoszeń o patentowanych środkach leczniczych, które wysyłano lekarzom do Anglii. Podczas strajku zaangażowano go jako malarza pokojowego.

A przez cały ten czas ani na chwilę nie przestał pracować nad swoją sztuką. Prędko zmęczyli go inni malarze i zdał się całkowicie na własne siły. Nigdy nie był w takiej nędzy, by nie móc kupić sobie płótna i farb, a naprawdę nic innego nie potrzebował. O ile

pojąłem, malowanie przychodziło mu z wielką trudnością, a ponieważ nie chciał przyjąć niczyjej pomocy, tracił wiele czasu na rozwiązywanie problemów technicznych, które rozwiązały już kolejno poprzednie pokolenia. Dążył do czegoś — nie wiem, do czego, i on sam może dobrze nie wiedział. Pogłębiło się jeszcze moje wrażenie, że jest to człowiek opętany. Nie wydawał się zupełnie przy zdrowych zmysłach. Myślałem, że nie chce pokazać swoich obrazów, bo w gruncie rzeczy niewiele go obchodzą. Żył w jakimś śnie, a rzeczywistość nie miała dla niego żadnego znaczenia. Odnosiłem wrażenie, że pracował nad jakimś obrazem całą siłą swej gwałtownej osobowości, niepomny na nic w wysiłku uchwycenia tego, co widział oczyma ducha. A skończywszy — nie obraz może, bo mam wrażenie, że rzadko wykańczał cokolwiek, lecz wyczerpawszy pasję, która go trawiła, przestawał się nim interesować. Nie był nigdy zadowolony z tego, co zrobił: wydawało mu się to nieporównywalne z wizją nękającą jego umysł.

— Dlaczego nigdy nie posłał pan swoich obrazów na wystawę? — spytałem. — Chyba chciałby pan wiedzieć, co ludzie o nich myślą.

— Tak pan uważa?

Nie potrafię opisać niezmiernej pogardy, jaką włożył w te trzy słowa.

— Czy nie pragnie pan sławy? Większość artystów nie jest na nią obojętna.

— Dziecinada. Jak można dbać o opinię tłumu, kiedy nie dba się za grosz o opinię jednostki?

— Nie wszyscy jesteście tak rozsądni — zaśmiałem się.

— Kto decyduje o sławie? Krytycy, pisarze, maklerzy, kobiety.

— Czy nie byłaby dla pana miłą myśl, że ludzie, których pan nie zna i nigdy nie widział na oczy, dzięki pracy rąk pańskich doznają uczuć wzniosłych i intensywnych? Każdy lubi wywierać wpływ. Nie mogę sobie wyobrazić cudowniejszego oddziaływania niż wzbudzenie w duszach ludzkich litości lub strachu.

— Melodramat.

— Dlaczego nie obchodzi pana to, czy pan maluje dobrze, czy źle?

— Nie obchodzi mnie wcale. Chcę tylko malować to, co widzę.

— Zastanawiam się, czy mógłbym pisać na bezludnej wyspie mając pewność, że nikt prócz mnie samego nie przeczyta nigdy tego, co napisałem.

Strickland nie odzywał się długą chwilę, lecz oczy jego błyszczały niezwykle, jak gdyby widział coś, co wprawiało go w ekstazę.

— Myślę czasem o wyspie zagubionej na niezmiernym oceanie, gdzie mógłbym żyć w jakiejś zacisznej dolinie, pośród nieznanych u nas drzew, w ciszy. Może tam znalazłbym to, czego pragnę.

Nie wypowiedział swojej myśli dokładnie w ten sposób. Używał gestów zamiast przymiotników i robił ciągle przerwy. Ubrałem we własne słowa to, co, jak mi się zdawało, chciał powiedzieć.

— Patrząc wstecz na ostatnie pięć lat, czy uważa pan, że były warte takiego trudu? — spytałem.

Spojrzał na mnie i spostrzegłem, że nie rozumie, o co mi chodzi. Wyjaśniłem:

— Rzucił pan wygodny dom i życie, które przeciętnie nazwać można szczęśliwym. Nieźle się przecież panu powodziło. A w Paryżu przeżył pan chyba ciężkie czasy. Gdyby pan mógł cofnąć się w przeszłość, czy zrobiliby pan jeszcze raz to samo?

— O, tak!

— Czy pan wie, że nie spytał pan nawet o żonę i dzieci? Czy nigdy pan o nich nie myśli?

— Nigdy.

— Czemu jest pan tak wściekle lakoniczny? Czy nigdy ani przez chwilę nie żałował pan przykrości i bólu, jakie im pan sprawił?

Wargi jego rozchyliły się w uśmiechu; potrząsnął przecząco głową.

— Sądziłem, że czasem myśli pan o przeszłości mimo woli.

Nie mówię o ostatnich siedmiu czy ośmiu latach, ale o jeszcze

bardziej odległych, kiedy spotkał pan po raz pierwszy swoją żonę, pokochał ją i poślubił. Czy nie pamięta pan już radości, z jaką wziął ją pan po raz pierwszy w ramiona?

— Nie myślę o przeszłości. Jedyna rzecz, która ma znaczenie, to wieczna terażniejszość.

Rozmyślałem chwilę nad tą odpowiedzią. Była ona może niezbyt zrozumiała, ale wydawało mi się, że pojmuję niejasno jej znaczenie.

— Jest pan szczęśliwy? — zapytałem.

— Tak.

Zamilkłem. Przyglądałem mu się w zamyśleniu. Wytrzymał mój wzrok, a po chwili w jego oczach zapalił się ironiczny błysk.

— Zdaje się, że nie pochwała pan mego postępowania.

— Nonsens — odparłem żywo. — Nie potępiam boa dusiciela. Interesuje mnie po prostu proces jego myślenia.

— Czy budzę w panu jedynie zainteresowanie zawodowe?

— Jedynie.

— No to ma pan rację, że mnie pan nie potępia. Pan sam ma podły charakter.

— Może dlatego czuje się pan ze mną dobrze — odpaliłem.

Uśmiechnął się sucho, ale nie odpowiedział. Trudno mi opisać ten uśmiech. Nie był on specjalnie ujmujący, ale rozjaśniał jego twarz zazwyczaj ponurą, nadając jej wyraz pogodnej złośliwości. Był to uśmiech powolny, zaczynający się i chwilami kończący w oczach. Zmysłowy, lecz ani okrutny, ani łagodny, nasuwający trochę myśl o ponurej wesołości satyra. To ten uśmiech skłonił mnie do pytania:

— Czy nie kochał się pan od czasu przyjazdu do Paryża?

— Nie mam czasu na tego rodzaju głupstwa. Życie nie jest dostatecznie długie, żeby w nim zmieścić miłość i sztukę.

— Nie wygląda pan na anachoretę.

— Te rzeczy budzą we mnie odrazę.

— Kłopotliwa jest natura ludzka, prawda? — powiedziałem.

— Czego się pan ze mnie śmieje?

- Bo panu nie wierzę.
 - No to jest pan idiotą.
- Zamilkłem i popatrzyłem na niego uważnie.
- Co za sens próbować mnie oszukać? — spytałem.
 - Nie wiem, co pan ma na myśli.

Uśmiechnąłem się.

— Niech pan pozwoli, że wyjaśnię. Wierzę, że przez miesiące całe sprawy te nie przychodzą panu na myśl i może pan wmawiać w siebie, że skończył z nimi na dobre. Cieszy się pan swobodą i czuje, że nareszcie jest panem własnej duszy. Wydaje się panu, że chodzi pan z głową wśród gwiazd. A potem nagle nie może pan już tego znieść i spostrzega, że cały czas stąpał nogami po błocie. I ma pan ochotę w nim się wytarzać. I spotyka pan kobietę ordynarną, pospolitą, wulgarną, jakieś prymitywne zwierzę, w którym przerażająca pleć głuszy wszystko, i rzuca się pan na nią jak dzika bestia. Upija się pan nią aż do zupełnego zamroczenia.

Popatrzył na mnie nie poruszając się wcale. Nie spuściłem wzroku. Mówiłem dalej bardzo wolno:

— Powiem panu jeszcze coś dziwniejszego, że potem czuje się pan niezwykle czysty. Jak bezcielesny, niematerialny duch. Wydaje się panu, że mógłby dotknąć piękna, jakby to była rzecz dotykalna. Czuje się pan ściśle złączony z podmuchem wiatru i z drzewami wypuszczającymi listki i ze zmieniającą barwę powierzchni rzeki. Czuje się pan jak Bóg. Czy potrafi mi to pan wyjaśnić?

Nie spuszczał ze mnie oczu, póki nie skończyłem, a potem odwrócił je. Na twarzy jego malował się dziwny wyraz. Pomyślałem, że tak może wyglądać człowiek zamęczony na torturach. Milczał. Wiedziałem, że nasza rozmowa jest skończona.

XXII

Zainstalowałem się w Paryżu i zacząłem pisać sztukę. Prowadziłem bardzo regularny tryb życia: rano pracowałem, a po południu błąkałem się beczynn timer po Ogrodzie Luksemburskim

lub po ulicach miasta. Spędzałem długie godziny w Luwrze, naj-
milszym ze wszystkich muzeów i najbardziej nadającym się do
rozmyślań, lub wałęsałem się po bulwarach przeglądając stare
książki, których nie zamierzałem wcale kupić. Czytałem jakąś
stronicę na wrywki i zapoznawałem się w tak przypadkowy spo-
sób z wielu pisarzami, co mi zupełnie wystarczało. Wieczorami
odwiedzałem przyjaciół. Zaglądałem często do Stroeve'ów i nie-
kiedy dzieliłem z nimi skromny posiłek. Dirk Stroeve chełpił się
umiejętnościami kulinarnymi według przepisów kuchni włoskiej i
muszę przyznać, że jego spaghetti były o wiele lepsze od jego ob-
razów. Była to królewska uczta, kiedy wnosił ogromny półmisek
spaghetti polanych obficie pomidorowym sosem. Zjadaliśmy to
wszyscy razem zagryzając smacznym domowym chlebem i zakra-
piając butelką czerwonego wina. Zżyłem się trochę z Blanką
Stroeve i wydaje mi się, że widziała mnie chętnie. Byłem Angli-
kiem, a ona spotykała niewielu Anglików. Była miła i prosta, ale
zawsze raczej milcząca, i nie wiem, czemu sprawiała wrażenie
osoby, która coś ukrywa. Ale była to może tylko wrodzona po-
wściągliwość, a podkreślała ją jeszcze gadatliwa wylewność jej
męża. Dirk nigdy nie krył się z niczym. Mówił o najbardziej in-
tymnych sprawach bez żadnego zakłopotania. Niekiedy peszył
tym żonę, a jedyny raz, kiedy widziałem ją złą, to wtedy, gdy uparł
się, że opowie mi, jak wziął na przeczyszczenie, i zagłębił się w
dość realistycznych szczegółach dotyczących tej sprawy. Śmiertel-
na powaga, z jaką opowiadał o swoich przypadłościach, przypra-
wiła mnie o paroksyzm śmiechu, co jeszcze wzmogło irytację pani
Stroeve.

— Zdaje się, że lubisz robić z siebie głupca — powiedziała.

Jego okrągłe oczy zaokrągliły się jeszcze bardziej, zmarszczył
czoło spostrzegłszy z przerażeniem, że jest zła.

— Kochanie, czy ja cię zirytowałem? Nigdy już tego nie zaży-
ję. Zrobiłem to tylko dlatego, że miałem wzdęcie. Prowadzę sie-
dzący tryb życia, mam za mało ruchu. Przez trzy dni nie miałem...

— Na miłość boską, milcz! — przerwała, a lzy gniewu pokazały się w jej oczach.

Twarz jego przygasła, wydał wargi jak skarcone dziecko. Spojrzał na mnie z niepokojem, wzywając mnie wzrokiem na pomoc, lecz ja nie mogąc się opanować wybuchnąłem śmiechem.

Pewnego dnia poszliśmy do handlarza obrazów, w którego sklepie Stroeve miał nadzieję pokazać mi parę przynajmniej obrazów Stricklanda, lecz kiedy przybyliśmy na miejsce, powiedziano nam, że Strickland zabrał je już osobiście. Kupiec nie wiedział, dlaczego on to zrobił.

— Niech panowie jednak nie myślą, że martwię się z tego powodu. Wziąłem te obrazy, by oddać przysługę panu Stroeve, i obiecałem, że sprzedam je, jeśli będę mógł. Prawdę mówiąc... — wzruszył ramionami — interesuję się młodymi talentami, ale, *vojons*¹, pański Strickland to chyba nie żaden talent.

¹ cóż (fr.)

— Daję panu słowo honoru, że nie ma dziś malarza, o którego talencie byłbym bardziej przekonany. Zaręczam, że wypuszcza pan z rąk dobry interes. Kiedyś te obrazy będą warte więcej niż wszystko, co pan ma w sklepie. Niech pan sobie przypomni Mone-ta, który nie mógł znaleźć nikogo, kto kupiłby jego obrazy po sto franków. A ile są teraz warte!

— To prawda. Ale setki malarzy równie dobrych jak Monet nie mogło w owym czasie sprzedać swoich obrazów, i te obrazy są nadal nic niewarte. Skąd można wiedzieć? Czy wartość decyduje o powodzeniu? Niech pan w to nie wierzy. *Du reste*², to się jeszcze okaże, czy ten pański przyjaciel ma talent. Nikt mu go na razie nie przypisuje prócz pana, panie Stroeve.

² zresztą (fr.)

— A w jaki sposób rozpozna pan wartość dzieła? — spytał Dirk, czerwony z gniewu.

— Jest tylko jeden sprawdzian: uznanie.

- Filister! — wykrzyknął Dirk.
- Ależ niech pan pomyśli o dawnych wielkich malarzach: o Rafaelu, Michale Aniele, Ingresie, Delacroix... wszyscy oni cieszyli się uznaniem.
- Chodźmy — powiedział do mnie Stroeve — bo zamorduję tego człowieka.

XXIII

Często widywałem Stricklanda i od czasu do czasu grywałem z nim w szachy. Miał on nierówne usposobienie. Nieraz siedział w milczeniu, myśląc najwyraźniej o czymś innym i nie zwracając uwagi na nikogo. Kiedy indziej, gdy był w dobrym humorze, rozmawiał zacinając się po swojemu. Nigdy nie mówił nic wybitnie mądrego, ale miał jakiś dar brutalnej ironii, która działała skutecznie; zawsze mówił też dokładnie to, co myślał. Nie liczył się z wrażliwością innych ludzi i bawiło go, gdy czuli się dotknięci. Ustawicznie obrażał Dirka Stroeve'a tak dotkliwie, że ten odchodził przysięgając, że nigdy się już do niego nie odezwie. W Stricklandzie tkwiła jednak jakaś siła, która przyciągała Holendra wbrew jego woli, tak że wracał łasząc się niezgrabnie jak pies, choć wiedział, że jedynym powitaniem, jakie go czeka, będzie cios, którego się obawiał.

Nie wiem, dlaczego Strickland jakoś mnie znosił. Nasze stosunki były dość dziwne. Pewnego dnia poprosił, żebym mu pożyczył pięćdziesiąt franków.

- Ani mi się śni — odparłem.
- Czemu nie?
- Nie mam ochoty.
- Jestem strasznie splukany, wie pan.
- Nic mnie to nie obchodzi.
- Nie obchodzi pana, że mogę umrzeć z głodu?
- A dlaczego, u licha, miałoby mnie obchodzić? — zapytałem z kolei.

Patrzył na mnie chwilę szarpiąc swą niechlujną brodę. Uśmiechnąłem się do niego.

- Co pana tak bawi? — spytał z błyskiem gniewu w oczach.
 - Jest pan rozbijający. Nie uznaje pan żadnych zobowiązań. Nikt nie ma ich też wobec pana.
 - Czy nie sprawiłoby to panu przykrości, gdybym powiesił się, kiedy mnie wyrzucą z mieszkania z powodu zaległego komornego?
 - Żadnej.
- Roześmiał się.
- Przechwała się pan. Gdybym to rzeczywiście zrobił, nękałyby pana wyrzuty sumienia.
 - Niech pan spróbuje, a zobaczymy — odparłem.
- Uśmiech zamigotał w jego oczach. W milczeniu popijał absynt.
- Chciałby pan zagrać w szachy? — spytałem.
 - Owszem, mogę zagrać.
- Rozstawiliśmy pionki i kiedy szachownica była gotowa, Strickland przyjrzał się jej zadowolonym wzrokiem. Jest jakieś uczucie satysfakcji, gdy patrzy się tak na swoje pionki gotowe do walki.
- Czy pan naprawdę myśli, że pożyczę panu pieniędzy? — spytałem.
 - Nie widzę powodu, dla którego miałby mi pan odmówić.
 - Zdziwiał mnie pan.
 - Dlaczego?
 - To budzi rozczarowanie, gdy się odkrywa, że w głębi duszy jest pan sentymentalny. Byłby pan bardziej sympatyczny, gdyby się pan tak szczerze nie odwoływał do mego współczucia.
 - Pogardzałbym panem, gdyby to pana wzruszyło — odrzekł.
 - To już lepiej — roześmiałem się.
- Zaczęliśmy grać. Gra pochłonęła nas. Kiedyśmy ją skończyli, powiedziałem:
- Niech pan posłucha! Jeśli jest pan w opałach, proszę pokazać swoje obrazy. Może mi się któryś spodoba i kupię go.

— Idź pan do diabła! — odparł.

Wstał i chciał wyjść. Zatrzymałem go.

— Nie zapłacił pan za swój absynt — rzekłem z uśmiechem.

Rzucił przekleństwo, cisnął na stół monetę i wyszedł.

Nie widziałem go przez szereg dni, lecz pewnego wieczoru, kiedy siedziałem w kawiarni czytając gazetę, podszedł i usiadł obok.

— Jakoś się pan jednak nie powiesił — zauważyłem.

— Nie. Dostałem zamówienie. Maluję portret kotlarza emeryta za dwieście franków.

— Jak pan zdobył to zamówienie?

— Poleciała mnie ekspedientka z piekarni, gdzie kupuję chleb. Kotlarz powiedział jej, że szuka jakiegoś portrecisty. Mam jej za to dać dwadzieścia franków.¹

¹ Obraz ten, pierwotnie własność bogatego fabrykanta z Lille, znajduje się obecnie w Galerii Narodowej w Sztokholmie. (Przyp. aut.)

— Jak on wygląda?

— Wspaniały typ. Duża, czerwona twarz jak barani udziec, na prawym policzku olbrzymia brodawka, z której wyrastają długie włosy.

Strickland był w dobrym humorze. Kiedy Dirk Stroeve przyszedł i usiadł przy nas, zaatakował go okrutnymi kpinami. Miał niezwykły talent, o który nie byłbym go posądzał, wynajdywania najbardziej czułych miejsc u nieszczęsnego Holendra. Nie posługiwał się rapierem sarkazmu, lecz twardą pałką obelgi. Ten atak był do tego stopnia nie sprowokowany, że Stroeve, zaskoczony, był zupełnie bezbronny. Przypominał przestraszoną owcę biegającą bezradnie. Był przerażony i zdumiony. W końcu łzy popłynęły mu z oczu. A najgorsze ze wszystkiego to to, że choć Strickland budził nienawiść, a widowisko było okropne, nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Dirk Stroeve należał do tych pechowych ludzi, których najszczerze wzruszenia wydają się humorystyczne.

Ale kiedy spoglądam wstecz na tę zimę spędzoną w Paryżu,

moim najmilszym wspomnieniem jest Dirk Stroeve. Jego małe mieszkanko miało wiele uroku. Oboje z żoną tworzyli wdzięczny dla wyobraźni obrazek, a jego prosta miłość do niej miała w sobie zdecydowany urok. Dirk był groteskowy, lecz szczerłość jego uczucia budziła sympatię. Rozumiałem zupełnie dobrze, że żona może go kochać, i cieszyło mnie jej serdeczne dla niego uczucie. Jeśli miała zmysł humoru, musiał bawić ją fakt, że Dirk umieścił ją na piedestale i czcił tak bałwochwalczo i bez zastrzeżeń, ale nawet jeśli śmiała się z niego, musiało ją to wzruszać i sprawiać przyjemność. Dirk był wiernym kochankiem. Choć Blanka postarzała się, choć kształty jej stały się mniej okrągłe, a uroda zbladła, dla niego z pewnością nigdy nie miała się zmienić, pozostając najpiękniejszą w świecie kobietą. Był jakiś swoisty wdzięk w ich uregulowanym życiu. Mieli tylko pracownię, sypialnię i małą kuchenkę. Pani Stroeve wykonywała sama całą domową robotę. Podczas gdy Dirk malował kiepskie obrazy, ona szła po zakupy, gotowała obiad, szyła, zajęta cały dzień jak pracowita pszczoła. Wieczorem siadała w pracowni, znowu z szyciem w rękę, a Dirk grał utwory, których — jestem pewien — na pewno nie rozumiała. Grał z dobrym smakiem, lecz z większym uczuciem, niż dany utwór wymagał: przelewał w muzykę całą swą uczuciową, sentymentalną, wylewną duszę.

Ich życie było na swój sposób sielanką: miało w sobie jakieś szczególnie piękno. Śmieszność związana ze wszystkim, co dotyczyło Dirka, nadawała temu życiu ciekawy ton — jakby nieokreślonego dysonansu. Ale sprawiała też, że stawało się jakieś bardziej proste, bardziej ludzkie. Jak rubaszny żart w poważnej scenie dodawała głębi właściwej wszystkiemu, co piękne.

XXIV

Na krótko przed Bożym Narodzeniem Dirk Stroeve przyszedł prosić mnie, bym spędził święta u niego. Miał typowy sentyment do tego dnia i pragnął spędzić go z ludźmi bliskimi podług

związanych z tą uroczystością tradycji. Żaden z nas nie widział od dwóch czy trzech tygodni Stricklanda: ja byłem zajęty przyjaciółmi bawiącymi na krótko w Paryżu; Stroeve zaś pokłócił się ze Stricklandem bardziej niż zazwyczaj i postanowił nie mieć z nim więcej do czynienia. Strickland był niemożliwy. Stroeve przysięgał, że nie odezwie się już do niego słowem. Ale okres świąteczny nastroił go serdecznie i przykra była mu myśl, że Strickland miałby spędzić samotnie dzień Bożego Narodzenia. Przypisywał mu własne uczucia i nie mógł pogodzić się z tym, by samotny malarz spędził sam radosne święto tonąc w smutku. Stroeve ustawił w pracowni choinkę. Podejrzewałem, że obaj ze Stricklandem znajdziemy śmieszne małe podarunki zwisające z ozdobionych gałązek. Stroeve jednak nie miał odwagi odwiedzić Stricklanda. Czuł się trochę upokorzony, że tak łatwo wybacza tyle obelżywych zniewag, pragnął więc, bym był obecny przy pojednaniu, na które się zdecydował.

Poszliśmy razem na Avenue de Clichy, ale nie znaleźliśmy Stricklanda w kawiarni. Chłód nie pozwolił nam siedzieć na zewnątrz, usiedliśmy więc w lokalu na krytych skórą ławach. Było gorąco i duszno, a powietrze szare od dymu. Strickland nie przyszedł, lecz po chwili spostrzeżliśmy malarza Francuza, który czasem grywał z nim w szachy. Zawarłem kiedyś z tym Francuzem przypadkową znajomość i przysiadł się teraz do naszego stolika. Stroeve spytał go, czy nie widział Stricklanda.

— Jest chory — odrzekł. — Nie wiedział pan o tym?

— Poważnie?

— Bardzo, o ile wiem.

Stroeve pobladł.

— Dlaczego nie napisał mi o tym? Jakież byłem głupi, żeby się z nim kłócić! Musimy iść zaraz do niego. Na pewno nikt się nim nie opiekuje. Gdzie on mieszka?

— Nie mam pojęcia — odrzekł Francuz.

Okazało się, że żaden z nas nie wie, jak odnaleźć Stricklanda. Stroeve był coraz bardziej strapiiony.

— On może umrzeć i żywa dusza nie będzie o tym wiedziała. To straszne. Nie mogę znieść tej myśli. Musimy go natychmiast odszukać.

Próbowałem przekonać Stroeve'a, że to idiotyzm tropić Stricklanda na oślep po Paryżu. Musimy najpierw obmyślić jakiś plan.

— No tak. Ale on przez ten czas może być umierający i kiedy go odnajdziemy, będzie za późno, by mu coś pomóc.

— Usiądźmy i pomyślmy spokojnie — odrzekłem zniecierpliwiony.

Jedyny adres, jaki znałem, to „Hôtel des Belges”, ale Strickland wyprowadził się stamtąd dawno i nikt go już na pewno nie pamiętał. Przy jego dziwnej skłonności do otaczania się tajemniczością było mało prawdopodobne, by opuszczając hotel powiedział, gdzie się przenosi. Poza tym działo się to więcej niż pięć lat temu. Byłem prawie pewny, że nie wyniósł się daleko. Jeśli nadal był w tej samej kawiarni, do której chodził mieszkając w hotelu, to prawdopodobnie dlatego, że było mu tak najwygodniej. Nagle przypomniałem sobie, że dostał zamówienie na portret za pośrednictwem piekarza, u którego kupował chleb, i przyszło mi na myśl, że tam można by zdobyć jego adres. Zażądałem książki adresowej i zacząłem szukać piekarzy. W najbliższym sąsiedztwie było ich pięciu, nie pozostawało więc nic innego jak obejść wszystkich. Stroeve niechętnie wyruszył ze mną. Jego plan polegał na tym, by spenetrować boczne ulice biegnące od Avenue de Clichy i pytać w każdym domu, czy nie mieszka tam Strickland. Mój prosty projekt okazał się jednak skuteczny, bo zapytana w drugiej z kolei piekarni kobieta za ladą powiedziała, że zna Stricklanda. Nie była pewna, gdzie on mieszka, ale wiedziała, że w jednym z trzech domów naprzeciwko. Szczęście nam dopisało i od razu w pierwszym konsjerżka poinformowała nas, że znajdziemy Stricklanda na najwyższym piętrze.

— Podobno jest chory — powiedział Stroeve.

— Możliwe — odrzekła obojętnie konsjerżka. — *En effet*¹ nie widziałam go od kilku dni.

¹ istotnie (fr.)

Stroeve pobiegł wyprzedzając mnie po schodach. Kiedy dotarłem na ostatnie piętro, zastałem go rozmawiającego z robotnikiem bez marynarki; otworzył on drzwi, do których zapukał Stroeve. Robotnik wskazał na sąsiednie drzwi. O ile wie, mieszkający tam człowiek jest malarzem. Nie widział go od tygodnia. Stroeve miał już zamiar zapukać, lecz nagle zwrócił się do mnie z bezradnym gestem. Spostrzegłem, że jest przerażony.

— A jeśli nie żyje?

— On tak łatwo nie umrze — odparłem.

Zapukałem. Nie było odpowiedzi. Spróbowałem poruszyć klamką i stwierdziłem, że drzwi są otwarte.

Weszliśmy, Stroeve szedł za mną. Pokój pograżony był w ciemności. Dostrzegłem tylko, że jest to poddasze ze spadzistym dachem. Przez małe okienko wpadał nikły promień światła, zaledwie rozjaśniający głęboką ciemność.

— Strickland! — zawołałem.

Nie otrzymałem odpowiedzi. Było tu rzeczywiście dość tajemniczo; wydawało mi się, że stojący tuż za mną Stroeve trzęsie się. Przez moment wahałem się, czy zapalić zapalną. Niejasno dostrzegłem stojące w rogu łóżko i zastanawiałem się, czy światło nie odkryje leżącego na nim martwego ciała.

— Nie masz zapalek, idioto?

Drgnąłem na ochrypy głos Stricklanda, który doszedł z ciemności. Stroeve krzyknął:

— O mój Boże, myślałem, że nie żyjesz!

Zapaliłem zapalną i rozejrzałem się za świecą. Ogarnąłem szybkim spojrzeniem małe pomieszczenie: pokój mieszkalny, a równocześnie pracownię, w którym nie dostrzegłem nic prócz łóżka, odwróconych do ściany płócien, sztalug, stołu i krzesła. Na podłodze nie było dywanu. Nie było też kominka. Na stole, na którym piętrzyły się farby, szpachle i wszelkiego rodzaju śmiecie,

stał ogarek świecy. Zapaliłem go. Strickland leżał w łóżku, w niewygodnej pozycji, bo było ono na niego za krótkie. Nakrył się dla ciepła całym swoim ubraniem. Widać było na oko, że ma dużą gorączkę. Stroeve podszedł do niego i powiedział łamiącym się ze wzruszenia głosem:

— O mój biedny przyjacielu, co ci jest? Nie miałem pojęcia, że jesteś chory. Dlaczego nie dałeś mi znać? Wiesz przecież, że zrobiłbym dla ciebie wszystko. Czy pamiętasz jeszcze, co powiedziałem? Nie wiedziałem, co mówię. Nie miałem racji. To było idiotyczne z mojej strony obrażać się na ciebie.

— Idź do diabła! — odrzekł Strickland.

— No, bądź rozsądny. Pozwól, że ci poprawię pościel. Czy nikt cię tu nie dogląda?

Rozejrzał się z przerażeniem po brudnym poddaszu. Próbował wygładzić pościel. Strickland, oddychając z trudem, trwał w gniewnym milczeniu. Rzucił mi straszne spojrzenie. Stałem spokojnie, patrząc na niego.

— Jeśli chcecie coś dla mnie zrobić, przynieście mi trochę mleka — odezwał się w końcu. — Nie miałem siły wyjść od dwóch dni.

Przy łóżku stała pusta butelka po mleku, a w kawałku gazety znajdowało się parę okruchów chleba.

— Co pan jadł? — spytałem.

— Nic.

— Od jak dawna? — krzyknął Stroeve. — Czy chcesz powiedzieć, że od dwóch dni nie miałeś nic do jedzenia ani do picia? To okropne.

— Piłem wodę.

Oczy jego spoczęły na chwilę na dużej bańce stojącej w zasięgu dłoni.

— Pójdę zaraz — rzekł Stroeve. — Czy masz na coś specjalną ochotę?

Podsunałem mu myśl, by przyniósł termometr, trochę winogron i chleb. Stroeve, szczęśliwy, że może być użyteczny, zbiegł z hałasem po schodach.

— Przeklęty głupiec! — mruknął Strickland.

Zbadałem mu puls. Bił szybko i słabo. Zadałem mu parę pytań, ale nie chciał odpowiadać, a kiedy nalegałem, odwrócił się z irytacją do ściany. Nie pozostało mi nic innego jak czekać w milczeniu. Po dziesięciu minutach wrócił zdyszany Stroeve. Prócz tego, co mówiłem, przyniósł świecę, bulion i lampkę spirytusową. Był to człowiek praktyczny, bez zwłoki zabrał się do przygotowywania mleka z chlebem. Zmierzyłem Stricklandowi temperaturę. Miał czterdzieści stopni. Był najwidoczniej poważnie chory.

XXV

Niebawem wyszliśmy od niego. Dirk szedł do domu na obiad, a ja ofiarowałem się znaleźć lekarza i przyprowadzić go, by zbadał Stricklanda. Kiedy jednak wyszliśmy na ulicę, gdzie po dusznym poddaszu wydało nam się cudownie świeżo, Holender poprosił mnie, bym poszedł z nim zaraz do jego pracowni. Miał jakiś pomysł, którego na razie nie chciał mi wyjawić, lecz nalegał, bym koniecznie udał się z nim natychmiast. Uważając, że lekarz nie może zrobić na razie więcej, niż myśmy zrobili, zgodziłem się. Zastaliśmy Blankę Stroeve nakrywającą do obiadu. Dirk podszedł do niej i ujął jej ręce.

— Kochana moja, chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła — powiedział.

Popatrzyła na niego z poważną wesołością, co stanowiło jej swoisty wdzięk. Jego czerwona twarz błyszczała od potu. Minę miał w komiczny sposób podnieconą, lecz w jego okrągłych, zdziwionych oczach widniał jakiś gorący błysk.

— Strickland jest ciężko chory. Może umrzeć. Leży sam w dusznej mansardzie, nie ma przy nim żywej duszy. Chcę cię prosić, byś pozwoliła mi przenieść go tutaj.

Wysunęła szybko ręce z jego dłoni — nigdy nie widziałem u niej tak szybkiego ruchu — i zaczerwieniła się.

— O, nie!

— Najdroższa, nie odmawiaj mi. Nie mogę go zostawić tam, gdzie jest. Nie usnąłbym ani na chwilę, myśląc o nim.

— Nie mam nic przeciwko temu, byś go pielęgnował. — Ton jej głosu był pełen rezerwy i chłodu.

— Ależ on umrze!

— To trudno.

Stroeve zachłysnął się. Otarł twarz. Odwrócił się do mnie, jakby szukał pomocy, ale ja nie wiedziałem, co powiedzieć.

— To wielki artysta.

— Co mnie to obchodzi! Nienawidzę go.

— Kochanie, skarbie, nie myślisz tak chyba naprawdę. Błagam cię, pozwól mi go tu przewieźć. Możemy go wygodnie umieścić. Może go uratujemy. Nie sprawi ci żadnego kłopotu. Ja będę wszystko koło niego robił. Postawimy mu łóżko w pracowni. Nie możemy pozwolić, by zmarniał jak pies. To by było nieludzkie.

— Dlaczego nie może pójść do szpitala?

— Do szpitala! On potrzebuje czulej opieki. Trzeba go pielęgnować z niesłychaną pieczołowitością.

Ze zdziwieniem patrzyłem na Blankę. Jakże była poruszona! Nakrywała dalej do stołu, lecz ręce jej drżały.

— Tracę doprawdy z tobą cierpliwość! Czy myślisz, że gdybyś ty był chory, on ruszyłby palcem, żeby ci pomóc?

— A cóż to ma za znaczenie? Ja miałbym ciebie. A poza tym, ja to co innego. Ja się nie liczę.

— Masz mniej ambicji niż kundel, kładziesz się na ziemi i prosisz, żeby ludzie deptali po tobie.

Stroeve zaśmiał się krótko. Wydało mu się, że zrozumiał powody zachowania się żony.

— Och, moje drogie biedactwo! Myślisz pewnie o tym dniu, kiedy on przyszedł tutaj obejrzeć moje obrazy. Cóż to ma za znaczenie, że uważa je za kicze. To była głupota z mojej strony pokazywać mu je. Ja sam uważam, że nie są bardzo dobre.

Rozejrzał się ze smutkiem po pracowni. Na sztalugach stał na pół wykończony obraz uśmiechniętego włoskiego wieśniaka, który trzymał kiść winogron nad głową ciemnookiej dziewczyny.

— Nawet jeśli obrazy nie podobały mu się, powinien był być

uprzejmy. Nie musiał cię obrażać. Okazał, że pogardza tobą, a ty liżesz go po rękach. Och, nienawidzę go!

— Dziecko drogie, on ma olbrzymi talent. Nie sądzisz chyba, iż ja uważam, że go posiadam. Chciałbym go posiadać. Ale rozpoznaję go u innych i czczę całym sercem. To najwspanialsza rzecz w świecie i wielki ciężar dla tego, kto go posiada. Dlatego trzeba być wobec takich ludzi bardzo wyrozumiałym i bardzo cierpliwym.

Stałem z boku, trochę zakłopotany tą dziwną sceną, zastanawiając się, dlaczego Stroeve tak nalegał, abym z nim przyszedł. Spozrzegłem, że jego żona jest już bliska płaczu.

— Proszę cię, byś pozwoliła mi sprowadzić go tutaj nie tylko dlatego, że to geniusz, ale i dlatego, że to biedny, chory człowiek.

— Nigdy nie wpuszczę go do mego domu, nigdy!

Stroeve zwrócił się do mnie:

— Powiedz jej, że to sprawa życia i śmierci. To niepodobieństwo zostawić go w tej ohydnej norze.

— Oczywiście, że łatwiej byłoby pielęgnować go tutaj — powiedziałem — ale naturalnie będzie to bardzo kłopotliwe. Zdaje mi się, że ktoś musi czuwać przy nim dzień i noc.

— Najdroższa, ty chyba nie ulęknieś się kłopotu.

— Jeśli on tu przyjdzie, ja odejdę — oświadczyła gwałtownie pani Stroeve.

— Nie poznaję cię. Ty, która jesteś tak dobra, tak łagodna...

— Na miłość boską, daj mi spokój! Doprowadzasz mnie do szału.

W końcu rozplakała się. Opadła na krzesło kryjąc twarz w dłoniach. Ramiona jej drgały konwulsyjnie. W jednej chwili Dirk rzucił się na kolana przed nią, objął ją całując i obsypując najczulszymi słowami, a obfite łzy spływały i po jego policzkach. Po chwili pani Stroeve wysunęła się z jego ramion i otarła oczy.

— Zostaw mnie w spokoju — powiedziała łagodnie. A potem zwracając się do mnie i usiłując się uśmiechnąć dorzuciła: — Co pan musi sobie o mnie myśleć?

Stroeve, patrząc na nią z zakłopotaniem, wahał się. Czoło jego było zmarszczone, a czerwone wargi odęte. Przypominał mi w dziwny sposób wzburzoną morską świnkę.

— A więc nie, kochanie? — zapytał w końcu.

Odpowiedziała mu znużonym głosem. Była wyczerpana.

— Pracownia jest twoja. Wszystko tu należy do ciebie. Jak mogę ci zabronić, jeśli zechcesz go tu przywieźć?

Nagły uśmiech przemknął po jego okrągłej twarzy.

— A więc zgadzasz się? Wiedziałem, że się zgodzisz. O, mój skarbie!

Nagle odzyskała siły. Popatrzyła na męża dzikim wzrokiem. Zaciśnęła ręce na sercu, jak gdyby nie mogła znieść jego bicia.

— Dirk! Odkąd się znamy, nigdy nie prosiłam cię o nic.

— Wiesz, że nie ma takiej rzeczy na świecie, której bym dla ciebie nie zrobił.

— A więc błagam cię, nie sprowadzaj tu Stricklanda. Sprowadź, kogo chcesz: złodzieja, pijaka, ulicznego włóczęgę. Obiecuję ci, że chętnie zrobię dla nich, co będzie w mojej mocy. Ale błagam cię, nie przywoź tu Stricklanda.

— Ale dlaczego?

— Boję się go. Nie wiem dlaczego, lecz jest w nim coś, co mnie przeraża. Zrobi nam jakąś wielką krzywdę. Ja to wiem. Czuję to. Jeśli go tu sprowadzisz, to się źle skończy.

— Ależ cóż to za nonsens!

— Nie, nie! Wiem, że mam rację. Spotka nas coś strasznego.

— Dlatego, że spełnimy dobry uczynek?

Z trudem chwyciła oddech, na twarzy jej malowało się niezrozumiałe przerażenie. Nie wiedziałem, co miała na myśli. Czulem, że ogarnęła ją jakaś nieokreślona obawa, która pozbawiła ją całkowicie panowania nad sobą. Na ogół odznaczała się spokojem; jej obecne podniecenie było zaskakujące. Stroeve patrzył na nią chwilę, głęboko zdziwiony.

— Jesteś moją żoną. Jesteś mi droższa nad wszystko. Nikt się tu nie sprowadzi bez twojej całkowitej zgody.

Przymknęła na chwilę oczy; zdawało mi się, że zemdleje. Zirytowała mnie, nie przypuszczałem, że to taka nerwowa kobieta.

Potem usłyszałem znów głos Stroeve'a. W dziwny sposób wdarł się on w ciszę.

— Czy ty sama nie znajdowałaś się kiedyś w strasznym położeniu, gdy wyciągnęła się do ciebie pomocna ręka? Wiesz przecież, jak wiele to znaczy. Czy nie zechcesz pomóc komuś, kiedy masz do tego okazję?

Te dość zwykle słowa brzmiały niemal jak upomnienie; prawie się uśmiechnąłem. Zdumiał mnie efekt, jaki wywarły na Blance Stroeve. Drgnęła lekko i rzuciła mężowi długie spojrzenie. On wbił oczy w podłogę. Nie wiem, czemu był zmieszany. Słaby rumieniec wypłynął na jej policzki, a potem twarz jej zszarzała, stała się trupio biała. Czulo się, że krew odpływa z całego jej ciała, nawet ręce miała białe. Wstrząsnął nią dreszcz. Cisza panująca w pracowni zdawała się ucieleśniać, stała się nieomal namacalna. Nie mogłem nic pojąć.

— Sprowadź tu Stricklanda, Dirku. Zrobię dla niego, co będę mogła.

— Ukochana! — uśmiechnął się do niej.

Chciał wziąć ją w ramiona, lecz usunęła się.

— Nie bądź taki czułościowy wobec obcych, Dirk — powiedziała. — Czuję się wtedy jak idiotka.

Zachowanie jej było teraz zupełnie normalne i nikt by nie powiedział, że przed chwilą przeżyła tak wielki wstrząs.

XXVI

Na drugi dzień przywieźliśmy Stricklanda. Skłonienie go do przeprosin wymagało wiele stanowczości i jeszcze więcej cierpliwości. Był jednak zbyt chory, by naprawdę oprzeć się namowom Stroeve'a i mej zdecydowanej postawie. Ubraliśmy go, podczas gdy on przeklinał nas słabym głosem, sprowadziliśmy ze schodów, ulokowali w dorożce, a następnie w pracowni Stroeve'a. Był tak wyczerpany, że gdy dotarliśmy na miejsce, pozwolił się bez słowa położyć do łóżka. Chorował przez sześć tygodni. W pewnej chwili wydawało się, że nie przeżyje więcej niż parę godzin; jestem

pewien, że wyszedł z tego jedynie dzięki uporowi Holendra. W życiu nie widziałem trudniejszego pacjenta. Nie był nawet wymagający czy zrzędny; przeciwnie, nigdy się nie skarżył, o nic nie prosił, był idealnie milczący. Zdawał się jednak mieć za złe opiekę, jaką się go otaczało. Wszelkie pytania dotyczące jego samopoczucia czy potrzeb przyjmował drwiną, szyderstwem lub przekleństwem. Uważałem, że zachowywał się niemożliwie, i gdy tylko znalazł się poza niebezpieczeństwem, bez wahania powiedziałem, co o tym myślę.

— Idź pan do diabła! — odrzekł krótko.

Dirk Stroeve porzucił całkiem swoją pracę i pielęgnował Stricklanda z troskliwością i współczuciem. Umiał w zręczny sposób ułożyć go wygodnie i rozwijał spryt, o który nigdy bym go nie posądzał, by skłonić chorego do zażywania lekarstw przepisanych przez lekarza. Nie było dla niego rzeczy zbyt kłopotliwej. Choć środki jego wystarczały na utrzymanie ich dwojga z żoną, z pewnością nie miał za dużo pieniędzy; teraz jednak był szaleńczo rozrzutny i kupował drogie smakołyki i nowalijki, które mogły pobudzić kapryśny apetyt Stricklanda. Nigdy nie zapomnę pełnej taktu cierpliwości, z jaką namawiał go do jedzenia. Nie peszyła go szorstkość Stricklanda. Jeśli objawiała się jedynie złym humorem, udawał, że go nie dostrzega; na agresywność odpowiadał śmiechem. Gdy Strickland, będąc już trochę zdrowszy, wpadał w dobry humor i zabawiał się jego kosztem, Stroeve umyślnie robił głupstwa, by dawać mu do tego powody. Rzucił mi wtedy krótkie, pełne radości spojrzenia, zwracając moją uwagę na to, o ile lepiej pacjent się miewa. Stroeve był naprawdę podziwu godny.

Ale jeszcze bardziej zdumiewała mnie Blanka. Okazała się nie tylko zdolną, ale i pełną oddania pielęgniarką. Nic w jej zachowaniu nie przypominało teraz, że tak gwałtownie protestowała, gdy mąż chciał ulokować Stricklanda w pracowni. Upierała się, by pomagać przy pielęgnowaniu chorego. Słała mu łóżko w ten sposób, by można było zmienić prześcieradło nie niepokojąc go. Myła go. Kiedy zwróciłem uwagę, jak dobrze to robi, odpowiedziała ze

swoim miłym uśmiechem, że przez jakiś czas pracowała w szpitalu. Nic nie wskazywało na to, że tak strasznie nienawidzi Stricklanda. Nie rozmawiała z nim wiele, lecz zgadywała wprost jego życzenia. Przez dwa tygodnie stan chorego wymagał, by ktoś czuwał przy nim całą noc; zmieniała się więc na dyżurach z mężem. Zastanawiałem się, o czym myślała w ciągu długich nocnych godzin siedząc przy łóżku chorego. Strickland wyglądał dziwacznie, gdy leżał tak chudszy niż kiedykolwiek, z rudą skołtunioną brodą i oczyma wpatrzonymi gorączkowo w próżnię. Pod wpływem choroby wydawały się one większe i błyszcząły w nienaturalny sposób.

— Czy on kiedy rozmawia z panią w nocy? — spytałem ją pewnego razu.

— Nigdy.

— Czy pani ciągle go tak nie lubi?

— Więcej niż kiedykolwiek.

Popatrzyła na mnie swymi spokojnymi szarymi oczami. Wyraz ich był tak łagodny, że trudno było uwierzyć, że jest zdolna do tak silnego wzburzenia, jakiego byłem świadkiem.

— Czy podziękował pani kiedy za to, co pani dla niego robi?

— Nie — odrzekła z uśmiechem.

— On jest nieludzki.

— Jest wstrętny.

Stroeve był oczywiście zachwycony żoną. Sam nie wiedział, jak okazać jej wdzięczność za to szczerze poświęcenie, z jakim przyjęła złożony na jej barki ciężar. Dziwiło go jednak trochę zachowanie Blanki i Stricklanda.

— Wiesz, siedzą razem godzinami nie odzywając się słowem.

Pewnego razu, gdy Strickland czuł się już na tyle lepiej, że za parę dni miał wstać z łóżka, siedziałem z nimi w pracowni. Rozmawiałem z Dirkiem. Pani Stroeve szyla; wydawało mi się, że rozpoznałem w jej rękach koszulę Stricklanda. Leżał na wznak i nic nie mówił. W pewnej chwili dojrzałem jego oczy utkwione w Blankę; malował się w nich dziwnie ironiczny błysk. Czując na

sobie jego spojrzenie, podniosła wzrok i przez chwilę patrzyli na siebie. Nie mogłem pojąć dobrze wyrazu jej oczu. Był w nich jakiś niepokój i może — ale dlaczego? — strach. Po chwili Strickland odwrócił oczy i leniwie wbił je w sufit, ale ona nie przestała wpatrywać się w niego, a wzrok jej był teraz zupełnie nieodgadniony.

Po paru dniach Strickland zaczął wstawać. Została z niego skóra i kości. Ubranie wisiało na nim jak łachmany na strachu na wróble. Ze swoją niechlujną brodą, długimi włosami, rysami zawsze trochę zbyt wyrazistymi, a teraz uwydatnionymi jeszcze przez chorobę, miał wygląd niezwykle i tak dziwaczny, że już nawet nie brzydki. W jego pozbawionej wszelkiego wdzięku postaci było coś monumentalnego. Nie wiem, jak wyrazić ściśle wrażenie, jakie na mnie wywierał. Nie było to właściwie uduchowanie, choć osłona cielesna wydawała się niemal przezroczysta, bo w twarzy jego malowała się równocześnie ohydna zmysłowość. Brzmi to jak nonsens, ale ta zmysłowość wydawała się w dziwny sposób uduchowiona. Było w nim coś prymitywnego. Jakby łączył w sobie te ciemne siły natury, które Grecy uosabiali w postaci pół ludzkiej, pół zwierzęcej, coś z satyra i z fauna. Pomyślałem o Marsjasie, którego bóg odarł ze skóry za to, że odważył się rywalizować z nim w śpiewie. W sercu Stricklanda musiały rozbrzmiewać przedziwne harmonie i kłębić się nieuchwytnie formy; przewidywałem, iż czeka go koniec w męce i rozpacz. Doznałem znów uczucia, że jest to człowiek opętany; trudno było jednak twierdzić, że opętał go duch zła, gdyż była to raczej jakaś pierwotna siła, poza wszelkim dobrem i złem.

Czuł się jeszcze zbyt osłabiony, by malować; siedział w pracowni milczący, zajęty Bóg wie jakimi marzeniami lub czytaniem. Jego gusty literackie były dziwaczne. Niekiedy zastawałem go ślęczącego nad wierszami Mallarmého; czytał je tak, jak czyta dziecko, poruszając wargami. Zastanawiałem się, jakich doznawał wzruszeń chłonąc te subtelne w rytmie i niejasne w treści zdania. Innym razem zastawałem go pochłoniętego lekturą powieści kryminalnych Gaboriau. Ciekawiła mnie myśl, że w wyborze książek

wykazywał w zabawny sposób sprzeczne cechy swej dziwnej natury. Ze zdziwieniem obserwowałem, że nawet w tym stanie zdrowia nie troszczył się zupełnie o wygodę. Stroeve lubił komfort i w jego pracowni było parę ciężkich, wyściełanych foteli i duży tapczan. Strickland nie siadywał na nich, nie dlatego, że pozował na stoika — zastałem go kiedyś samego w pracowni, siedzącego na trójnożnym taborecie — ale dlatego, że tego nie lubił. Najchętniej siadywał na kuchennym taborecie. Widok jego drażnił mnie często. Nigdy nie widziałem człowieka tak kompletnie obojętnego na to, co go otacza.

XXVII

Minęły dwa czy trzy tygodnie. Pewnego ranka, gdy praca mi nie szła, pomyślałem, że zrobię sobie święto, i poszedłem do Luwru. Wędrowałem po salach oglądając obrazy tak dobrze mi znane i pozwalając mej wyobraźni zabawiać się leniwie wrażeniami, jakie budziły. Wszedłem do długiej galerii i tam nagle spostrzegłem Stroeve'a. Uśmiechnąłem się, bo ta okrągła, jakby wystraszona figurka nie mogła nie wzbudzać śmiechu, ale gdy podszedłem bliżej, zauważyłem, że jest dziwnie smutny. Wydawał się przygnębiony, a przy tym śmieszny, jak człowiek, który wpadł w ubraniu do wody i uszedłszy śmierci, choć przestraszony jeszcze, czuje, że wygląda jak głupiec. Odwrócił się i wlepił we mnie wzrok, lecz spostrzegłem, że mnie nie widzi. Jego okrągłe niebieskie oczy za okularami miały znępany wyraz.

— Stroeve! — powiedziałem.

Drgnął lekko, a potem uśmiechnął się, lecz był to uśmiech żalony.

— Czemu tak haniebnie próżnujesz? — zapytałem wesoło.

— Dawno już nie byłem w Luwrze. Pomyślałem sobie, że trzeba przyjść zobaczyć, czy nie ma tu czego nowego.

— Ale przecież mówiłeś mi, że musisz wykończyć w tym tygodniu jakiś obraz.

— Strickland maluje w mojej pracowni.
— Jak to?
— Sam mu to zaproponowałem. Nie jest jeszcze dostatecznie silny, by wrócić do swego mieszkania. Myślałem, że będziemy mogli obaj malować u mnie. Wielu kolegów w dzielnicy ma wspólne pracownie. Myślałem, że to nawet będzie przyjemne. Zawsze wydawało mi się, że to byłoby przyjemnie mieć z kim porozmawiać, kiedy człowiek zmęczy się robotą.

Mówił to wszystko wolno, oddzielając zdanie od zdania dziwnie długimi pauzami i nie spuszczał ze mnie swych dobrych, naiwnych oczu, które były pełne łez.

— Nie bardzo rozumiem — powiedziałem.
— Strickland nie może pracować, gdy ktoś drugi jest w pracowni.

— Do licha! To przecież twoja pracownia. Niech się wynosi. Popatrzył na mnie żałośnie. Wargi mu drżały.
— Co się stało? — spytałem dość ostro.
Zawahał się i zaczerwienił. Zerknął z nieszczęśliwą miną na jeden z obrazów na ścianie.

— Nie pozwolił mi tam malować. Kazał mi się wynosić.
— Ależ dlaczego nie powiedziałeś mu, żeby sam szedł do diabła?

— Wyrzucił mnie. Nie mogłem przecież bić się z nim. Wyrzucił za mną mój kapelusz i zamknął drzwi na klucz.

Byłem wściekły na Stricklanda i oburzony na siebie, bo Stroeve był tak zabawny, że chciało mi się śmiać.

— I cóż na to twoja żona?
— Wyszła właśnie wtedy po zakupy.
— A on ją wpuści?
— Nie wiem.

Spojrzałem na Stroeve'a z zakłopotaniem. Stał jak uczeń, w którego zadaniu nauczyciel znalazł błąd.

— Czy mam wyrzucić Stricklanda z twojej pracowni? — spytałem.

Drgnął nieznacznie, a jego świecąca twarz poczerwieniała jeszcze mocniej.

— Nie. Nie mieszaj się lepiej do tego.
Skinął mi głową i odszedł. Jasne było, że z jakiegoś powodu nie chce dyskutować na ten temat. Nic nie rozumiałem.

XXVIII

Wyjaśnienie przyszło w tydzień później. Była mniej więcej dziesiąta wieczór. Zjadłem kolację sam w restauracji i wróciwszy do mego mieszkania zasiadłem w bawialni z książką. Usłyszawszy ostry dźwięk dzwonka wyszedłem na korytarz i otworzyłem drzwi. Przede mną stał Stroeve.

— Czy mogę wejść? — spytał.

W ciemnej klatce schodowej nie mogłem dojrzeć go dobrze, lecz zdziwił mnie niezwykle ton jego głosu. Gdybym nie wiedział, że nie ma on zwyczaju pić, pomyślałbym, że się upił. Wprowadziłem go do bawialni i poprosiłem, by usiadł.

— Dzięki Bogu, że cię zastałem — powiedział.

— Co się stało? — zapytałem zdumiony gwałtownym podnieceniem, jakie brzmiało w jego głosie.

Mogłem teraz przyjrzeć mu się lepiej. Zazwyczaj ubrany był schludnie, lecz teraz ubranie jego było w nieładzie. Wyglądał jakoś niechlujnie. Byłem przekonany, że pił, i uśmiechnąłem się. Zamierzałem właśnie zakpić sobie z niego, kiedy wybuchnął:

— Nie wiedziałem, gdzie pójść. Byłem już tu wcześniej, ale nie zastałem cię w domu.

— Poszedłem późno na kolację — wyjaśniłem.

Zmieniłem zdanie: to nie alkohol doprowadził go do takiej rozpacz. Twarz jego, zazwyczaj rumiana, była teraz pokryta dziwnymi cętkami. Ręce mu się trzęsły.

— Czy coś się stało? — spytałem.

— Moja żona mnie porzuciła.

Z trudem wydobył z gardła te słowa. Zachłysnął się i łzy zaczęły mu spływać po policzkach. Nie wiedziałem, co powiedzieć. W pierwszej chwili pomyślałem, że nie mogąc dłużej wytrzymać jego

kultu dla Stricklanda i zdopingowana bezczelnym zachowaniem malarza, nalegała na męża, by go wyrzucił z domu. Wiedziałem, że jest zdolna do takiego wybuchu mimo całego spokoju, jaki ją cechował. A jeśli Stroeve nadal się temu opierał, mogła wybiec z pracowni przysięgając, że nigdy już tam nie wróci. Mały człowieczek był jednak tak zgnębiony, że nie mogłem się uśmiechnąć.

— Mój drogi przyjacielu, nie martw się. Ona wróci. Nie trzeba brać zbyt serio tego, co mówią kobiety w chwili uniesienia.

— Nie rozumiesz. Ona kocha Stricklanda.

— Co takiego?! — Byłem wstrząśnięty, ale zgłębiwszy tę myśl, pojąłem natychmiast cały jej absurd. — Jak możesz być tak głupi? Nie jesteś chyba zazdrosny o Stricklanda? — Miałem ochotę roześmiać się. — Wiesz przecież dobrze, że ona nie może go znieść.

— Nic nie rozumiesz — jęknął.

— Jesteś rozhisteryzowany osioł — powiedziałem, z lekka zniecierpliwiony. — Pozwól, że dam ci whisky z wodą sodową, a zaraz poczujesz się lepiej.

Przypuszczałem, że z jakiegoś powodu — a Bóg jeden wie, co za pomysłowość rozwijają ludzie, by dręczyć samych siebie — Dirk wbił sobie w głowę, że żona zakochała się w Stricklandzie, i z właściwym sobie talentem do robienia głupstw mógł ją tak obrazić, że chcąc go rozzłościć postarała się pewnie podsycić jego podejrzenia.

— Słuchaj — powiedziałem — chodźmy do twojej pracowni. Jeśli zrobiłeś z siebie idiotę, musisz pokornie wypić piwo, którego nawarzyłeś. Nie wydaje mi się, żeby twoja żona była kobietą zdolną żywić długo mściwe uczucia.

— Jakżeż ja mogę wrócić do pracowni? — spytał znużonym tonem. — Oni tam są. Zostawiłem im mieszkanie.

— No to nie twoja żona cię opuściła. To ty ją rzuciłeś.

— Na miłość boską, nie mów do mnie w ten sposób.

Nie mogłem jeszcze ciągle traktować go poważnie. Ani przez chwilę nie wierzyłem w to, co mi opowiedział. Był jednak naprawdę szczerze zrozpaczony.

— Przyszedłeś tu, aby ze mną o tym pomówić. Opowiedz mi więc wszystko.

— Dziś po południu nie mogłem już tego dłużej znieść. Podszedłem do Stricklanda i powiedziałem mu, że wydaje mi się, iż stan jego zdrowia jest na tyle dobry, by wrócił do swego mieszkania, że potrzebuję pracowni dla siebie.

— Nikomu poza Stricklandem nie trzeba by tego mówić — zauważyłem. — Co ci odpowiedział?

— Roześmiał się krótko. Wiesz, jak on się śmieje, nie jakby go coś bawiło, lecz jakby miał do czynienia ze skończonym głupcem. Potem powiedział, że zaraz sobie pójdzie. Zaczął zgarniać swoje rzeczy. Pamiętasz, że przyniosłem z jego pokoju wszystko, co jak mi się zdawało, mogło mu się przydać. Poprosił Blankę o kawałek papieru i sznurka, by zrobić paczkę.

Stroeve urwał chwyając z trudem oddech; zdawało misie, że zemdleje. Nie była to wcale opowieść, jaką spodziewałem się usłyszeć.

— Blanka była bardzo blada, ale przyniosła papier i sznurek. Strickland nie powiedział słowa. Zrobił paczkę gwizdząc jakąś melodię. Nie zwracał na nas uwagi. W oczach jego był ironiczny uśmiech. Serce ciążyło mi jak ołów. Bałem się, że coś się stanie, żałowałem tego, co powiedziałem.

Rozejrzał się za swoim kapeluszem. Wtedy odezwała się Blanka: „Idę ze Stricklandem, Dirk. Nie mogę żyć z tobą dłużej.” Chciałem coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mi w gardle. Strickland milczał. Gwizdał dalej, jakby to wszystko nie miało z nim nic wspólnego.

Stroeve urwał znowu i otarł twarz. Siedziałem w milczeniu. Wierzyłem mu teraz i byłem wstrząśnięty. Ale nie mogłem jeszcze zrozumieć.

Opowiedział mi następnie drżącym głosem, że łzami spływającymi mu po policzkach, jak podszedł do żony próbując ją objąć, a ona odepchnęła go i poprosiła, by jej nie dotykał. Błagał ją, żeby go nie porzucała. Mówił, jak gorąco ją kocha, przypomniał przywiązanie, jakie jej okazał. Mówił o tym, jak szczęśliwie żyli. Nie gniewał się na nią. Nie robił jej wymówek.

— Pozwól mi odejść spokojnie, Dirk — powiedziała w końcu.
— Czy nie rozumiesz, że ja kocham Stricklanda? Gdzie on idzie, tam i ja muszę iść.

— Ale musisz przecież zdawać sobie sprawę, że on nigdy nie da ci szczęścia. Przez wzgląd na samą siebie nie rób tego. Nie wiesz sama, co cię czeka.

— To twoja wina. To ty nalegałeś, aby go tu sprowadzić.

Stroeve zwrócił się do Stricklanda.

— Zlituj się nad nią! — błagał. — Nie możesz pozwolić jej na popełnienie takiego szaleństwa.

— Może robić, co chce — odparł Strickland. — Nie zmuszam jej, by szła ze mną.

— Dokonałam wyboru — powiedziała Blanka głuchym głosem.

Obelżywy spokój Stricklanda pozbawił Stroeve'a resztek cierpliwości. Ogarnęła go ślepa furia i nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, rzucił się na Stricklanda. Ten, zdziwiony, zatoczył się, lecz był bardzo silny — nawet po chorobie — i w jednej chwili Stroeve, sam nie wiedząc jak, znalazł się na podłodze.

— Ty zabawny karzełku — powiedział Strickland.

Stroeve podniósł się. Dostrzegł, że żona pozostała idealnie spokojna, a fakt, że ośmieszył się wobec niej, wzmógł jeszcze jego upokorzenie. W czasie szamotania się spadły mu z nosa okulary i nie mógł ich zrazu odnaleźć. Blanka podniosła je z podłogi i podała mu bez słowa. Zdał sobie nagle sprawę ze swego nieszczęścia i choć wiedział, że ośmiesza się jeszcze bardziej, zaczął płakać. Ukrył twarz w dłoniach. Tamci patrzyli na niego w milczeniu. Nie ruszyli się z miejsca.

— O moja droga — jęknął — jak możesz być tak okrutna?

— Nie mogę inaczej, Dirk — odpowiedziała.

— Wielbiłem cię tak, jak nie była wielbiona żadna dotąd kobieta. Jeśli zrobiłem coś, co ci się nie podobało, czemu mi tego nie powiedziałaś? Zmieniłbym się. Robiłem dla ciebie, co tylko mogłem.

Nie odpowiedziała. Twarz jej była surowa; widział, że ją jedynie

nudzi. Włożyła płaszcz i kapelusz. Ruszyła w kierunku drzwi, już miała opuścić pracownię. Podeszedł do niej szybko i padł przed nią na kolana chwytając ją za ręce. Stracił wszelkie poczucie własnej godności.

— Kochana moja, nie odchodź! Nie mogę żyć bez ciebie. Zabiję się. Jeśli cię czymś obraziłem, błagam, przebac mi. Daj mi szansę. Będę się jeszcze bardziej starał uczynić cię szczęśliwą.

— Wstań, Dirk. Robisz z siebie kompletnego głupca.

Podniósł się chwiejąc się na nogach, ale ciągle jeszcze nie chciał jej puścić.

— Dokąd idziesz? — spytał pospiesznie. — Nie wiesz, jak wygląda mieszkanie Stricklanda. Nie możesz przecież tam mieszkać. To byłoby okropne.

— Jeśli mnie jest to obojętne, nie rozumiem, dlaczego ciebie miałyby to obchodzić.

— Zaczekaj jeszcze chwilę. Muszę ci coś powiedzieć, ostatecznie nie możesz odmówić wysłuchania mnie.

— Po co? Zdecydowałam się już. Nic z tego, co możesz mi powiedzieć, nie zmieni mojej decyzji.

Przełknął ślinę i przyłożył rękę do serca, by złagodzić jego bolesne bicie.

— Nie zamierzam prosić cię, żebyś zmieniła decyzję, lecz chcę, żebyś posłuchała mnie przez chwilę. To ostatnia rzecz, o jaką poproszę cię w życiu. Nie odmawiaj mi.

Zatrzymała się patrząc na niego swoim zamyślnym wzrokiem, tak w tej chwili dla niego obojętnym. Wróciła do pracowni i oparła się o stół.

— No?

Stroeve zrobił olbrzymi wysiłek, by się opanować.

— Musisz okazać trochę rozsądku. Nie możecie przecież żyć powietrzem. Strickland nie ma grosza.

— Wiem o tym.

— Będziesz cierpieć najokropniejszy niedostatek. Wiesz przecież, dlaczego tak długo nie mógł przyjść do siebie. Był na pół zagłodzony.

— Mogę na niego pracować.

— W jaki sposób?

— Nie wiem jeszcze. Obmyślę coś.

Straszna myśl przemknęła przez mózg Holendra. Zadrżał.

— Jesteś chyba szalona. Nie wiem, co cię opętało.

Wzruszyła ramionami.

— Mogę już iść?

— Zaczekaj jeszcze chwilę.

Rozejrzał się znużonym wzrokiem po pracowni. Lubił ten pokój, obecność Blanki czyniła go zacisznym. Przymknął na chwilę oczy. Potem obrzucił żonę długim spojrzeniem, jakby chciał sobie wyryć w mózgu jej obraz. Wstał i wziął kapelusz.

— Nie. To ja pójdę.

— Ty?

Była wstrząśnięta. Nie rozumiała, co Dirk chciał przez to powiedzieć.

— Nie mogę znieść myśli, byś miała mieszkać na tym okropnym, brudnym poddaszu. Ostatecznie, to tak samo twój dom jak i mój. Będzie ci tu wygodnie. Oszczędzi ci to przynajmniej najgorszej nędzy.

Podszedł do szuflady, w której trzymał pieniądze, i wyjął z niej kilka banknotów.

— Chciałbym dać ci połowę tego, co mam tutaj.

Położył pieniądze na stole. Strickland i Blanka nie wyrzekli słowa.

Potem Stroeve przypomniał sobie jeszcze o czymś.

— Czy zechcesz spakować moje rzeczy i zostawić je u konsjerżki? Przyjdę po nie jutro. — Spróbował się uśmiechnąć. — Żegnaj, kochana. Wdzięczny ci jestem za szczęście, jakie mi dałaś.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Oczyma ducha ujrzałem, jak Strickland rzuca kapelusz na stół, siada i zapala papierosa.

XXIX

Milczałem przez chwilę rozmyślając nad tym, co powiedział mi Stroeve. Nie mogłem strawić jego słabości, a on widział, że mam mu ją za złe.

— Wiesz przecież równie dobrze jak ja, czym jest mieszkanie Stricklanda — odezwał się drżącym głosem. — Nie mogłem pozwolić jej żyć w tych warunkach, po prostu nie mogłem.

— To twoja sprawa — odrzekłem.

— A jak t y byś postąpił? — spytał.

— Wiedziała, co robi. Jeśli będzie musiała znosić pewne niewygody, to jej rzecz.

— Tak. Ale, widzisz, ty jej nie kochasz.

— A ty ją jeszcze kochasz?

— Więcej niż kiedykolwiek. Strickland to nie jest człowiek, który da szczęście kobiecie. To nie może trwać. Chciałbym, żeby wiedziała, że nigdy nie zawiedzie się na mnie.

— Czy to znaczy, że jesteś gotów przyjąć ją z powrotem?

— Nie wahałbym się ani chwili. Będzie mnie wtedy potrzebowała bardziej niż kiedykolwiek. To byłoby straszne, gdyby nie miała się gdzie schronić samotna, upokorzona i złamana.

Wydawało się, iż nie odczuwa żadnej urazy do żony. Co do mnie, byłem oburzony jego brakiem ambicji; mam wrażenie, że była to normalna reakcja. Odgadł może moje myśli, bo powiedział:

— Rozumiem, że nie mogła mnie kochać tak, jak ja ją kochałem. Błazen ze mnie. Nie jestem typem mężczyzny, który budzi miłość w kobietach. Zawsze to wiedziałem. Nie mogę jej brać za złe, jeśli zakochała się w Stricklandzie.

— No, jesteś z pewnością najmniej próżnym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem — zauważyłem.

— Kocham ją o wiele bardziej niż siebie samego. Wydaje mi się, że próżność wkracza w miłość jedynie wtedy, kiedy kocha się tylko siebie. Ostatecznie zdarza się często, że żonaty mężczyzna zakochuje się w innej kobiecie; kiedy mu to przechodzi, wraca do żony, a ona przyjmuje go i wszyscy uważają to za zupełnie naturalne. Dlaczego miałyby być inaczej, jeśli chodzi o kobiety?

— Sądzę, że to logiczne rozumowanie — odrzekłem z uśmiechem — ale większość mężczyzn ma inną naturę; nie umieją się z tym pogodzić.

Przemawiając tak do Stroeve'a dziwiłem się w duchu, jak sprawa ta mogła wybuchnąć tak nagle. Trudno było sobie wyobrazić, by Stroeve nic absolutnie nie podejrzewał. Przypomnił mi się dziwny wyraz w oczach Blanki; może zaczynała sobie niejasno uświadamiać uczucie, jakie opanowało jej serce, uczucie, które zaskoczyło ją i przeraziło.

— Czy do dnia dzisiejszego nie miałaś żadnych podejrzeń, że coś ich łączy? — spytałem.

Przez chwilę nie odpowiadał. Na stole leżał ołówek. Nieświadomie zupełnie Stroeve wyrysował na bibule jakąś głowę.

— Jeśli nie chcesz, żebym zadawał ci pytania, to powiedz — rzekłem.

— Sprawia mi ulgę, że mogę mówić. O, gdybyś wiedział, jakie okropne męki przeżyłem! — Odrzucił ołówek. — Tak, wiedziałem o tym od dwóch tygodni. Wiedziałem wcześniej niż ona.

— No to dlaczego, u diabła, nie wyrzuciłeś natychmiast Stricklanda?

— Nie mogłem w to uwierzyć. Wydawało mi się to tak nieprawdopodobne. Blanka nie mogła go przecież znieść. Było to więcej niż nieprawdopodobne, było niewiarygodne. Myślałem, że powoduje mną zazdrość. Widzisz, zawsze byłem zazdrosny, ale starałem się nigdy tego nie okazywać. Byłem zazdrosny o każdego mężczyznę, którego znała. Byłem zazdrosny o ciebie. Wiedziałem, że ona mnie nie kocha tak, jak ja ją kocham. To było normalne, prawda? Ale ona pozwalała się kochać, to wystarczyło mi do szczęścia. Zmuszałem się i wychodziłem z domu na całe godziny, żeby zostawić ich samych. Chciałem ukarać siebie za to niegodne podejrzenie. A kiedy wracałem, widziałem, że nie życzy sobie mojej obecności — nie Strickland, jemu było obojętne, czy byłem w mieszkaniu, czy nie, ale Blanka. Wzdrygała się, kiedy podchodziłem, żeby ją pocałować. Kiedy wreszcie upewniłem się w moich podejrzeniach, nie wiedziałem, co robić. Zdawałem sobie sprawę,

że jeśli zrobię scenę, wyśmieją mnie. Pomyślałem, że jeśli nie powiem nic i będę udawał, że nic nie dostrzegam, wszystko wróci do normalnego stanu. Postanowiłem pozbyć się Stricklanda spokojnie, bez kłótni. Och, gdybyś wiedział, co ja wycierpiałem!

Potem opowiedział mi jeszcze raz, w jaki sposób poprosił Stricklanda, by opuścił jego dom. Wybrał moment i starał się, by prośba jego brzmiała jak najbardziej obojętnie. Nie mógł jednak opanować drżenia głosu i czuł, że w słowa, którym starał się nadać ton jowialno-przyjacielski, wkradła się gorzka nuta zazdrości. Nie spodziewał się, że Strickland zareaguje na to bez zwłoki i zacznie się od razu przygotowywać do odejścia. A przede wszystkim nie spodziewał się, że jego żona zdecyduje się pójść za nim. Widziałem, że żałował teraz, że nie umiał utrzymać języka na wodzy. Wolał męki zazdrości od bólu rozłąki.

— Chciałem go zabić, a wygłupiłem się tylko.

Milczał długą chwilę, a potem powiedział to, co jak przypuszczałem, gnębiło go.

— Gdybym był zaczekał, może wszystko byłoby dobrze. Nie powinienem był być taki niecierpliwy. O, biedne dziecko, w co ja ją wpędziłem!

Wzruszyłem ramionami, ale nie odezwałem się. Nie wspólnie czułem Blance Stroeve, wiedziałem jednak, że dotknę Dirka, gdy powiem mu, co naprawdę o niej myślę.

Osiągnął on ten stopień wyczerpania, że nie mógł przestać mówić. Odtworzył mi słowo za słowem jeszcze raz całą scenę. Co chwila przypominał mi się jeszcze jakiś szczegół, którego mi nie opowiedział. To znów roztrząsał głośno, co powinien był powiedzieć zamiast tego, co powiedział. Potem znów ubolewał nad swoją ślepotą. Żałował tego, co zrobił, wyrzucał sobie, że nie postąpił inaczej. Robiło się coraz później i w końcu byłem równie zmęczony jak on.

— Co masz zamiar teraz zrobić? — spytałem.

— Co mogę zrobić? Będę czekał, aż Blanka po mnie przyśle.

— A może wyjechałbyś na jakiś czas?

— Nie, nie! Muszę być na zawołanie, kiedy będzie mnie potrzebowała.

W obecnej chwili wydawał się zupełnie wytrącony z równowagi. Nie miał żadnych planów. Kiedy zaproponowałem, żeby się poszedł położyć, odparł, że nie potrafi zasnąć. Chciał wyjść i spacerować po ulicach aż do rana. Było jasne, że w tym stanie nie można go zostawić samego. Przekonałem go, by został u mnie na noc, i ułożyłem we własnym łóżku. W bawialni miałem kanapę i mogłem doskonale przespać się na niej. Stroeve był już teraz tak zmęczony, że nie umiał oprzeć się mojej stanowczości. Dałem mu dostateczną porcję weronału, by zapewnić mu na parę godzin utratę świadomości. Uważałem, że to najlepsza przysługa, jaką mogę mu oddać.

XXX

Posłanie, które sobie przygotowałem, było jednak na tyle niewygodne, że spędziłem bezseną noc rozmyślając wiele nad tym, co opowiedział mi nieszczęsny Holender. Nie zdziwiło mnie postępowanie Blanki Stroeve; dla mnie było ono jedynie wynikiem fizycznego pociągu. Nie sądzę, by kiedykolwiek naprawdę kochała męża. To, co brałem za jej miłość do niego, było po prostu kobiecą reakcją na serdeczność i troskliwość, którą większość kobiet myli z miłością. Jest to uczucie bierne, które można wzbudzić dla każdego obiektu, podobnie jak pnąca roślina może rosnąć oplatając się wokoło każdego drzewa. Świat daje dowód mądrości uznając moc takiego uczucia, gdy namawia dziewczynę, by poślubiła mężczyznę, który jej pragnie, w przekonaniu, że z czasem przyjdzie i miłość. Na uczucie to składają się: zadowolenie z bezpiecznego życia, duma z posiadania majątku, przyjemność, jaką sprawia świadomość, że jest się pożądaną, i radość prowadzenia własnego domu. Kobiety przypisują temu uczuciu jakieś wartości duchowe jedynie z uroczej próżności. Jest ono jednak bezbronne wobec namiętności. Podejrzewałem, że gwałtowna niechęć Blanki Stroeve do Stricklanda miała w sobie od początku jakiś pierwiastek fizycznego pociągu. Kimże ja jestem, bym próbował zgłębiać

tajemnicze sprawy płci? Może namiętność Stroeve'a podniecała, choć nie zaspokajała, tę stronę jej natury i Blanka znienawidziła Stricklanda, bo czuła, że on potrafi jej dać to, czego potrzebowała. Myślę, że zupełnie szczerze przeciwstawiała się mężowi, kiedy chciał sprowadzić malarza do pracowni. Prawdopodobnie bała się go, choć sama nie wiedziała dlaczego. Przypomniałem też sobie, że przewidywała nieszczęście. Wydaje mi się, że w jakiś niepojęty sposób wstręt, jaki odczuwała do Stricklanda, był odbiciem wstrętu, jaki budziła w niej własna osoba, dlatego tak dziwnie ją niepokoił. Wygląd jego był nieokrzesany i dziki. Miał zimne oczy i zmysłowe usta. Był wysoki i silny; robił wrażenie człowieka o niepoahamowanych namiętnościach. Może Blanka wyczuwała też w nim ów złowrogi pierwiastek, który przywodził mi na myśl dzikie istoty z początkowego okresu dziejów świata, kiedy to materia zachowując swój związek z ziemią zdawała się jednak posiadać własnego ducha. Jeśli w ogóle działał na nią, było nieuniknione, że go pokocha lub znienawidzi. Znenawidziła go.

A potem sądzę, że codzienny bliski kontakt z chorym dziwnie ją wzruszał. Unosiła mu głowę podając jedzenie, a głowa ta ciążyła jej na ręku. Nakarmiwszy go, ocierała jego zmysłowe wargi i rudą brodę. Myła mu ręce i nogi, pokryte gęstym włosiem. Osuszając mu ręce czuła, że nawet w chorobie są silne i muskularne. Miał długie, zręczne, utalentowane palce artysty. Nie wiem, jakie niepokojące myśli budziły one w Blance. Strickland spał bardzo spokojnie, nie poruszając się, tak że wyglądał jak nieżywy; przypominał jakieś dzikie zwierzę leśne, odpoczywające po długiej pogoni za zdobyczą. Blanka zastanawiała się zapewne, jakie fantazje snuł w swych snach. Czy śnił o nimfie greckiej uciekającej lasami przed ścigającym ją namiętnie satyrem? Uciekała szybko i pełna rozpacz, lecz on doganiał ją krok za krokiem, aż jego gorący oddech palił jej policzek. Wciąż umykała w milczeniu, a on gonił ją równie cicho. A gdy w końcu chwycił ją, czy to ze strachu, czy ze szczęścia drżało jej serce?

Blanka Stroeve znajdowała się w okrutnych szponach pożądania.

Może nienawidziła jeszcze ciągle Stricklanda, lecz równocześnie pragnęła go. Wszystko, czym dotąd było jej życie, straciło znaczenie. Przestała być kobietą, tak złożoną w swej osobowości: łagodną i drażliwą, czułą i nierozważną. Stała się menadą, czystym pożądaniem.

Może jednak ponosiła mnie fantazja. Może była po prostu znudzona mężem i zwróciła się do Stricklanda jedynie z obojętnej ciekawości? Mogła nie odczuwać do niego specjalnego pociągu, lecz uległa jego namiętności z lenistwa lub poczucia jakiejś z nim wspólnoty, by przekonać się, że jest bezbronna w siłach własnych nieskomplikowanych pragnień. Skąd mogłem wiedzieć, jakie myśli i uczucia kryły się za tym pogodnym czołem i chłodnymi szarymi oczami?

Jeśli nie można być niczego pewnym mając do czynienia ze stworzeniami tak nieobliczalnymi jak istoty ludzkie, to jednak postępowanie Blanki Stroeve dało się w każdym razie wytłumaczyć. Ale Stricklanda nie rozumiałem wcale. Wysilałem umysł, lecz nie umiałem w żaden sposób wyjaśnić zachowania tak sprzecznego z moim wyobrażeniem o tym człowieku. Nie było nic dziwnego w tym, że tak bezlitośnie zdradził zaufanie przyjaciela, ani w tym, że nie wahał się zaspokoić własnej zachcianki kosztem cudzego nieszczęścia. To leżało w jego charakterze. Człowiek ów nie miał najmniejszego poczucia wdzięczności czy litości. Reakcje wspólne większości ludzi dla niego po prostu nie istniały; byłoby równym nonsensem winić go za to, co winić tygrysa za dzikość i okrucieństwo. Nie rozumiałem jednak tego kaprysu Stricklanda.

Nie mogłem uwierzyć, że zakochał się w Blance Stroeve. Nie wierzyłem, że jest zdolny do miłości. To przecież uczucie, którego istotną część stanowi tkliwość, a Strickland nie roztkliwiał się ani nad sobą, ani nad innymi. W miłości zawiera się jakaś słabość, chęć opiekowania się, gotowość czynienia dobrze i sprawienia przyjemności — jeśli już nie brak egoizmu, to w każdym razie egoizm doskonale ukryty. Miłość jest też nieśmiała. Tych cech nie mogłem wyobrazić sobie u Stricklanda. Miłość pochłania. Kochający

wychodzi z siebie. Najbardziej dalekowzroczny człowiek nie może wyobrazić sobie, że uczucie jego kiedyś się skończy. Oddaje się temu, o czym wie, że jest złudzeniem, lecz wiedząc o tym, kocha to złudzenie bardziej niż rzeczywistość. Miłość czyni z człowieka coś więcej niż to, czym jest, i coś mniej zarazem. Właściwie przestaje on być sobą. Nie jest już indywidualnością, lecz przedmiotem, narzędziem do osiągnięcia jakichś celów obcych jego „ja”. Miłość nie jest nigdy zupełnie wolna od sentymentalizmu, a ze wszystkich znanych mi ludzi Strickland był najmniej skłonny do tej słabości. Nie mogłem uwierzyć, by mógł kiedykolwiek znieść to oddanie się komu innemu na własność, jakim jest miłość. Nigdy nie zniósłby obcego jarzma. Uważałem, że jest zdolny do wykorzenia ze swego serca — nawet gdyby go to miało zabołec, wycieńczyć i krwią zboczyć — wszystkiego, co stanie pomiędzy nim a tą niepojętą tęsknotą pchającą go stale ku nieznanemu celowi. Jeśli udało mi się oddać skomplikowane wrażenie, jakie wywarł na mnie Strickland, nie wyda się może zbyt śmiałością, gdy powiem, że na moje wycucie był on równocześnie człowiekiem zbyt wielkim i zbyt małym do miłości.

Sądzę jednak, że pojęcie o tym, czym jest namiętność, kształtuje się u ludzi na podstawie ich własnych cech i doznań i jest dlatego u każdego różne. Człowiek taki jak Strickland mógł kochać na jakiś swój sposób. Ale to próżny trud analizować jego uczucia.

XXXI

Stroeve opuścił mnie nazajutrz, choć nalegałem, by został. Ofiarowałem się przynieść z pracowni jego rzeczy, lecz on uparł się, że pójdzie po nie sam. Sądzę, iż miał nadzieję, że Blanka i Strickland nie pomyśleli o zapakowaniu ich i że będzie miał okazję zobaczyć raz jeszcze żonę i może nakłonić ją, by wróciła do niego. Ale wszystkie jego manatki czekały w mieszkaniu portiera, a konsjerżka powiedziała mu, że Blanka wyszła. Nie przypuszczam,

by oparł się pokusie opowiedzenia konsjerżce o swoich nieszczęściach. Przekonałem się, że opowiadał o nich wszystkim znajomym. Oczekiwał współczucia, a wzbudzał jedynie śmiech.

Postępował najbardziej niewłaściwie, jak tylko było można. Wiedząc, o której godzinie żona jego wychodzi po zakupy, pewnego dnia, nie mogąc już dłużej wytrzymać bez jej widoku, zaczepił ją na ulicy. Nie chciała z nim mówić, lecz on nalegał. Belkotał jakieś słowa przeprosin za zło, jakie kiedykolwiek mógł jej wyrządzić. Powiedział, że kocha ją gorąco i błaga, by do niego wróciła. Nie chciała mu odpowiedzieć. Przyspieszyła kroku odwracając twarz. Wyobraziłem sobie, jak na małych, tłustych nóżkach starał się ją dogonić. Dysząc wyjąkał, jak jest nieszczęśliwy. Błagał, by zlitowała się nad nim. Obiecywał, że jeśli mu przebaczy, zrobi wszystko, co ona zechce. Zaofiarował się zabrać ją w podróż. Powiedział, że Strickland bardzo prędko się nią znudzi. Kiedy powtórzył mi całą tę ohydną scenę, byłem oburzony. Nie okazał ani rozsądku, ani godności. Zrobił, co mógł, by żona musiała nim pogardzać. Nie ma gorszego okrucieństwa na świecie niż okrucieństwo kobiety wobec mężczyzny, który ją kocha, a którego ona nie darzy uczuciem. Nie ma ona wtedy dla niego serca ani nawet wyrozumiałości; drażni ją jedynie okropnie. Blanka Stroeve zatrzymała się nagle i z całej siły uderzyła męża w twarz. Korzystając z jego zmieszania umknęła i wbiegła po schodach do pracowni. Z ust jej nie padło ani jedno słowo.

Opowiadając mi tę scenę Stroeve przyłożył rękę do policzka, jakby czuł jeszcze ból po uderzeniu; w oczach jego był bolesny wyraz, który budził litość, i zdumienie, które śmieszyło. Wyglądał jak zawstydzony uczeń i choć było mi go żal, z trudem powstrzymywałem się od śmiechu.

Odtąd zaczął spacerować po ulicy, którą Blanka musiała przejść idąc po zakupy, i stawał na rogu po drugiej stronie, kiedy wychodziła z domu. Nie odważał się znowu jej zaczepiać, lecz starał się nadać swym okrągłym oczom błagalny wyraz, oddający to, co działo się w jego sercu. Spodziewał się pewnie, że widok jego nieszczęścia wzruszy Blankę.

Nie zrobiła nigdy najmniejszego gestu świadczącego o tym, że go dostrzegła. Nigdy nie zmieniła godziny swoich wędrówek i nie starała się zmienić trasy. W tej jej obojętności widziałem pewne okrucieństwo. Może cieszyły ją tortury, jakie zadawała. Zastanawiałem się, dlaczego znenawidziła go tak bardzo.

Prosiłem Stroeve'a, by zachowywał się rozsądniej. Jego brak ambicji był wprost rozpaczliwy.

— Postępując w ten sposób, nie doprowadzisz do niczego dobrego — powiedziałem. — Sądzę, że zrobiłbyś mądrzej, gdybyś dał jej laską po głowie. Nie gardziłaby wtedy tobą, tak jak gardzi.

Podsuwałem mu myśl, by wyjechał na jakiś czas do domu. Często opowiadał mi o cichym miasteczku gdzieś na północy Holandii, gdzie mieszkali jego rodzice. Byli to ludzie biedni. Ojciec był cieślą. Zajmowali mały, stary domek z czerwonej cegły, schludny i czysty, nad brzegiem spokojnego kanału. Ulice były tam szerokie i puste. W tym konającym od dwustu lat miasteczku domy zachowały swą dawną prostą dostojność. Bogaci kupcy, wysyłający towary do dalekich Indii, żyli tu spokojnie i dostatnio, a w tej przyzwoitej, choć chylącej się do upadku egzystencji był jakiś wiew dawnej wspaniałej przeszłości. Można było iść wzdłuż kanału, aż dochodziło się do rozległych zielonych pól, na których wznosiły się gdzieś wiatraki i pasły leniwie biało-czarne krowy. Sądziłem, że w tym otoczeniu, pośród wspomnień z lat chłopięcych, Dirk Stroeve zapomni o swojej niedoli. Lecz on nie chciał jechać.

— Muszę być tutaj, gdy mnie będzie potrzebowała — powtarzał. — To byłoby okropne, gdyby się stało coś złego, a ja nie byłbym na miejscu.

— A co twoim zdaniem ma się stać? — spytałem.

— Nie wiem. Boję się po prostu.

Wzruszyłem ramionami.

Mimo swoich cierpień Dirk pozostawał figurą humorystyczną. Mógłby wzbudzać litość, gdyby schudł i zmizerniał. Ale nie stało się nic podobnego. Pozostał tłusty, a jego krągłe, czerwone policzki błyszcząły jak dojrzałe jabłka. Był zawsze czysty i schludny,

nosił nadal swoją czarną marynarkę i melonik, zawsze trochę na niego za mały, w beztroski, wesoły sposób. Urósł mu nawet brzuszki. Zmartwienia nie miały żadnego wpływu na jego wygląd. Bardziej niż kiedykolwiek przypominał zamożnego komiwojażera. To przykre, że zewnętrzny wygląd człowieka tak mało nieraz odpowiada nastrojom jego duszy. Dirk Stroeve przeżywał namiętności Romea w ciele sir Tobiasza Czkawki. Miał łagodne, szlachetne usposobienie, a jednak zawsze popełniał błędy; miał prawdziwe wyczucie dla tego, co piękne, i zdolność tworzenia jedynie rzeczy banalnych; posiadał niezwykłą delikatność uczuć i ordynarne maniery. Umiał okazać takt w cudzych sprawach, ale nigdy we własnych. Cóż za okrutny naprawdę kawał spletała natura gromadząc razem tyle sprzecznych cech i stawiając tego człowieka twarzą w twarz z niepojętą obojętnością wszechświata!

XXXII

Przez szereg tygodni nie widziałem Stricklanda. Czulem do niego wstręt i gdyby się nadarzyła sposobność, z przyjemnością byłbym mu to powiedział. Uważałem jednak, że nie ma sensu szukać go specjalnie w tym celu. Odstręcza mnie zawsze trochę postawa moralnego oburzenia. Jest w niej jakiś pierwiastek zadowolenia z siebie, który człowiekowi z poczuciem humoru musi wydać się niemiły. Tylko bardzo żywe uniesienie uodpornia mnie wobec własnej śmieszności. W Stricklandzie była jakaś pełna ironii szczerłość, która czyniła mnie wrażliwym na wszystko, co mogło wydawać się pozą.

Pewnego jednak wieczoru przechodząc na Avenue de Clichy przed kawiarnią, do której przychodził Strickland i którą teraz omijałem, wpadłem wprost na niego. Szedł z Blanką Stroeve i zmierzali właśnie do ulubionego przez niego kącika.

— Gdzie, u licha, podziewał się pan cały ten czas? — zapytał.
— Myślałem, że pan wyjechał.

Ta serdeczność była dowodem, że wiedział, iż nie chcę z nim rozmawiać. Nie był to człowiek, z którym warto było tracić czas na grzeczności.

- Nie — odparłem. — Nie wyjechałem.
- Dlaczego pan tu nie przychodzi?
- W Paryżu jest więcej kawiarni, gdzie można spędzić wolną godzinę.

Blanka wyciągnęła rękę, mówiąc mi dobry wieczór. Nie wiem, czemu spodziewałem się, że zobaczę ją zmienioną. Miała na sobie tę samą szarą suknię, którą dawniej często nosiła, czystą i twardą, czoło jej było jasne, a wzrok niezmacony tak jak wtedy, gdy widywałem ją w pracowni, zajęta domowymi obowiązkami.

— Niech pan wejdzie na partię szachów — powiedział Strickland.

Nie wiem dlaczego, nie potrafiłem w tej chwili wymyślić żadnej wymówki. Z dość kwaśną miną poszedłem za nimi do stolika, przy którym zwykle siadywał Strickland. Poprosił o szachownicę i pionki. Oboje uważali sytuację za tak naturalną, że czułem, iż byłoby absurdem traktować ją inaczej. Pani Stroeve przyglądała się grze z nieprzeniknioną twarzą. Milczała, ale zawsze była miłą. Przyjrzałem się jej ustom, szukając w nich wyrazu, który naprowadziłby mnie na ślad tego, co czuła. Obserwowałem oczy, szukając jakiejś wskazówki, jakiegoś cienia trwogi czy goryczy. Śledziłem czoło, czy nie dojrzę na nim przelotnej zmarszczki, która byłaby dowodem nurtującego ją niepokoju. Ale twarz ta, jak maska, nie mówiła nic. Ręce jej spoczywały nieruchomo na kolanach, lekko zaciśnięte. Z tego, co wiedziałem o niej, była kobietą zdolną do wielkich namiętności. Bolesny cios, jaki zadała Dirkowi, człowiekowi, który kochał ją tak czule, zdradzał jej gwałtowny temperament i straszliwe okrucieństwo. Porzuciła bezpieczną przystań mężowskiej opieki i wygodny, dobrze zaopatrzony dom dla czegoś, co nie mogło być niczym innym jak niesłychanym ryzykiem. Okazała gotowość do przygody, do życia z dnia na dzień, tym dziwniejszą wobec troski, jaką wkładała dawniej w prowadzenie domu i zamięłowanie do gospodarstwa. Musiała to

być kobieta o skomplikowanym charakterze. Istniał jakiś dramatyczny kontrast między jej usposobieniem a trzeźwym zachowaniem.

Byłem podniecony tym spotkaniem i wyobrażenia moja pracowała gorączkowo, podczas gdy starałem się skupić nad grą. Usiłowałem zawsze pokonać Stricklanda; był to bowiem gracz, który gardził pokonanym przeciwnikiem. Jego radość ze zwycięstwa czyniła klęskę tym trudniejszą do zniesienia. Z drugiej strony, jeśli przegrał, przyjmował to zupełnie pogodnie. Był niemiły, gdy wygrał, lecz umiał przegrywać. Ci, którzy uważają, że człowiek nigdzie nie zdradza lepiej swego charakteru niż w grze, potrafią wyciągnąć stąd może mądre wnioski.

Kiedy skończył, zwołałem kelnera, by zapłacić za wypite trunki, i pożegnałem się z nimi. Spotkanie odbyło się bez żadnego incydentu. Nie padło żadne słowo, które dałoby mi coś do myślenia, a wszelkie domysły, jakie mogłem snuć, nie miały podstaw. Byłem zaintrygowany. Nie umiałem powiedzieć, jak wyglądały ich sprawy. Dałbym dużo za to, by być bezcielesnym duchem i móc ujrzeć ich w zaciszu pracowni i usłyszeć, o czym mówią ze sobą. Nie miałem najmniejszej wskazówki, na której mogłaby się oprzeć moja fantazja.

XXXIII

W parę dni później odwiedził mnie Dirk Stroeve.

— Słyszałem, że widziałeś Blankę — powiedział.

— Skąd, u licha, dowiedziałeś się o tym?

— Powiedział mi ktoś, kto widział cię siedzącego z nimi.

Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

— Myślałem, że sprawi ci to tylko przykrość.

— No to co z tego? Pamiętaj, że chcę znać najmniejsze szczegóły, które jej dotyczą.

Czekałem, aż zaczniesz zadawać mi pytania.

— Jak ona wygląda?

— Zupełnie się nie zmieniła.

- Czy robi wrażenie szczęśliwej?
- Wzruszyłem ramionami.
- Skąd mogę to wiedzieć! Byliśmy w kawiarni i graliśmy w szachy. Nie miałem okazji z nią pomówić.
- A nie mogłeś wywnioskować tego z jej twarzy?
- Potrząsnąłem głową. Powtarzałem tylko, że żadnym słowem, żadnym gestem nie zdradziła swoich uczuć. On wie chyba lepiej niż ja, jak jest opanowana. Zaciśnął z przejęcia ręce.
- Och, jak się boję! Wiem, że coś się stanie, coś strasznego, a ja nie mogę nic zrobić, by temu zapobiec.
- Co takiego? — spytałem.
- Nie wiem — jęknął chwytając się rękami za głowę. — Przewiduję jakąś straszną katastrofę.

Stroeve zawsze był przewrażliwiony, lecz teraz wyszedł wprost z siebie. Nie można go było przekonać. Przypuszczałem, iż jest dość prawdopodobne, że Blanka nie znieśnie długo życia ze Stricklandem, lecz jednym z najbardziej fałszywych jest przysłowie: „Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz.” Doświadczenie życiowe uczy, że ludzie stale robią rzeczy, które muszą skończyć się klęską, a jednak jakoś udaje im się uniknąć skutków swego szaleństwa. Kiedy Blanka pokłóci się ze Stricklandem, opuści go, a mąż czeka pokornie, by przebaczyć jej i o wszystkim zapomnieć. Nie potrafiłem współczuć jej głęboko.

- Widzisz, ty jej nie kochasz — powiedział Stroeve.
- Ostatecznie, nie ma dowodu na to, że jest nieszczęśliwa. Może żyli się jak małżeństwo.

Stroeve spojrział na mnie żalonym wzrokiem.

- Dla ciebie to, oczywiście, nie ma znaczenia, ale dla mnie to takie ważne, tak niesłuchanie ważne.

Pożalowałem, jeśli okazałem się niecierpliwy albo złośliwy.

- Czy chciałbyś zrobić coś dla mnie? — spytał.
- Chętnie.
- Czy napiszesz za mnie do Blanki?
- Dlaczego nie możesz napisać sam?

— Pisałem już kilkakrotnie. Nie spodziewam się, żeby mi odpowiedziała. Nie sądzę, by czytała moje listy.

— Nie bierzesz pod uwagę kobiecej ciekawości. Czy sądzisz, że ona może się jej oprzeć?

— Jeśli o mnie chodzi, tak.

Spojrzałem szybko na niego. Spuścił oczy. Ta jego odpowiedź wydała mi się szczególnie upokarzająca. Świadomy był tego, że Blanka odnosi się do niego z tak głęboką obojętnością, że widok jego pisma nie wywrze na niej najmniejszego wrażenia.

— Czy naprawdę wierzysz, że ona kiedyś do ciebie wróci? — spytałem.

— Chcę, żeby wiedziała, że kiedy przyjdzie najgorsze, może liczyć na mnie. To właśnie chcę jej powiedzieć.

Wziąłem kartkę papieru.

— Co więc mam napisać?

Oto, co napisałem:

„Szanowna Pani,

Dirk życzy sobie, bym Jej napisał, że jeśliby Pani kiedykolwiek potrzebowała go, będzie szczęśliwy mogąc być Jej użytecznym. Nie ma on do Pani żalu za to, co się stało. Jego uczucia dla Pani są niezmiennione. Zawsze znajdzie go Pani pod następującym adresem.”

XXXIV

Chociaż byłem równie jak Stroeve przekonany, że stosunki pomiędzy Blanką a Stricklandem skończą się katastrofą, nie przewidywałem, że finał będzie miał tak tragiczny przebieg. Nadeszło lato, parne i duszne. Nawet w nocy nie było chłodniej, co dałoby ukojenie zmęczonym nerwom. Spieczone słońcem ulice zdawały się zwracać żar, który prażył je przez cały dzień, a przechodnie z trudem wlekli nogi. Od tygodni nie widziałem Stricklanda. Zajęty innymi rzeczami, przestałem myśleć o nim i jego sprawach. Dirk ze swoimi próżnymi lamentami zaczął mnie już

nudzić i unikałem jego towarzystwa. Była to brudna afera i nie miałem ochoty kłopotać się nią dłużej.

Pewnego ranka siedziałem w pidżamie pochłonięty pracą. Myśli moje błądziły swobodnie wokół słonecznych wybrzeży Bretanii i rzeńskiego powiewu morza. Obok mnie stał pusty dzbanek, w którym konsjerżka przyniosła mi moją *café au lait*¹, i kawałek rogalika, na który nie miałem już apetytu. Słyszałem, jak konsjerżka krząta się obok sprząając łazienkę. Rozległ się dzwonek i poszła otworzyć. Po chwili usłyszałem głos Stroeve'a, pytającego, czy jestem w domu. Nie ruszając się krzyknąłem, by wszedł. Wkroczył szybko do pokoju i podszedł do stołu, przy którym siedziałem.

¹ kawę z mlekiem (fr.)

— Zabiła się — powiedział ochryple.

— Co takiego? — krzyknąłem wstrząśnięty.

Poruszył wargami, jakby coś mówił, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Mamrotał coś jak idiota. Serce waliło mi i sam nie wiem czemu, wpadłem w złość.

— Opamiętaj się, na miłość boską, człowieku! — krzyknąłem. — O czym ty, u licha, mówisz?

Wykonywał rozpaczliwe ruchy rękami, ale nadal żadne słowa nie wyszły z jego ust. Jakby oniemiał. Nie wiem, co mnie napadło: chwyciłem go za ramiona i potrząsnąłem nim. Patrząc teraz na to z oddalenia, jestem zły, że tak głupio się zachowałem. Prawdopodobnie ostatnie bezsenne noce rozklekotały mi nerwy więcej, niż przypuszczałem.

— Pozwól mi usiąść — wyjąkał w końcu.

Nalałem kieliszek St. Galmiera i podałem mu go do ust, jakby był dzieckiem. Wypił łyk, wylawszy trochę na koszulę.

— Kto się zabił?

Nie wiem, czemu zadałem to pytanie, bo wiedziałem o kim mówi. Zrobił wysiłek, by się opanować.

— Pokłócili się wczoraj wieczorem i on poszedł sobie.

— Czy ona nie żyje?

— Żyje. Zabrali ją do szpitala.

— No to co ty opowiadasz? — krzyknąłem zniecierpliwiony.
— Czemu mówiłeś, że się zabiła?

— Nie gniewaj się na mnie. Nic ci nie powiem, jak będziesz tak na mnie krzyczał.

Zacisnąłem dłonie starając się opanować irytację. Spróbowałem się uśmiechnąć.

— Przepraszam cię. Nie śpiesz się. Uspokój się, mój drogi.

Jego okrągłe niebieskie oczy za okularami wyrażały okropny strach. Szklą powiększające, które nosił, zniekształcały je.

— Kiedy konsjerżka przyszła dziś rano, nikt nie zareagował na jej dzwonek. Usłyszała tylko, że ktoś jęczy. Drzwi nie były zamknięte, więc weszła. Blanka leżała na łóżku. Miała okropne wymioty. Na stole stała butelka z kwasem solnym.

Stroeve ukrył twarz w dłoniach i kołysał się w przód i w tył, jęcząc.

— Czy była przytomna?

— Tak. O, gdybyś wiedział, jak ona cierpi! Nie mogę tego znieść, nie mogę! — Głos jego wznosił się do krzyku.

— Do diabła! Nie ty to musisz znosić, tylko ona! — wrzasnąłem w pasji.

— Jak możesz być tak okrutny?!

— Co zrobiłeś?

— Posłano po doktora i po mnie i zawiadomiono policję. Dałem dwadzieścia franków konsjerżce i powiedziałem, by przysłała po mnie, gdyby coś zaszło. — Urwał na chwilę. Spostrzegłem, że bardzo ciężko mu było wypowiedzieć to, co chciał mi oznajmić. — Kiedy przyszedłem, nie chciała mówić ze mną. Kazała mnie odprawić. Przysięgałem, że wybaczam jej wszystko, lecz nie chciała słuchać. Próbowała bić głową o ścianę. Doktor powiedział mi, że nie powinienem pozostawać przy niej. Powtarzała ciągle: „Zabierzcie go stąd! Zabierzcie go!” Wyszędłem i czekałem w pracowni. A kiedy przyjechała karetka pogotowia i kładli ją na nosze, kazali mi iść do kuchni, aby Blanka nie wiedziała, że jeszcze tam jestem.

Podczas gdy się ubierałem — Stroeve chciał, żebym natychmiast poszedł z nim do szpitala — opowiedział mi, że załatwił dla żony separatkę, by uchronić ją przynajmniej przed przykrą koniecznością przebywania na ogólnej sali. Po drodze do szpitala wyjaśnił mi, dlaczego prosił mnie, bym mu towarzyszył. Gdyby Blanka nadal nie chciała go widzieć, może zechce zobaczyć mnie. Błagał mnie, bym jej powtórzył, że ciągle niezmiennie ją kocha. Nie będzie jej robił żadnych wymówek, pragnie jej tylko pomóc. Nie rości sobie żadnych praw do niej i gdy wyzdrowieje, nie będzie jej nakłaniał, by do niego wróciła. Będzie zupełnie wolna.

Kiedy jednak przyszlismy do szpitala, który mieścił się w marnym, ponurym budynku — sam jego widok mógł przyprawić o mdłości — i gdy po wędrownkach od Annasza do Kaifasza, poprzez nie kończące się schody i długie korytarze o nagich ścianach, dotarliśmy wreszcie do lekarza opiekującego się chorą, dowiedzieliśmy się, że stan jej jest zbyt poważny, by ktokolwiek mógł się z nią tego dnia widzieć. Doktor, mały brodaty człowieczek w białym fartuchu, był prędki i bezceremonialny. Najwidoczniej traktował ten przypadek jak każdy inny, a zdenerwowanych krewnych jak nudziarzy, do których trzeba odnosić się stanowczo. Ponadto była to dla niego sprawa banalna: jakaś histeryczka pokłóciła się z kochankiem i zażyła truciznę. Zdarzało się to stale. Początkowo myślał, że to Dirk jest powodem tragicznego wypadku, i niepotrzebnie był wobec niego szorstki. Kiedy wyjaśniłem, że to mąż pacjentki, pragnący jej przebaczyć, doktor przyjrzał mu się nagle ciekawym, badawczym wzrokiem. Zdawało mi się, że dostrzegłem w nim błysk ironii. Co prawda Stroeve wyglądał na zdradzanego męża. Doktor nieznacznie wzruszył ramionami.

— Nie ma bezpośredniego niebezpieczeństwa — odrzekł w odpowiedzi na nasze pytania. — Nie wiadomo, ile trucizny zażyła. Możliwe, że skończy się na strachu. Kobiety stale próbują popełniać samobójstwa z miłości, ale na ogół starają się, by się im one

nie udały. Przeważnie to tylko teatralny gest, by wywołać w kochanku litość lub nastraszyć go.

W tonie jego brzmiała chłodna pogarda. Jasne było, że Blanka Stroeve jest dla niego tylko jednym przypadkiem więcej w ogólnej statystyce usiłowanych samobójstw w Paryżu tego roku. Był zajęty i nie miał dla nas więcej czasu. Kazał nam przyjść o określonej godzinie nazajutrz; jeśli Blanka będzie się czuła lepiej, możliwe, że mąż będzie mógł ją zobaczyć.

XXXV

Sam nie wiem, jak przeżyliśmy ten dzień. Stroeve nie mógł znieść samotności, a ja wysilałem się, jak umiałem, by go rozetrwać. Zabrałem go do Luwru. Udawał, że ogląda obrazy, lecz wiedziałem, że myśli jego były nieustannie przy żonie. Zmusiłem go do jedzenia, a po lunchu nakłoniłem, by się położył. Nie mógł jednak usnąć. Przyjął chętnie moje zaproszenie, by zamieszkać na parę dni u mnie. Dałem mu coś do czytania, lecz przeczytawszy parę stron odkładał książkę i wpatrywał się z rozpaczą w przestrzeń. Wieczorem graliśmy niezliczoną ilość partii pikiety. Dirk, nie chcąc udaremniać moich wysiłków, dzielnie starał się udawać zainteresowanie grą. W końcu dałem mu łyk alkoholu i zapadł w niespokojną drzemkę.

Udawszy się znów do szpitala zobaczyliśmy się z pielęgniarką. Powiedziała nam, że Blanka czuje się trochę lepiej, i poszła zapytać, czy zechce zobaczyć męża. Usłyszeliśmy głosy dobiegające z pokoju, w którym leżała, i po chwili pielęgniarka wróciła oznajmiając, że pacjentka nie chce widzieć nikogo. Powiedzieliśmy siostrze, że jeśli Blanka nie zechce widzieć Dirka, niech zapyta ją, czy zechce zobaczyć mnie, ale i na to otrzymaliśmy odpowiedź odmowną. Wargi Dirka drżały.

— Nie mam odwagi nalegać — powiedziała pielęgniarka. — Jest zbyt chora. Może za parę dni zmieni zdanie.

— Czy chce widzieć kogoś innego? — spytał Dirk głosem tak cichym, że brzmiał niemal jak szept.

— Mówi, że chce jedynie, by ją zostawiono w spokoju.

Dirk wykonał dziwny ruch rękami, jakby poruszały się samostannie, niezależnie od ciała.

— Czy zechce jej pani powtórzyć, że jeśli miałyby ochotę widzieć kogoś, mogę go sprowadzić. Pragnę tylko jednego: by była szczęśliwa.

Pielęgniarka popatrzyła na niego spokojnymi, dobrymi oczami, które znały całą nędzę i ból życia i mimo to, wypełnione wizją świata bezgrzesznego, pozostały pogodne.

— Powiem jej, kiedy się trochę uspokoi.

Dirk, pełen współczucia dla żony, błagał, by przekazała jego zlecenie natychmiast.

— To może ją uzdrowić. Błagam panią, niech pani zapyta ją teraz.

Ze słabym uśmiechem litości pielęgniarka weszła znów do pokoju. Usłyszeliśmy jej cichy głos, a potem drugi głos, którego nie poznałem, powiedział: „Nie, nie, nie!” Pielęgniarka ukazała się znowu, potrząsając głową.

— Czy to ona mówiła? — spytałem. — Głos jej brzmi tak dziwnie.

— Poparzyła kwasem struny głosowe.

Dirk wydał cichy okrzyk rozpacz. Poprosiłem go, by wyszedł i zaczekał na mnie przy wejściu, bo chcę coś powiedzieć pielęgniarce. Nie spytał, o co mi chodzi, lecz wyszedł w milczeniu. Zdawało się, że jest zupełnie bezwolny. Przypominał uległe dziecko.

— Czy powiedziała pani, dlaczego to zrobiła? — spytałem.

— Nie. Nie chce mówić. Leży spokojnie na wznak. Nie porusza się całymi godzinami. Ale ciągle płacze. Poduszka jest zupełnie mokra. Jest zbyt słaba, by użyć chustki, i łzy płyną jej po twarzy.

Serce mi się nagle ścisnęło. Zabiłbym w tej chwili Stricklanda. Żegnając się z pielęgniarką, wiedziałem, że głos mi drży.

Znalazłem Dirka czekającego na schodach. Zdawał się nic nie widzieć; nie zauważył, że podeszedłem, póki nie dotknąłem jego

ramienia. Szliśmy w milczeniu. Staralem się wyobrazić sobie, co pchnęło nieszczęsną kobietę do tego strasznego kroku. Przypuszczałem, że Strickland wie, co się stało, bo był u niego chyba ktoś z policji i on musiał składać jakieś zeznania. Nie wiedziałem, gdzie jest teraz. Sądziłem, że wrócił na nędzne poddasze, które służyło mu za pracownię. To ciekawe, że Blanka nie chciała go widzieć. Może odmówiła, by posłano po niego, bo wiedziała, że nie przyjdzie. W jakąż otchłań okrucieństwa musiała zajrzeć, że przeniknięta grozą nie chciała dłużej żyć!

XXXVI

Następny tydzień był okropny. Stroeve chodził dwa razy dziennie do szpitala po wiadomości o żonie, która nadal nie chciała go widzieć. I wracał stamtąd najpierw pełen nadziei i otuchy, bo powiedziano mu, że stan chorej się poprawia, a potem zrozpaczony, bo z powodu komplikacji, których obawiał się doktor, wyzdrowienie jej okazało się niemożliwe. Pielęgniarka współczuła Dirkowi w jego bólu, ale nie bardzo mogła go pocieszyć. Biedna Blanka leżała spokojnie, bez słowa, z wytężonym wzrokiem, jakby wypatrywała śmierci. Teraz była to już kwestia paru dni. Gdy kiedyś późnym wieczorem Stroeve przyszedł do mnie, wiedziałem, że po to, by mi oznajmić, że umarła. Był kompletnie wykończony. Przestał wreszcie gadać i opadł znużony na kanapę. Nie znalazłszy stosownych słów pociechy pozostawiłem go w spokoju. Pomyślałem, że może uznałby mnie za człowieka bez serca, gdybym zaczął czytać, usiadłem więc przy oknie paląc fajkę i czekałem, aż Dirk poczuje potrzebę mówienia.

— Bardzo byłeś dla mnie dobry — rzekł w końcu. — Wszyscy byli bardzo dobrzy.

— Nonsens — odparłem, z lekka zmieszany.

— W szpitalu powiedzieli mi, że mogę poczekać. Dali mi krzesło i usiadłem przed drzwiami. Kiedy straciła przytomność, pozwolili mi wejść. Usta i brodę miała całe poparzone kwasem.

To było straszne widzieć jej śliczną skórę okaleczoną. Umarła bardzo spokojnie, tak że nie wiedziałem o tym, póki mi pielęgniarka nie powiedziała.

Był zbyt wyczerpany, by płakać. Leżał bezwładnie na wznak, jakby cała siła uszła z jego ciała; po chwili spostrzegłem, że zasnął. Był to pierwszy normalny sen od tygodnia. Natura, niekiedy tak okrutna, jest czasem litościwa. Przykryłem go i zgasilem światło. Rano, kiedy się zbudziłem, spał jeszcze. Nie zmienił pozycji. Okulary w złotej oprawie tkwiły ciągle na jego nosie.

XXXVII

Okoliczności śmierci Blanki pociągnęły za sobą szereg przykrych formalności, lecz w końcu pozwolono nam ją pochować. Tylko my dwaj z Dirkiem odprowadzaliśmy na cmentarz żałobny karawan. Początkowo nasz powóz i karawan jechały stępą, lecz w drodze powrotnej kłusa i wydało mi się okropne, gdy woźnica powożący karawanem zaciął batem konie. Było to tak, jakby zegnało się zmarłą wzruszeniem ramion. Co jakiś czas dostrzegałem chwiejący się przed naszym powozem karawan; nasz furman pojechał konie, byśmy nie zostali w tyle. Pragnąłem w duchu już o tym wszystkim nie myśleć. Zaczynała mnie nudzić tragedia, która w gruncie rzeczy nic mnie nie obchodziła. Udając sam przed sobą, że mówię, by rozerwać trochę Stroeve'a, z ulgą skierowałem rozmowę na inne tematy.

— Czy nie myślisz, że dobrze by było, gdybyś wyjechał na jakiś czas? — spytałem. — Nie ma żadnego celu siedzieć teraz w Paryżu.

Nie odpowiedział, a ja bezlitośnie ciągnąłem dalej:

— Masz jakieś plany na najbliższą przyszłość?

— Nie.

— Musisz postarać się znowu zebrać w kupę. Dlaczego nie miałbyś pojechać do Włoch i zacząć tam pracować?

I teraz nie odpowiedział, ale nasz furman przyszedł mi z pomocą. Zwolniwszy na chwilę, przechylił się ku nam mówiąc coś.

Nie mogłem go usłyszeć, więc wysunąłem głowę przez okno. Furman chciał się dowiedzieć, gdzie wysiadzimy. Odpowiedziałem, by zaczekał chwilę.

— Może zjesz ze mną lunch? — zaproponowałem Dirkowi.
— Powiem, żeby wysadził nas na Place Pigalle.

— Wolałbym nie. Chciałbym pójść do pracowni.

Zawahałem się na chwilę.

— Czy chcesz, żebym poszedł z tobą? — spytałem znowu.

— Nie. Wolałbym być sam.

— Zgoda.

Dałem woźnicy konieczne wskazówki i znów w milczeniu pojechaliśmy dalej. Dirk nie był w pracowni od owego okropnego ranka, kiedy zabrano Blanę do szpitala. Byłem zadowolony, że nie chciał, bym mu towarzyszył, i pożegnawszy go przy drzwiach poszedłem z ulgą do domu. Widok ulic Paryża sprawił mi przyjemność; patrzyłem z uśmiechem na śpieszących w różne strony ludzi. Dzień był pogodny i słoneczny; czułem w sobie wzmożoną radość życia. Nie mogłem jej opanować. Wyrzuciłem z myśli Stroeve'a i jego kłopoty. Pragnąłem cieszyć się życiem.

XXXVIII

I znów nie widziałem go prawie tydzień. Potem odwiedził mnie około siódmej wieczór i zaprosił na obiad. Był cały w ciężkiej żałobie, a melonik miał opasany szeroką czarną wstążką. Nawet chustka do nosa miała czarny szlaczek. Ten smutny strój nasuwał myśl, że stracił w katastrofie wszystkich krewnych, jakich miał na świecie, nawet powinowatych drugiego stopnia. Jego okrągłe kształty i tłuste, czerwone policzki wyglądały przy tej żałobie zgoła niewłaściwie. To wprost okrutne, że nawet złamany tak wielkim nieszczęściem, miał w sobie zawsze coś z błazna. Zakomunikował mi, że zdecydował się wyjechać, nie do Włoch co prawda, jak mu radziłem, lecz do Holandii.

— Wyjeżdżam jutro. Widzimy się może po raz ostatni.

Bąknąłem coś, co się zwykle w takich wypadkach mówi, a on uśmiechnął się blade.

— Od pięciu lat nie byłem w domu. Zupełnie o nim zapomniałem. Na pozór tak daleko odszedłem od rodzicielskiego domu, że lęk budziła we mnie myśl powrotu; ale teraz czuję, że to jest moje jedyne schronienie.

Był rozbity i zbołały; myślami biegł ku wspomnieniom matczynej serdeczności. Śmiech, jaki budził od lat, zdawał się go teraz przytłaczać, a ostatni cios — zdrada Blanki — pozbawił go odporności, która pozwalała mu tak pogodnie znosić drwiny. Nie umiał już śmiać się z tymi, którzy śmieli się z niego. Czuł się jak wygnaniec. Opowiedział mi o swoim dzieciństwie spędzonym w schludnym murowanym domku i o matce — namiętnej porządnickiej. Jej kuchnia to był cud olśniewającej czystości. Wszystko stało tam zawsze na swoim miejscu, nie było nigdzie pyłka kurzu. Porządek to była doprawdy jej mania. Ujrzałem oczyma wyobraźni czystą, małą staruszkę, o rumianych jak jabłka policzkach, harującą od rana do nocy przez długie lata, by utrzymać dom w porządku i czystości. Ojciec Dirka był to szczupły starzec z palcami zeszywniałymi od nieustannej pracy — milczący i wyprostowany. Wieczorami czytał głośno gazetę, podczas gdy żona i córka (zameżna obecnie za kapitanem rybackiego statku), nie chcąc tracić ani chwili, słuchały pochylone nad szyciem. Nic się nigdy nie działo w tym małym miasteczku, które nie mogło nadążyć za cywilizacją; rok biegł za rokiem, aż przychodziła śmierć jak przyjaciel, by dać spoczynek tym, którzy pracowali tak mozolnie.

— Ojciec chciał, żebym był cieślą jak on. Od pięciu pokoleń trudnił się tym rzemiosłem z ojca na syna. Może na tym polega mądrość życia, by wstępować w ślady ojca nie oglądając się w prawo ani w lewo. Kiedy byłem małym chłopcem, chciałem się ożenić z córką rymarza, naszego sąsiada. Była to mała dziewczynka o niebieskich oczach i płowym warkoczyku. Utrzymałyby w moim domu porządek jak w pudełku i miałbym syna, który objąłby po mnie warsztat.

Stroeve westchnął lekko i zamilkł. Myśli jego błądziły wśród obrazów tego, co mogło być; zateśknął za bezpiecznym, spokojnym życiem, z którego zrezygnował.

— Świat jest bezlitosny i okrutny. Jesteśmy na nim nie wiadomo po co i odchodzimy nie wiadomo dokąd. Trzeba być bardzo pokornym. Dojrzeć piękno spokoju. Przejść przez życie tak nieopatrzenie, by los nas nie dostrzegł. I szukać miłości prostych, nieuczonych ludzi. Ich niewiedza jest więcej warta niż cała nasza mądrość. Bądźmy cisi, siedźmy zadowoleni w naszym kątku, łagodni i skromni jak oni. Oto cała mądrość życia.

W ten sposób przemawiał jego skołatany umysł, ale buntowałem się przeciwko takiej rezygnacji. Zachowałem jednak moje zdanie dla siebie.

— Skąd przyszło ci do głowy zostać malarzem? — spytałem.

Wzruszył ramionami.

— Tak się zdarzyło, że miałem zdolności do rysunków. Dostawałem w szkole za to nagrody. Moja biedna matka była bardzo dumna z tej umiejętności i kupiła mi w prezencie pudełko farb wodnych. Pokazywała moje rysunki pastorowi, doktorowi i sędziemu. A oni posłali je do Amsterdamu starając się dla mnie o stypendium — i dostałem je. Biedaczka była taka dumna. I choć o mało nie pękło jej serce, kiedy musiała się ze mną rozstać, uśmiechała się nie chcąc okazać mi swego smutku. Cieszyła się, że syn jej będzie artystą. Ciułali i oszczędzali, bym ja miał z czego żyć, a kiedy mój pierwszy obraz znalazł się na wystawie, przyjechali oglądać go do Amsterdamu, ojciec, matka i siostra; matka ujrawszy go rozplakała się. — Poczciwe oczy Dirka rozbłysły. — A teraz na wszystkich ścianach naszego starego domu wiszą moje obrazy w pięknych złożonych ramach.

Promieniał ze szczęścia i dumy. Pomyślałem o malowanych przez niego bezdusznych obrazach: o wieśniakach w malowniczych pozach wśród cyprysów i oliwek. Dziwnie muszą wyglądać we wspianiałych ramach na ścianach wiejskiego domku.

— Poczciwa dusza myślała, że robi rzecz nadzwyczajną kierując mnie na artystę, ale może w końcu byłoby dla mnie lepiej, gdyby zwyciężyła wola ojca i gdybym został po prostu uczciwym stolarzem.

— A teraz, kiedy wiesz, co daje sztuka, czy chciałbyś zmienić swoje życie? Czy chciałbyś wyrzec się całej tej radości, jaką ci dała?

— Sztuka jest najwspanialszą rzeczą na świecie — odrzekł po chwili.

Patrzył na mnie namyślając się. Potem powiedział:

— Czy wiesz, że poszedłem do Stricklanda?

— Ty?

Zdziwiłem się. Myślałem, że Stroeve nie zniesie jego widoku. Ale on uśmiechnął się słabo.

— Wiesz przecież, że ja nie mam ambicji.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Opowiedział mi niezwykłą historię.

XXXIX

Kiedy rozstałem się z nim po pogrzebie biednej Blanki, wrócił do domu z ciężkim sercem. Coś pchało go do pracowni, jakieś niejasne pragnienie samoudręki, a jednak bał się bólu, który przewidywał. Powlókł się po schodach na górę. Nogi nie chciały go dźwigać. Stał chwilę przed drzwiami starając się zebrać odwagę, by wejść do środka. Czuł się okropnie. Miał ochotę zbiec za mną na dół po schodach i prosić, bym wszedł tam razem z nim. Wydawało mu się, że w pracowni ktoś jest. Przypomniawszy sobie, jak często czekał parę minut na schodach, by złapać oddech po wejściu na górę, i jak jego niemądra niecierpliwosć ujrzenia Blanki znowu zapierała mu dech. Ujrzenie ją to była przyjemność, której nigdy nie miał dość, i nawet gdy był poza domem godzinę, oczekiwanie wprawiało go w takie podniecenie, jakby nie widzieli się od miesiąca. Nagle wydało mu się niemożliwe, że Blanka nie żyje. To, co się stało, to był chyba tylko sen, straszny sen. Kiedy otworzy

drzwi z klucza, ujrzy ją pochyloną nad stołem w pełnej wdzięku pozie kobiety z obrazu Chardina *Benedicite*, która zawsze wydawała mu się taka śliczna. Wyjął szybko klucz z kieszeni, otworzył i wszedł do mieszkania.

Nie wyglądało ono na opuszczone. Schłudność żony była jedną z cech, która mu się w niej tak bardzo podobała. Wychowanie, jakie odebrał, obudziło i w nim zamięłowanie do porządku. Widząc, że Blanka odruchowo stara się kłaść każdą rzecz na wyznaczonym miejscu, czuł miłe ciepło w sercu. Sypialnia wyglądała tak, jakby ją dopiero co opuściła. Szczotki były ułożone porządnie na toalecie po dwóch stronach grzebienia. Ktoś zasłał łóżko, na którym spędziła ostatnią noc. Koszula leżała w saszetce na poduszce. Trudno było wprost uwierzyć, że Blanka nigdy już nie wejdzie do tego pokoju.

Zachciało mu się pić, poszedł więc do kuchni przynieść sobie trochę wody. Tu także panował porządek. Na półce stały starannie umyte talerze, na których jedli obiad owego wieczoru, gdy pokłóciła się ze Stricklandem. Noże i widelce ułożone były w szufladzie. Pod kłosem widniały resztki sera, a w blaszanej puszcze kawałek chleba. Blanka robiła zakupy z dnia na dzień, kupując jedynie to, co było niezbędnie potrzebne, tak że nigdy nic nie zostawało na dzień następny. Stroeve wiedział z badań przeprowadzonych przez policję, że Strickland wyszedł z domu natychmiast po obiedzie. Fakt, że Blanka zmyła naczynia jak co dzień, napełnił go dreszczem przerażenia. Jej metodyczność czyniła samobójstwo bardziej rozmyślnym. Opanowanie tej kobiety było przerażające. Poczul w sercu gwałtowny ból; kolana ugięły się pod nim tak, że o mało nie upadł. Wrócił do sypialni i rzucił się na łóżko wołając głośno: „Blanko! Blanko!”

Myśl o jej cierpieniu była nie do zniesienia. Ujrzał ją nagle stojącą w kuchni — mało co większej od kredensu — zobaczył, jak zmywa talerze, szklanki, widelce i łyżki, czyści szybko do połysku noże na deseczce; a potem ustawia wszystko na właściwym miejscu, szoruje zlew i wiesza ścierkę, by wyschła — widać tam jeszcze ten szary, podarty gałgan — i rozgląda się wokoło, chcąc sprawdzić,

czy wszystko w porządku. Ujrzał, jak Blanka spuszcza zawinięte rękawy i zdejmując fartuch — fartuch ten spostrzegł na kołku za drzwiami — a potem bierze butelkę z kwasem solnym i idzie z nią do sypialni.

Obraz ten sprawił mu taki ból, że zerwał się z łóżka i wyszedł z pokoju do pracowni. Panował tam mrok, bo zasłony na dużym oknie były zaciągnięte; rozsunał je gwałtownym ruchem. Szloch wydarł mu się z gardła, kiedy szybkim spojrzeniem ogarnął pokój, gdzie kiedyś czuł się taki szczęśliwy. Nic się i tu nie zmieniło. Strickland nie zwracał uwagi na otaczające go przedmioty, mieszkał w cudzej pracowni nie myśląc o tym, by zmienić w niej cokolwiek. Urządzenie jej cechował świadomy artyzm, będący odbiciem pojęcia Stroeve'a o tym, czym powinien otaczać się artysta. Na ścianach wisiały kawałki starych brokatów, pianino przykryte było kawałkiem pięknego, lekko spłowiałego jedwabiu. W jednym rogu pokoju stała kopia Wenus Milońskiej, w drugim — Wenus Medycejskiej. Tu i tam porozstawiane były włoskie szafki z holenderskimi fajansami i płaskorzeźby. W pięknej złożonej ramie wisiała kopia obrazu Innocentego X, pędzla Velasqueza, którą Stroeve zrobił w Rzymie, i kilka jego własnych obrazów w kosztownych ramach, rozmieszczonych w ten sposób, by uwydatnić jak najbardziej ich dekoracyjny efekt. Stroeve szczylił się zawsze swoim dobrym gustem. Nigdy nie przestał cenić romantycznej atmosfery pracowni i choć teraz widok jej był dla niego jak pchnięcie nożem w serce, nie myśląc o tym, co robi, przesunął nieco stół w stylu Ludwika XV, jeden ze swoich skarbów. Nagle spostrzegł obraz odwrócony frontem do ściany. Miał większe rozmiary, niż on sam zwykł był obierać, Stroeve zdziwił się więc, skąd się tu wziął. Podszedł bliżej i przechylił płótno ku sobie, by je obejrzeć. Był to akt. Serce zaczęło mu bić szybko; odgadł od razu, że to jeden z obrazów Stricklanda. Cisnął płótnem z gniewem o ścianę. „Po cóż go tu zostawił?” — pomyślał. Lecz na skutek gwałtownego ruchu obraz spadł na podłogę. Niezależnie od tego, czyj to był obraz, nie mógł go tak zostawić w kurzu, więc schylił się po niego. Ale wtedy

zwyciężyła ciekawość. Postanowił lepiej płótno obejrzeć i przeniósł je na sztalugi. Potem cofnął się, by mu się swobodnie przyjrzeć.

Zabrakło mu tchu. Był to portret kobiety leżącej na kanapie, z jedną ręką założoną pod głowę, a drugą spoczywającą wzdłuż ciała. Jedno kolano było uniesione, druga noga wyciągnięta. Poza klasyczna. Stroeve poczuł zawrót głowy. Portret przedstawiał Blankę. Ogarnął go ból, wściekłość, zazdrość; krzyknął ochryple, zaczął bełkotać. Zacisnął pięści i podniósł je do góry grożąc niewidzialnemu wrogowi. Krzyczał na całe gardło. Wyszedł wprost z siebie. Nie mógł tego znieść. To było ponad jego siły. Rozejrzał się dzikim wzrokiem za jakimś narzędziem. Zapragnął posiekać obraz w kawałki. Nie powinien istnieć ani minuty dłużej. Nie dojrzał nic, co mogłoby posłużyć do tego celu. Poszperał w swych malarskich przyborach. Ale jakoś nie mógł tam nic znaleźć. Wrzała w nim pasja. Na koniec natrafił na to, czego potrzebował — dużą łopatkę do zeszkrobывania farby; schwycił ją jak sztylet i podbiegł do obrazu.

Opowiadając to Stroeve podniecił się tak samo jak wtedy i schwyciwszy ze stołu leżący między nami nóż potrząsnął nim. Podniósł rękę, jakby chciał zadać cios, a potem otworzył ją upuszczając z hałasem nóż na podłogę. Popatrzył na mnie z nieśmiałym uśmiechem. Zamilkł.

- Mów dalej — powiedziałem.
- Nie wiem, co mi się stało. Chciałem właśnie zrobić wielką dziurę w obrazie, ale podniósłszy rękę zobaczyłem nagle...
- Co zobaczyłeś?
- Obraz. To było dzieło sztuki. Nie mogłem go tknąć. Bałem się.

Stroeve zamilkł znowu i z otwartymi ustami patrzył na mnie wytrzeszczywszy niebieskie oczy.

- To był wielki, wspaniały obraz. Ogarnął mnie podziw i lęk. O mało nie popełniłem strasznej zbrodni. Podeszedłem bliżej, by przyjrzeć mu się lepiej; potraściłem nogą łopatkę.

Wzdrygnąłem się.

Udzieliło mi się naprawdę coś ze wzruszenia, które on przeżywał. Byłem pod dziwnym wrażeniem. Jakby mnie nagle przeniesiono w

świat zmienionych wartości. Stałem obok Stroeve'a zakłopotany, jak człowiek obcy w kraju, gdzie reakcje ludzkie na rzeczy powszednie są zupełnie różne od tych, które znał on dotąd. Stroeve próbował opisać mi obraz, lecz mówił bezładnie i musiałem domyślać się, co chce powiedzieć. Strickland zerwał pata, które go dotąd krępowały. Odnalazł nie, jak się to mówi, siebie, lecz nową duszę, pełną nie podejrzewanych mocy. Wyrażało się to nie tylko w śmiałym uproszczeniu rysunku ukazującym bogatą i oryginalną osobowość malarza; nie tylko w technice malarskiej, choć ciało kobiety namalowane zostało z cudowną namiętną zmysłowością; nie tylko w plastyczności tak ogromnej, że czuło się wprost ciężar tego ciała — w płótnie tym było także coś uduchowionego, niepokojącego i nowego, kierującego wyobraźnię na niezbrane drogi, nasuwającego myśl o mrocznych, pustych przestrzeniach, rozświetlanych jedynie blaskiem odwiecznych gwiazd, gdzie dusza, zupełnie naga i pełna przestachu, wyrusza na odkrycie nieznanego tajemnic.

Jeśli ja się wyrażam tak górnolotnie teraz, to dlatego, że i Stroeve się tak wyrażał. Wiadomo przecież, że człowiek w chwilach wzruszenia przemawia całkiem szczerze zdaniami z taniej powieści. Stroeve próbował wyrazić słowami uczucie, którego nie doświadczał dotąd, i nie umiał wyrazić się po prostu. Przypominał mistyka, próbującego opisać rzeczy niewyrażalne. Ale jedno mi uprzytomnił: ludzie rozprawiają lekkomyślnie o pięknie, a nie mając wycucia wartości słów używają bez zastanowienia tego właśnie słowa, tak że traci ono swą właściwą wymowę. A samo piękno, dzieląc nazwę z wielu pospolitymi przedmiotami, zostaje pozbawione całej swej rangi. Ludzie mówią o pięknej sukni, pięknym psie, pięknym kazaniu, a kiedy staną oko w oko z Pięknem, nie umieją go rozpoznać. Sztuczna emfaza, jaką starają się pokryć swe bezwartościowe sądy, stępia ich wrażliwość. Jak szarlatan udający duchową siłę, która tylko czasem odczuwa, tracąc moc, której nadużyli. Lecz Stroeve, niepoprawny błazen, kochał i rozumiał piękno równie uczciwie i szczerze, jak sam był uczciwy i

szczerzy. Miało ono dla niego to samo znaczenie co dla człowieka wierzącego Bóg, a kiedy je ujrzał, ogarnął go zbożny lęk.

— Co powiedziałaś Stricklandowi, kiedyś go zobaczył?

— Poprosiłem, by pojechał ze mną do Holandii.

Oniemiałem. Patrzyłem tylko na Stroeve'a ogłupiały i zdumiony.

— Obaj przecież kochaliśmy Blanę. Znalazłby się dla niego pokój w domu mojej matki. Wydaje mi się, że towarzystwo biednych, prostych ludzi dobrze podziałałoby na jego duszę. Mógłby nauczyć się od nich niejednego, co by mu się bardzo przydało.

— Co ci odpowiedział?

— Uśmiechnął się tylko. Pewnie pomyślał, że ze mnie skończony głupiec. A potem powiedział, że ma co innego na patelni.

Byłbym wolał, żeby Strickland wyraził w innych słowach swoją odmowę.

— Podarował mi portret Blanki.

Zdziwiłem się, czemu to zrobił. Ale nie powiedziałem nic i przez chwilę milczeliśmy obaj.

— Co zrobiłeś ze swoimi rzeczami? — spytałem w końcu.

— Sprowadziłem jakiegoś Żyda, który dał mi okrągłą sumkę za wszystko. Zabieram ze sobą tylko moje obrazy. Prócz nich nie posiadam teraz nic, jeszcze tylko skrzynkę z garderobą i parę książek.

— Cieszę się, że jedziesz do domu — powiedziałem.

Czułem, że to jedyna dla niego szansa zostawić za sobą całą przeszłość. Miałem nadzieję, że ból, który teraz wydawał się nie do zniesienia, złagodnieje z czasem, a błogosławione zapomnienie pomoże mu zdźwignąć raz jeszcze ciężar życia. Był przecież młody. Za parę lat spojrzy na swoje dawne nieszczęście ze smutkiem, ale bez przykrości. Prędzej czy później ożeni się w Holandii z jakąś uczciwą dziewczyną i na pewno będzie szczęśliwy. Uśmiechnąłem się na myśl o ogromnej ilości złych obrazów, które jeszcze w życiu namaluje. Nazajutrz odprowadziłem go na pociąg do Amsterdamu.

XL

Przez następny miesiąc, zajęty własnymi sprawami, nie widziałem nikogo związanego z tą nieszczęsną historią i przestałem o niej myśleć. Pewnego jednak dnia spiesząc dokądś spotkałem na ulicy Karola Stricklanda. Widok jego przypomniał mi całą grozę sprawy, o której chciałem zapomnieć. Poczulem do niego z tego powodu nagły wstręt. Ukłoniwszy się, gdyż byłoby dziecinadą udawać, że go nie widzę, przyspieszyłem kroku; lecz po chwili poczułem na ramieniu czyjąś rękę.

— Bardzo się pan spieszy? — zagadnął serdecznie.

Było to dla niego typowe: demonstrować uprzejmość wobec każdego, kto spotkawszy go okazał niechęć; mój oziębły ukłon nie mógł pozostawiać mu żadnej co do tego wątpliwości.

— Owszem — odparłem krótko.

— Pójdę z panem — oznajmił.

— Po co? — spytałem.

— Dla przyjemności towarzyszenia panu.

Nie odpowiedziałem, a on ruszył w milczeniu przy moim boku. Szliśmy tak może ze ćwierć mili. Zacząłem się czuć trochę śmieszny. Wreszcie, gdy mijaliśmy sklep z materiałami piśmiennymi, przyszło mi na myśl, żeby kupić trochę papieru. Będzie to wymówka, by pozbyć się Stricklanda.

— Wchodzę tutaj — powiedziałem. — Do widzenia.

— Zaczekam na pana.

Wzruszyłem ramionami i wszedłem do sklepu. Po namyśle zdecydowałem, że papier francuski nie jest dobrej jakości, a że wejście do sklepu i tak minęło się z moim celem, nie potrzebowałem więc już obarczać się sprawunkiem zupełnie mi niepotrzebnym. Poprosiłem o jakiś drobiazg, wiedząc, że go nie dostanę, i po chwili wyszedłem na ulicę.

— Dostał pan to, co pan chciał? — zapytał Strickland.

— Nie. Poszliśmy dalej w milczeniu, aż dotarliśmy do skrzyżowania, gdzie zbiegało się kilka ulic. Zatrzymałem się na skraju chodnika.

— Dokąd pan idzie? — spytałem.

— Tam gdzie pan — odrzekł z uśmiechem.

— Ja idę do domu.

— Pójdę z panem i wypalę u pana fajkę.

— Mógłby pan poczekać na zaproszenie — odrzekłem chłodno.

— Zrobiłbym to, gdybym uważał, że mam szansę je otrzymać.

— Czy widzi pan ten mur przed sobą? — spytałem.

— Widzę.

— Wobec tego sędzę, że mógłby pan też dostrzec, że nie pragnę pańskiego towarzystwa.

— Przyznaję, że tak mi się zdawało.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. To jedna z moich wad, że nie potrafię darzyć całkowitą antypatią człowieka, który pobudza mnie do wesołości. Opanowałem się jednak.

— Uważam, że pan jest ohydny. Jest pan najwstrętniejszym łotrem, jakiego miałem kiedykolwiek nieszczęście spotkać. Czemu szuka pan towarzystwa człowieka, który nienawidzi pana i gardzi panem?

— Mój drogi chłopcze, nie przypuszcza pan chyba, że zależy mi, u diabła, na tym, co pan o mnie myśli?

— Do licha! — odrzekłem jeszcze gwałtowniej, czując, że moja argumentacja nie jest zbyt przekonująca. — Nie chcę pana znać.

— Czy boi się pan, że wywrę na pana zły wpływ?

Ton jego sprawił, że poczułem się śmieszny. Wiedziałem, że zerka na mnie z boku, uśmiechając się ironicznie.

— Przypuszczam, że jest pan bez pieniędzy — zauważyłem zuchwale.

— Byłbym skończonym głupcem, gdybym sądził, że mam jakąkolwiek szansę pożyczania ich od pana.

— Nisko pan upadł, jeżeli ucieka się pan do pochlebstw.

Uśmiechnął się.

— Nigdy nie straci pan dla mnie naprawdę sympatii, póki dostarczam panu okazji do błyskotliwych powiedzonek.

Musiałem zagryźć wargi, by powstrzymać się od śmiechu. W tym, co powiedział, kryła się złośliwa prawda. Drugą moją wadą jest to, że lubię towarzystwo ludzi, którzy, choć zepsuci, umieją odparować cios ciosem. Czulem, że jedynie dużym wysiłkiem woli zdołam podtrzymać w sobie wstręt do Stricklanda. Znałem własną słabość, lecz wiedziałem też, że moja dezaprobata ma w sobie coś z pozy. Wiedziałem również, że jeśli ja zdaję sobie z tego sprawę, Strickland swoim wyostrzonym zmysłem wyczuje to także. Na pewno śmiał się ze mnie w duchu. Zostawiłem mu ostatnie słowo ograniczając się do wzruszenia ramionami i milczenia.

XLI

Doszliśmy do domu, w którym mieszkałem. Nie zaproponowałem mu, by wszedł za mną, lecz bez słowa zacząłem wchodzić na górę. Strickland wkroczył do mieszkania depcząc mi prawie po piętach. Nie był tu nigdy, ale nie spojrział nawet na pokój, który starałem się urządzić estetycznie. Na stole stało blaszane pudełko z tytoniem; wyciągnął swoją fajkę i napełnił ją. Usiadł na jedynym krześle bez poręczy i przechylił się na nim do tyłu.

— Jeśli pan chce się tu rozgościć, dlaczego nie usiądzie pan w fotelu? — spytałem z irytacją.

— Czemu troszczy się pan o moją wygodę?

— Nie troszczę się o pańską wygodę, lecz o własną — odparłem. — Niemilo jest patrzeć, gdy ktoś siedzi na niewygodnym krześle.

Roześmiał się, ale się nie ruszył. Palił w milczeniu, nie zwracając już na mnie uwagi, najwidoczniej pogrążony w myślach. Zastanawiałem się, po co właściwie przyszedł.

Póki długie przyzwyczajenie nie stępi wrażliwości pisarza, jest coś niepokojącego dla niego w impulsie, który skłania go do interesowania się dziwacznościami natury ludzkiej tak absorbującymi

go, że jego zmysł moralny przestaje reagować. Pisarz odkrywa w sobie artystyczne zadowolenie oglądając zło, które go nieco przeraża. Zmuszony jest jednak przyznać szczerze, że uczucie potępienia dla niektórych czynków jest u niego mniej silne niż chęć dowiedzenia się, co jest ich przyczyną. Postać lajdaka, bogata i logiczna, fascynuje jej twórcę, co jest obrazą porządku i prawa. Sądzę, że Szekspir tworzył postać Jaga z rozkoszą, której nie czuł, gdy z księżycowych promieni swej fantazji wysnuł postać Desdemony. Może tworząc czarne charaktery pisarz zaspokaja zakorzenione w nim instynkty, które dzięki wychowaniu i wpływowi cywilizowanego świata zepchnięte zostały do tajemnych głębin podświadomości. Tworząc z wyimaginowanej postaci człowieka z krwi i kości, daje życie tej części swego ja, która nie potrafi ujawnić się inaczej. W zadowoleniu, jakiego przy tym doznaje, jest uczucie wyzwolenia. Pisarzowi więcej zależy na tym, by poznać, niż na tym, by sądzić.

Czułem naprawdę szczerą wstręt do Stricklanda, a równocześnie beznamietną ciekawość odkrycia motywów jego postępowania. Intrygował mnie; byłem ciekaw, jak ustosunkował się do tragedii, spowodowanej przez niego w życiu ludzi, którzy okazali mu tyle serca. Śmiało zanurzyłem skalpel.

— Stroeve mówił mi, że namalowany przez pana portret jego żony to najlepsze pańskie dzieło.

Strickland wyjął fajkę z ust i uśmiech rozjaśnił jego oczy.

— Malowałem go z dużą przyjemnością.

— Dlaczego mu go pan podarował?

— Skończyłem go i przestał mnie interesować.

— Czy pan wie, że Stroeve o mało go nie zniszczył?

— Ten obraz nie zadowalał mnie w pełni.

Milczał chwilę, potem wyjął znowu fajkę z ust i roześmiał się.

— Czy pan wie, że ten człowieczek przyszedł do mnie?

— Czy nie wzruszyło pana ani trochę to, co panu zaproponował?

— Nie. Pomyślałem, że jest bardzo głupi i sentymentalny.

— Chyba zapomniał pan, że zrujnował mu życie? — zauważyłem.

Potarł w zamyśleniu zarośnięty podbródek.

— To bardzo kiepski malarz.

— Ale bardzo dobry człowiek.

— I doskonały kucharz — dorzucił Strickland.

W jego obojętności było coś nieludzkiego. Głęboko oburzony nie miałem zamiaru liczyć się ze słowami.

— Po prostu z samej ciekawości pragnąłbym usłyszeć, czy odczuł pan choć najmniejszy wyrzut sumienia z powodu śmierci Blanki Stroeve?

Patrzyłem uważnie w jego twarz szukając na niej jakiejś zmiany, ale pozostała nieporuszona.

— A dlaczego miałbym odczuwać? — spytał.

— Pozwoli pan, że przypomnę mu fakty. Był pan umierający, a Dirk Stroeve wziął pana do swego domu. Pielęgnował pana jak matka. Poświęcił dla pana swój czas, wygodę i pieniądze. Wyrwał pana ze szponów śmierci.

Strickland wzruszył ramionami.

— Ten głuptas lubi poświęcać się dla drugich. To jego życie.

— Zakładając, że nie miał pan wobec niego długu wdzięczności, czy musiał mu pan zabierać żonę? Byli szczęśliwi, póki pan się nie pojawił. Dlaczego nie zostawił ich pan w spokoju?

— Z czego pan wnioskuje, że byli szczęśliwi?

— To było oczywiste.

— Bystry z pana chłopak. Czy pan sądzi, że ona mogła mu kiedykolwiek wybaczyć to, co dla niej zrobił?

— O czym pan mówi?

— Czy pan nie wie, dlaczego Stroeve się z nią ożenił?

Potrząsnąłem przecząco głową.

— Była guwernantką w rodzinie jakiegoś rzymskiego księcia i jego syn ją uwiódł. Myślała, że się z nią ożeni. Wyrzucili ją dosłownie na ulicę. Spodziewała się dziecka i próbowała popełnić samobójstwo. Stroeve spotkał ją i ożenił się z nią.

— To zupełnie do niego podobne. Nie znam drugiego człowieka o tak współczującym sercu.

Często zastanawiałem się, czemu pobrała się tak źle dobrana para, ale to wyjaśnienie nigdy nie przyszło mi na myśl. To może była przyczyna niezwyklej miłości Dirka do żony. Dostrzegałem w tej miłości coś więcej niż namiętność. Przypomniałem też sobie, jak zawsze podejrzewałem, że rezerwa Blanki kryje w sobie coś, czego nie umiałem określić. Teraz jednak widziałem w tym więcej niż pragnienie ukrycia haniebną tajemnicę. Jej spokój przypominał posepny spokój unoszący się nad wyspą nawiedzoną przez huragan. Jej pogoda była pogodą rozpaczy. Strickland przerwał moje rozmyślenia uwagą, której głęboki cynizm przeraził mnie.

— Kobieta może wybaczyć mężczyźnie krzywdę, jaką jej wyrządził — powiedział — ale nigdy nie wybaczy mu, że się dla niej poświęcił.

— To zapewne pocieszająca dla pana świadomość, że panu z pewnością nie grozi zawziętość kobiet, z którymi ma pan do czynienia — odpaliłem.

Lekki uśmiech rozchylił jego wargi.

— Zawsze jest pan gotów poświęcić swoje zasady dla ciętej odpowiedzi — odrzekł.

— Co się stało z dzieckiem?

— Urodziło się nieżywe w jakieś trzy czy cztery miesiące po ich ślubie.

Doszedłem do sprawy, która mnie najbardziej intrygowała.

— Czy zechce mi pan powiedzieć, czemu w ogóle zawracał pan sobie głowę Blanką Stroeve?

Nie odpowiadał tak długo, że już miałem ochotę powtórzyć pytanie.

— Bo ja wiem — odrzekł w końcu. — Ona nie mogła znieść mego widoku. To mnie bawiło.

— Rozumiem.

Nagle zapłonął gniewem.

— Do diabła! Pożądałem jej.

Ale opanował się natychmiast i spojrzął na mnie z uśmiechem.

— Z początku była przerażona.

— Czy powiedział jej pan to?

— Nie było potrzeby. Ona wiedziała. Nigdy nie powiedziałem słowa. Bała się. W końcu wziąłem ją.

Nie wiem, co w sposobie, w jaki mi to opowiadał, tak silnie podkreślało siłę jego pożądanego. Było to krępujące i trochę niemiłe. Żył dziwnie daleki od spraw cielesnych, ale ciało jego brało niekiedy straszny odwet na duchu. Nagle budził się w nim satyr: Strickland stawał się wtedy bezsilny w mocy pierwotnych sił natury. Było to tak kompletne opętanie, że nie zostawiło w jego duszy miejsca na rozsądek czy wdzięczność.

— Ale dlaczego zdecydował się pan zabrać ją ze sobą? — spytałem.

— Wcale nie miałem tego zamiaru — odparł marszcząc czoło. — Kiedy powiedziała, że idzie ze mną, byłem nieomal tak samo zdumiony jak Stroeve. Uprzedziłem ją, że kiedy mi się znudzi, będzie musiała odejść, a ona odrzekła, że gotowa jest podjąć ryzyko. — Umilkł na chwilę. — Miała cudowne ciało, a ja chciałem właśnie malować akt. Kiedy skończyłem obraz, przestała mnie interesować.

— A ona pokochała pana całym sercem.

Zerwał się i zaczął chodzić po niewielkim pokoju.

— Nie potrzebuję miłości. Nie mam na nią czasu. Miłość to słabość. Jestem mężczyzną i czasami potrzebuję kobiety. Kiedy zaspokoję namiętność, przechodzę do innych spraw. Nie potrafię pokonać żądzy, lecz nienawidzę jej, bo więzi mego ducha. Marzę o dniu, kiedy będę wolny od wszelkich pożądań i będę mógł bez przeszkód oddać się pracy. Kobiety nie są zdolne do niczego poza miłością, dlatego nadają jej śmieszne wprost znaczenie. Chcą przekonać nas, że w tym zawiera się pełnia życia. A to jest tylko mało ważna jego część. Wiem, co to żądza. To rzecz normalna i zdrowa. Ale miłość to choroba. Kobiety są narzędziem mojej rozkoszy. Nie mam cierpliwości do ich pretensji, by traktować je jak towarzyski, partnerki czy pomocnice.

Nigdy jeszcze nie słyszałem Stricklanda mówiącego tak dużo. Rozprawiał z namiętym oburzeniem. Lecz ani teraz, ani w innym wypadku nie usiłowałem oddać dokładnie jego słów. Słownictwo jego było ubogie, nie miał on daru do gładkich, wykończonych zdań. Trzeba było kojarzyć jego myśli i domyślać się ich z wykrzykników, które rzucał, z wyrazu jego twarzy, z gestów i wulgarnych zwrotów.

— Powinien był pan żyć w czasach, gdy kobiety były traktowane jak przedmioty, a mężczyźni byli panami niewolnic — powiedziałem.

— Jestem po prostu normalnym mężczyzną.

Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu nad tą uwagą, wypowiedzianą zupełnie serio. Strickland mówił dalej, spacerując po pokoju jak zamknięte w klatce dzikie zwierzę, pragnąc za wszelką cenę wyrazić to, co czuł, lecz napotykał na ogromne trudności w ujęciu tego w jakąś uporządkowaną formę.

— Kiedy kobieta kocha mężczyznę, nie czuje się zadowolona, dopóki nie owdładnie jego duszą. Jako istota słaba, ma pasję władzy i nic poza tym jej nie zadowoli. Umysł jej jest ograniczony, irytują ją więc rzeczy abstrakcyjne, których nie może pojąć. Zajęta sprawami materialnymi, jest zazdrosna o ideały. Duch mężczyzny błądzi wśród najwyższych regionów wszechświata, a ona pragnie go uwięzić w kręgu spraw związanych z jej rachunkową książką. Pamięta pan moją żonę. Obserwowałem, jak Blanka próbowała stopniowo tych samych co ona sztuczek. Z nieskończoną cierpliwością przygotowywała się do tego, by złapać mnie w sidła i spleść. Chciała ściągnąć mnie do swego poziomu, nie dbała o to, czego ja potrzebuję, pragnęła tylko, bym należał do niej. Gotowa była zrobić dla mnie wszystko, czego pragnąłem, prócz jednego: zostawić mnie w spokoju.

Milczałem chwilę.

— I co pan sądził, że ona zrobi, kiedy ją pan porzucił?

— Mogła wrócić do Stroeve'a — odparł zniecierpliwiony. — Gotów był przyjąć ją z powrotem.

— Jest pan nieludzki — odparłem. — Rozmowa z panem

na te tematy jest równie bezcelowa jak opisywanie kolorów człowiekowi ślepemu od urodzenia.

Zatrzymał się przed krzesłem, na którym siedziałem, i patrzył na mnie wzrokiem pełnym pogardliwego zdumienia.

— Pana to naprawdę ziębi albo grzeje, czy Blanka Stroeve żyje, czy umarła?

Zastanowiłem się nad tym pytaniem, bo chciałem odpowiedzieć na nie szczerze, w każdym razie wobec samego siebie.

— Może to brak współczucia z mojej strony, że nie bardzo przejmuję się jej śmiercią. Życie miało jej jeszcze wiele możliwości do ofiarowania. To straszne, że w tak okropny sposób pozbawiono ją tych możliwości, lecz wstydę się, że naprawdę niewiele mnie to obchodzi.

— Nie ma pan odwagi swoich przekonań. Życie nie ma żadnej wartości. Blanka Stroeve nie dlatego popełniła samobójstwo, że ja ją rzuciłem, ale dlatego, że była niemądrą i nie zrównoważoną kobietą. Ale mówiliśmy już dość o niej. Była to zupełnie nieważna osoba. Niech pan idzie ze mną, pokażę panu moje obrazy.

Powiedział to tak, jakbym był dzieckiem, które trzeba czymś zabawić. Byłem zły nie tyle na niego, co na siebie. Pomyślałem o szczęśliwym życiu, jakie ta para, Stroeve i jego żona, wiodła w wygodnej pracowni na Montmartrze, o ich prostocie, dobroci i gościnności. Wydawało mi się bezlitosne, by to wszystko rozbiło się w kawałki dzięki okrutnemu przypadkowi. A najokrutniejsze ze wszystkiego było to, że w istocie ta sprawa nie miała wielkiego znaczenia. Świat toczył się dalej i nikogo to nic nie obchodziło. Wydawało mi się, że Dirk, człowiek zdolny raczej do reakcji emocjonalnych niż do głębokich uczuć, prędko zapomni. A życie Blanki, rozpoczęte z Bóg wie jak wielkimi nadziejami i marzeniami, mogło równie dobrze nigdy się nie rozpocząć. Wszystko wydawało się bezcelowe i bezsensowne.

Strickland odnalazł swój kapelusz i stał patrząc na mnie.

— Idzie pan?

— Czemu szuka pan mego towarzystwa? — spytałem. — Wie pan przecież, że pogardzam panem i nienawidzę pana.

Roześmiał się dobrodusznie.

— Jedyny punkt niezgody między nami to naprawdę ten, że nie dbam za grosz o to, co pan myśli o mnie.

Poczułem, że policzki poczerwieniały mi pod wpływem nagłego gniewu. Niemożliwością było wytłumaczyć Stricklandowi, że jego nieczułość i samolubstwo muszą budzić oburzenie. Pragnąłem przebić zbroję jego kompletnej obojętności. Wiedziałem też, że to, co mówi, było przecież prawdą. Nieświadomie może cenimy władzę, jaką mamy nad ludźmi, jeśli oni liczą się z naszym sądem o nich; nienawidzimy tych, na których nie mamy wpływu. Wydaje mi się, że to najboleśniej rani ludzką ambicję. Nie chciałem jednak, by Strickland widział, że jestem zirytowany.

— Czyż to możliwe, by człowiek całkowicie lekceważył ludzi? — powiedziałem do siebie raczej niż do niego. — Jest się w życiu we wszystkim zależnym od innych. To absurd żyć tylko sobą i dla siebie. Prędzej czy później zachoruje pan, będzie pan stary i znużony i wtedy przyczołga się pan z powrotem do ludzkiego stada. Czy nie będzie panu wstyd, kiedy poczuje pan pragnienie pociechy i współczucia? Próbuje pan rzeczy niemożliwej. Prędzej czy później ludzka istota w panu zatęskni do wspólnych więzów człowieczeństwa.

— Niech pan pójdzie ze mną i obejrzy moje obrazy.

— Czy myślał pan kiedy o śmierci?

— A po co miałbym myśleć? Śmierć nie ma znaczenia.

Spojrzałem na niego. Stał przede mną bez ruchu. W jego oczach był szyderczy uśmiech. Ale mimo to przez chwilę ujrzałem tego dumnego, umęczonego człowieka, dążącego do czegoś większego, niż pojąć może istota związana z ciałem. Dojrzałem przełotnie pogoń za tym, co niewyrażalne. Patrzyłem na stojącego przede mną mężczyznę w zniszczonym ubraniu, z dużym nosem i płonącymi oczami, z rudą brodą i rozwichrzoną czupryną. I doznałem dziwnego wrażenia, że to tylko osłona i że znajduję się w obecności bezcielesnego ducha.

— Chodźmy obejrzyć pańskie obrazy — powiedziałem.

XLII

Nie wiem, czemu Strickland zaproponował nagle, że mi je pokaże. Ucieszyłem się z tej okazji. Dzieło człowieka odkrywa nam jego samego. W stosunkach towarzyskich odsłania on tylko cechy powierzchowne, podług których chce być sądzony przez świat; prawdziwą wiedzę o nim zdobyć można jedynie na podstawie tych uczynków, z których nie zdaje sobie sprawy, i z przelotnych wrażeń odbijających się bezwiednie na jego twarzy. Niekiedy ludzie doprowadzają do takiej doskonałości nałożoną maskę, że po pewnym czasie stają się naprawdę takimi, na jakich wyglądają. Lecz w swojej książce lub obrazie człowiek ukazuje się zupełnie bezbrony. Udawanie demaskuje jedynie jego nicłość. Drzewo pomalowane na imitację żelaza zawsze wygląda jak drzewo. Żadne pozowanie na dziwaczość nie zatuszuje pospolitości umysłu. Bystremu obserwatorowi nie można pokazać najbardziej błędnego nawet dzieła nie odkrywając równocześnie przed nim najgłębszych tajników swej duszy.

Przyznaję, że wchodząc po nie kończących się schodach domu, w którym mieszkał Strickland, byłem podniecony. Wydawało mi się, że znajduję się na progu niezwyklej przygody. Rozejrzałem się z ciekawością po pokoju, w którym się znalazłem. Był on jeszcze mniejszy i bardziej pusty, niż pozostał w mojej pamięci. Zastanawiałem się, co powiedzieliby niektórzy moi przyjaciele, którzy domagają się obszernych pracowni i zaklinają się, że nie mogą pracować nie mając odpowiednich warunków.

— Może stanie pan tutaj — powiedział Strickland wskazując mi miejsce, z którego mogłem najlepiej, jego zdaniem, obejrzeć to, co miał mi do pokazania.

— Nie chce pan chyba, bym wyrażał swój sąd? — powiedziałem.

— Nie, do licha! Chcę, żeby pan milczał.

Umieścił na sztalugach obraz i pozwolił mi przyglądać mu się przez parę minut. Potem zdjął go i na jego miejsce postawił inny. Pokazał mi w ten sposób chyba ze trzydzieści płócien, rezultat

sześciu lat swej malarskiej pracy. Nigdy nie sprzedał żadnego. Płótna miały rozmaite wymiary. Mniejsze przedstawiały martwe natury, większe — krajobrazy. Było tam też z pół tuzina portretów.

— To wszystko — rzekł na koniec.

Chciałbym móc powiedzieć, że ocenilem od razu piękno i niezwykłą oryginalność tych malowideł. Teraz, gdy widziałem wiele z nich powtórnie, a resztę znam z reprodukcji, dziwię się, że oglądając je po raz pierwszy byłem gorzko rozczarowany. Nie czułem nic z tego szczególnego dreszczu, jaki zwykle budzi prawdziwa sztuka. Obrazy Stricklanda wywarły na mnie wrażenie niepokojące. No i pozostaje faktem, zawsze godnym nagany, że nie przyszło mi wtedy nawet na myśl, by kupić któryś z nich. Przegapiłem cudowną okazję. Większość z tych obrazów trafiła do galerii muzealnych, pozostałe są cenną własnością bogatych kolekcjonerów. Próbuję znaleźć dla siebie jakieś usprawiedliwienie. Sądzę, iż mam dobry gust, lecz wiem, że jest on pozbawiony oryginalności. Bardzo mało znam się na malarstwie i posuwam się szlakami, które inni wytyczyli przede mną. W owym czasie podziwiałem najbardziej impresjonistów. Marzyłem o posiadaniu na własność jakiegoś Sisleya czy Degasa i czciłem wprost Maneta. Jego *Olimpia* wydawała mi się najwspanialszym obrazem współczesnych czasów, a *Śniadanie na trawie* wzruszało mnie głęboko. Dzieła te wydawały mi się ostatnim słowem malarstwa.

Nie będę opisywał obrazów, które pokazał mi Strickland. Takie opisy są zawsze nudne, a poza tym obrazy Stricklanda znane są wszystkim, którzy interesują się sztuką. Teraz, gdy wpływ jego tak ogromnie zaważył na współczesnym malarstwie, kiedy inni poznali już krainę, którą on odkrył, obrazy jego oglądane po raz pierwszy trafiają do umysłów bardziej do nich przygotowanych. Trzeba jednak pamiętać, że ja nigdy przedtem nie widziałem nic podobnego. Przede wszystkim odstręczało mnie to, co wydało mi się niezdarnością techniczną. Przyzwyczajony do rysunku starych mistrzów i przekonany, że Ingres był największym rysownikiem naszych czasów, uznałem, że Strickland rysuje bardzo źle. Nie

zrozumiałem zupełnie uproszczeń, do których dążył. Pamiętam, że oglądając martwą naturę — pomarańcze na talerzu — byłem zaskoczony, bo talerz nie miał okrągłego kształtu, a pomarańcze były krzywe. Portrety zaś, nieco większe od swoich modeli — robiły wrażenie dziwaczkich. Twarze, namalowane w sposób całkowicie dla mnie nowy, wydawały się wprost karykaturalne. Pejzaże zadziwiły mnie jeszcze bardziej. Były tam dwie czy trzy wersje lasku w Fontainebleau i szereg paryskich ulic. Na pierwszy rzut oka odniosłem wrażenie, że malował je pijany dorożkarz. Byłem zupełnie oszołomiony. Kolory wydały mi się niesłychanie surowe. Przez chwilę wszystko to sprawiało na mnie wrażenie jakiejś okropnej, niezrozumiałej farsy. Teraz, patrząc wstecz, jestem bardziej niż kiedykolwiek pod wrażeniem przenikliwości Stroeve'a. Dostrzegł on od razu w tych obrazach rewolucję w sztuce i rozpoznał w zarodku geniusza, którego dziś uznaje cały świat.

Byłem zaintrygowany i speszony, ale niemniej pod wrażeniem. Nawet ja, w mojej ogromnej ignorancji, czułem, że jest w tym malarstwie prawdziwa siła, która w jakiś sposób próbuje się uwidocznić. Byłem podniecony i zainteresowany. Czułem, że te obrazy mają mi coś ważnego do powiedzenia, ale nie umiałem określić, co to takiego. Wydawały się brzydkie, lecz nasuwały, nie wyjawiając jej, myśl o jakiejś ważnej tajemnicy. Były w dziwny sposób niepokojące. Budziły uczucie, którego nie umiałem zanalizować. Wyrażały coś, czego nie mogły wyrazić słowa. Przypuszczam, że Strickland widział niejasno w rzeczach materialnych jakieś duchowe znaczenie, coś tak niezwykłego, że mógł to wyrazić tylko w niezdatnych symbolach. Tak jakby odnalazł w chaosie wszechświata nowy układ i próbował nieudolnie, w męce duszy utrwalić go na płótnie. Dojrzałem udręczonego ducha walczącego o swój własny wyraz.

— Zastanawiam się, czy pan nie pomylił się w wyborze sztuki — powiedziałem zwracając się do Stricklanda.

— Co, u licha, ma pan na myśli?

—Wydaje mi się, że próbuje pan wyrazić coś, czego nie umiem

określić, ale nie jestem pewien, czy najlepszym sposobem wyrażenia tego jest malarstwo.

Wyobrażając sobie, że obejrzawszy jego obrazy zdobędę klucz do zrozumienia jego dziwnego charakteru, myliłem się całkowicie. Pogłębiły one jedynie zdziwienie, jakie budziła we mnie jego osoba. Byłem bardziej niż kiedykolwiek zdezorientowany. Jedyna rzecz, która wydawała mi się jasna — a może i to było fantazją — to to, że walczył on namiętnie o uwolnienie się spod władzy jakiejś mocy, która go więziła. Ale jaka to była moc i jaką drogą miało pójść wyzwolenie, pozostawało dla mnie tajemnicą. Każdy z nas jest sam na świecie. Zamknięty jakby w twierdzy, może porozumiewać się z bliźnimi jedynie za pomocą znaków, a znaki nie mają jednej wspólnej wartości, ich znaczenie jest niejasne i wątpliwe. Staramy się usilnie przekazać innym skarby swego serca, ale oni nie umieją ich przyjąć; idziemy więc samotni obok siebie, lecz nie razem, niezdolni poznać innych ludzi i nie znani przez nich. Jesteśmy jak ludzie żyjący w obcym kraju, którego językiem władają tak słabo, że choć mają do powiedzenia rzeczy piękne i głębokie, skazani są na banały z samouczka. W mózgu ich kłębi się wir myśli, a umieją jedynie powiedzieć, że parasolka ciotki ogrodnika znajduje się w domu.

I ostatnie moje wrażenie to wrażenie niezmiernego wysiłku, by wyrazić pewien stan duszy. Zdawało mi się, że w tym wysiłku kryło się wyjaśnienie tego, co mną tak mocno wstrząsnęło. Widoczne było, że barwy i kształty mają dla Stricklanda znaczenie zupełnie szczególne. Gnębiła go przemożna konieczność wyrażenia tego, co czuł; malował swoje obrazy w tym jedynie celu. Nie wahał się upraszczać lub zniekształcać, jeśli mógł tym sposobem zbliżyć się do tej nieznaney rzeczy, której poszukiwał. Fakty nie miały dla niego znaczenia, bo pod masą nieistotnych wydarzeń szukał czegoś, co tylko dla niego było ważne. Tak jakby ujrzał duszę wszechświata i był zmuszony jakoś ją wyrazić. Obrazy te zdumiewały i niepokoiły mnie, a równocześnie nie mogłem pozostać nieczuły na to, co rzucało się w nich w oczy. Nie wiem, czemu

doznawałem uczucia, którego w stosunku do Stricklanda najmniej spodziewałem się kiedykolwiek doświadczyć, uczucia ogromnej litości.

— Myślę, że wiem już teraz, dlaczego uległ pan własnemu uczuciu dla Blanki Stroeve — powiedziałem do niego.

— Dlaczego?

— Wydaje mi się, że zabrakło panu odwagi. Słabość ciała udzieliła się duchowi. Nie wiem, jaka to ogromna tęsknota trzyma pana w swej mocy i gna w niebezpiecznym, długim poszukiwaniu ku jakiemuś celowi, gdzie spodziewa się pan znaleźć ostatecznie wyzwolenie od demona, który pana dręczy. Wydaje mi się pan wiecznym pielgrzymem do świątyni, która może wcale nie istnieje. Nie wiem, do jakiej niezbadanej nirwany pan zmierza. Czy pan zna samego siebie? Może szuka pan Wolności i Prawdy, a może przez moment zdawało się panu, że znajdzie pan wyzwolenie w Miłości? Myślę, że pańska znużona dusza szukała ukojenia w ramionach kobiety, a kiedy go tam nie znalazła, znenawidził pan tę kobietę. Nie miał pan dla niej litości, bo nie ma pan jej i dla siebie. Pchnął ją pan do samobójstwa przerażony niebezpieczeństwem, którego zaledwie zdołał pan uniknąć.

Uśmiechnął się sucho i szarpnął brodę.

— Jest pan strasznie sentymentalny, mój przyjacielu.

W tydzień później dowiedziałem się przypadkiem, że Strickland wyjechał do Marsylii. Nie widziałem go już nigdy więcej.

XLIII

Patrząc wstecz, zdaję sobie sprawę, że to, co napisałem o Karolu Stricklandzie, musi się wydawać bardzo niekompletne. Podałem znane mi wypadki, lecz pozostają one niejasne, ponieważ nie wiem, co było ich genezą. Najdziwniejszy ze wszystkich: decyzja Stricklanda poświęcenia się malarstwu, wydaje się nieuzasadniona. Musiał mieć oczywiście jakieś przyczyny, związane z warunkami jego życia, ale ja ich nie znam. Z tego, co sam mówił, nie mogłem nic wysnuć. Gdybym pisał powieść, a nie relacjonował

fakty związane z życiem ciekawej jednostki, wymyśliłbym coś więcej, by wyjaśnić zmianę, jaka dokonała się w jej duszy. Sądzę, że ukazałbym jakieś silne powołanie, datujące się z lat chłopięcych, stłumione wolą ojca lub poświęcone dobrowolnie z powodu konieczności zarabiania na życie. Ukazałbym Stricklanda targającego niecierpliwie krępujące go więzy. Przedstawiwszy jego walkę pomiędzy umiłowaniem sztuki a obowiązkami, jakie narzuciło mu życie, mógłbym wzbudzić współczucie dla tego człowieka. W ten sposób ukazałbym go jako jednostkę wybitną. Może jako jakiegoś nowego Prometeusza. Byłaby to okazja do stworzenia współczesnej odmiany bohatera, który dla dobra ludzkości skazuje się na cierpienia potępieńca. To zawsze wzruszający temat.

Z drugiej strony, mógłbym doszukać się genezy decyzji Stricklanda w jego małżeństwie. Jest wiele sposobów przedstawienia tej sprawy. Ukryty talent mógłby ujawnić się w zetknięciu z malarzami i pisarzami, których towarzystwa szukała jego żona. Na taką zmianę mogłaby też wpłynąć niezgodność w pożyciu domowym czy przygoda miłosna, która roznieciła płomień tłący się powoli w jego sercu. Myślę, że wtedy odmalowałbym zupełnie inaczej panią Strickland. Mógłbym odejść od prawdziwych faktów i zrobić z niej dokuczliwą, nudną babę lub bigotkę bez żadnego zrozumienia dla istotnych potrzeb ducha, a małżeństwo Stricklanda przedstawić jako długą męczarnię, której jedynym rozwiązaniem była ucieczka. Podkreśliłbym jego cierpliwość w stosunku do nieodpowiedniej żony i litość dla niej, która nie pozwoliła mu zrzucić gniołącego go jarzma. Nie byłoby oczywiście konieczne wspominać o dzieciach.

Można by też skomponować przekonującą opowieść wprowadzając Stricklanda w kontakt z jakimś starym malarzem, który przyciśnięty biedą lub powodowany chęcią zysku zdradził swoje młodzieńcze ideały, a dostrzegając w Stricklandzie możliwości, które sam zmarnował, nakłaniałby go do rzucenia wszystkiego i poddania się boskiej tyranii sztuki. Wydaje mi się, że można by ukazać z pewną ironią obraz dobrze prosperującego starszego

pana, zamożnego i szanowanego, żyjącego cudzym życiem, na które — choć wiedział, że to byłaby ta „lepsza cząstka” — nie miał odwagi niegdyś się zdecydować.

Fakty są o wiele mniej ciekawe. Zaraz po skończeniu szkoły Strickland zaczął pracować w biurze maklerskim bez żadnej niechęci czy wstrętu. Do czasu małżeństwa pędził życie zwykłego człowieka, grając trochę na giełdzie i stawiając jeden lub dwa funty na konia podczas biegu Derby lub zakładając się o wynik zawodów wioślarskich między Oksford i Cambridge. Przypuszczam, że w wolnych chwilach boksował się trochę. Na kominku w jego pokoju stały fotografie aktorek, pani Langtry i Mary Anderson. Czytał „Puncha” i „Sporting Times”. Chodził na potańcówki do Hampstead.

Nie ma tu wielkiego znaczenia fakt, że na długo straciłem go z oczu. Lata, w czasie których walczył, by zdobyć biegłość w trudnej sztuce, były to lata monotonne i nie sądzę, by mógł być specjalnie interesujący opis różnorodnych sposobów, jakich się chwycił, żeby zarobić na utrzymanie się przy życiu. Opis taki byłby opisem wypadków, które na jego oczach przydarzały się innym ludziom. Nie sądzę, by miały one jakkolwiek wpływ na jego charakter. Zapewne przeżywał rzeczy, które mogłyby stanowić bogaty materiał do awanturycznej powieści rozgrywającej się we współczesnym Paryżu, ale pozostał od nich daleki, a sądząc z tego, co mówił, nic w ciągu tych lat nie wywarło na nim specjalnego wrażenia. Może gdy przyjechał do Paryża, był już za stary, by ulec urokowi tego, co go otaczało. Jakkolwiek wydać się to może dziwne, uważałem go zawsze za człowieka nie tylko praktycznego, lecz niesłuchanie rzeczowego. Sądzę, że życie jego w tym okresie było romantyczne, ale on na pewno nie widział w nim cienia romantyzmu. Możliwe, że chcąc dostrzec romantyzm życia, trzeba mieć w sobie coś z aktora, umieć obserwować swoje czyny z boku z zainteresowaniem równocześnie oderwanym i pochłaniającym. Nie było jednak człowieka mniej skomplikowanego niż Strickland. Nie znam też nigdy nikogo mniej zajętego sobą. Niestety nie mogę opisać trudnych

dróg, którymi dążył do tego mistrzostwa w sztuce, jakie osiągnął. Gdybym bowiem był w stanie ukazać go nieugiętego wśród niepowodzeń, nie poddającego się rozpaczcy, odważnie podejmującego coraz nowe wysiłki, upartego i wytrwałego mimo zwątpienia w siebie, które jest najgorszym wrogiem artysty, wzbudziłbym współczucie dla człowieka, który — jestem tego zupełnie świadom — musi wydawać się dziwnie pozbawiony wszelkiego uroku. Nie dysponuję jednak żadnymi materiałami. Nigdy nie widziałem Stricklanda przy pracy i — o ile wiem — nikt inny też go nie widział. Zachował dla siebie tajemnicę swoich zmagania. Jeśli samotny w swej pracowni staczał rozpaczliwe walki, nigdy nie dopuścił, by żywa dusza odgadła jego mękę.

Kiedy dochodzę do jego związku z Blanką Stroeve, irytuje mnie fragmentaryczność faktów, którymi rozporządzam. By powieść moja była jednolita, powinien bym opisać ich tragiczny związek we wszystkich jego fazach, ale ja nie wiem nic o trzech miesiącach, jakie spędzili razem. Nie wiem, jak żyli i o czym rozmawiali. Ostatecznie doba ma dwadzieścia cztery godziny, a na szczyty miłosnych uniesień można wznieść się tylko w rzadkich chwilach. Mogę sobie jedynie wyobrażać, jak spędzali pozostałe godziny. Przypuszczam, że póki było jasno, a Blanka miała siły pozować, Strickland malował, ją zaś musiało irytować, gdy widziała go zatopionego w pracy. Nie istniała wtedy dla niego jako kochanka, była tylko modelką. A potem płynęły długie godziny, gdy żyli obok siebie w milczeniu. Musiało ją to przerażać. Sugestia Stricklanda, że Blanka oddając się jemu czuła jakiś triumf nad Dirkiem Stroeve, który pomógł jej w krytycznym momencie — otwierała drogę wielu ciemnym domysłom. Mam nadzieję, że nie była to prawda. Byłoby to okropne. Któż jednak zdoła zgłębić tajniki ludzkiego serca? Z pewnością nie ci, którzy oczekują od niego jedynie przyzwoitych uczuć i normalnych wzruszeń. Kiedy Blanka spostrzegła, że Strickland poza momentami namiętności pozostaje daleki i obcy, musiała się przerazić; przypuszczam, że nawet w chwilach uniesień zdawała sobie sprawę, iż nie jest dla niego niczym więcej niż narzędziem rozkoszy. Próbowwała przywiązać go

do siebie żalnymi sposobami. Starła się usidlić go wygodami, nie widząc, że te wygody nie mają dla niego żadnego znaczenia. Dokładała starań, by podsunąć mu do jedzenia ulubione kąski, nie dostrzegając, że jemu jest obojętne, co je. Bała się zostawić go samego. Nękała go troskliwością, a kiedy namiętność jego była uśpiona, starała się ją podniecić, bo wtedy przynajmniej miała złudzenie, że ma go dla siebie. Może jako osoba inteligentna zdawała sobie sprawę, że łańcuchy, które kuła, budziły w nim jedynie instynkt niszczycielski, podobnie jak widok szyby lustrzanej wywołuje świerzbiecie palców tęskniących za kawałkiem cegły; ale serce jej, niezdolne do rozsądku, nie pozwalało jej zejść z drogi, o której wiedziała, że wiedzie do zguby. Blanka musiała się czuć bardzo nieszczęśliwa. Lecz miłosne zaślepienie kazało jej wierzyć w to, w co chciała wierzyć, a miłość ta była tak wielka, że wydawało się jej niemożliwe, by nie mogła nie wzbudzić równego uczucia.

Moja analiza charakteru Stricklanda ma jednak poważniejszy defekt niż nieznamość wielu faktów. Opisałem jego stosunek do kobiet, bo rzucał się on w oczy i nie wymagał rozszyfrowywania. A jednak były to mało ważne fragmenty w jego życiu. To wprost ironia losu, że tak tragiczny wpływ wywarły na innych ludzi. Prawdziwe życie Stricklanda składało się z marzeń i bardzo ciężkiej pracy.

Na tym właśnie polega nierealność powieści. U mężczyźni bowiem z reguły miłość jest epizodem wśród innych spraw codziennych, a nacisk, jaki kładzie się na nią w powieściach, nadaje jej doniosłość sprzeczną z życiem. Niewielu jest mężczyźni, dla których miłość jest najważniejszą rzeczą w świecie, i tacy mężczyźni nie są interesujący. Nawet kobiety, dla których te sprawy są najistotniejsze, pogardzają nimi. Choć tacy mężczyźni schlebiają im i podniecają je, kobiety odnoszą się do nich z lekkim politowaniem. Nawet w krótkich okresach miłości mężczyźni zajmują się innymi rzeczami, które ich absorbują; uwagę ich pochłania praca, źródło zarobku lub sport czy sztuka. W większości wypadków potrafią oddawać się różnym zajęciom i umieją skoncentrować się na

jednym, wykluczając na jakiś czas inne. Mają zdolność skupiania się na tym, co ich w danej chwili interesuje, i irytują się, gdy jedno zajęcie przeszkadza drugiemu. Różnica między mężczyzną a kobietą w roli kochanków jest ta, że kobieta potrafi kochać cały dzień, a mężczyzna tylko od czasu do czasu.

W życiu Stricklanda sprawy seksualne zabierały bardzo niewiele miejsca. Uważał je za rzecz mało ważną i nużącą. Duch jego dążył gdzie indziej. Posiadał gwałtowny temperament i niekiedy żądze opanowywały jego ciało, zmuszając je do orgii, lecz nienawidził instynktów, które pozbawiały go panowania nad sobą. Sądzę, że nienawidził nawet swej partnerki w rozpuście. Kiedy odzyskiwał władzę nad sobą, wzdrygał się na widok kobiety, która dała mu rozkosz. Myśli jego szybowały już spokojnie ku najwyższym szczytom; czuł do niej wstręt, jaki odczuwa może motyl, bujający w powietrzu nad kwiatami, do obrzydliwej poczwarki, od której przed chwilą triumfalnie się uwolnił. Wydaje mi się, że sztuka jest przejawem instynktu seksualnego. Takie samo wzruszenie budzi w sercu ludzkim widok ładnej kobiety, Zatoki Neapolitańskiej w świetle złotego księżyca lub obrazu Tycjana *Złożenie do grobu*. Możliwe, że Strickland nienawidził normalnych przejawów instynktu seksualnego, bo wydawały mu się one brutalne w porównaniu z rozkoszą, jaką daje twórczość artystyczna. Dziwna to rzecz opisać człowieka okrutnego, samolubnego, brutalnego i zmysłowego i twierdzić, że był wielkim idealistą. A jednak to fakt bezsporny.

Żył on w większej biedzie niż rzemieślnik. Pracował też ciężiej. Nie dbał o rzeczy, które zdaniem większości ludzi upiększają i umilają życie. Był obojętny na sprawy pieniężne. Nie zależało mu ani trochę na sławie. Nie można go chwalić za to, że oparł się pokusie pójścia na kompromis ze światem, której większość z nas ulega. On nie miał takiej pokusy. Nie przyszło mu nigdy do głowy, że kompromis jest w ogóle możliwy. Żył w Paryżu bardziej samotnie niż anachoreta na pustyni. Nie żądał niczego od bliźnich prócz tego, by zostawili go w spokoju. Miał tylko jeden cel i gotów był

poświęcić dla niego nie tylko siebie — wielu to potrafi — ale i innych. Miał wciąż przed oczyma swoją wizję.

Strickland był odpychający jako człowiek, ale nadal twierdząc, że był wielki.

XLIV

Przywiązujemy pewne znaczenie do zdania malarzy na temat malarstwa, wypada więc teraz, bym zanotował, jaka była opinia Stricklanda o wielkich malarzach przeszłości. Mam chyba w tym względzie bardzo mało do zanotowania. Strickland nie był rozmowny i nie posiadał daru wyrażania tego, co miał do powiedzenia, w sugestywnych zdaniach, które wraziłyby się w pamięć słuchacza. Nie był dowcipny. Jego humor, jak widzieliśmy, o ile udało mi się oddać sposób jego mówienia, był ironiczny, a odpowiedzi szorstkie. Budził niekiedy śmiech mówiąc prawdę, lecz jest to rodzaj dowcipu opartego na niezwykłości. Przestałby bawić, gdyby go powszechnie praktykowano.

Strickland nie był, muszę tu powiedzieć, człowiekiem wielkiej inteligencji, a jego poglądy na malarstwo nie wykraczały wcale poza przeciętność. Nigdy nie słyszałem, by mówił o malarzach, których twórczość miała pewne analogie z jego własną, o Cézanne'ie na przykład lub o Van Goghu. Wątpię, czy widział kiedykolwiek ich obrazy. Nie interesował się zbyt impresjonistami. Ich technika wywarła na nim wrażenie, ale sądzę, że uważał za banalny ten sposób malowania. Kiedy Stroeve rozwodził się szeroko nad zaletami Moneta, Strickland powiedział: „Ja wolę Winterhaltera.” Sądzę jednak, że powiedział tak, by go podrażnić, i z pewnością mu się to udało.

Jestem zły, że nie mogę przekazać żadnych oryginalnych sądów Stricklanda o starych mistrzach. Tak wiele jest dziwnych cech w jego charakterze, że czuję, iż obraz tego charakteru byłby dopełniony, gdyby jeszcze poglądy Stricklanda okazały się oburzające. Odczuwam potrzebę przypisania mu dziwacznych teorii na

temat jego poprzedników i z pewnym rozczarowaniem wyznaję, że myślał on o nich mniej więcej to samo co wszyscy. Nie sądzę, by znał obrazy El Greca. Podziwiał Velasqueza, choć ten drażnił go nieco. Chardin budził w nim zachwyt, a Rembrandt wprawiał w stan ekstazy. Opisywał wrażenie, jakie wywarł na nim Rembrandt, w sposób tak ordynarny, że nie mogę tego powtórzyć. Jedynym malarzem, który go interesował, był wbrew wszelkim oczekiwaniom Brueghel starszy. W owym czasie wiedziałem o nim bardzo mało, a Strickland nie umiał się wysłowić. Pamiętam, co powiedział na ten temat dlatego, że mnie to zupełnie nie zadowoliło.

— On jest dobry. Założę się, że malowanie było dla niego piekłem.

Kiedy później zobaczyłem w Wiedniu obrazy Piotra Brueghela, zdawało mi się, że rozumiem, dlaczego przyciągnął on uwagę Stricklanda. I to był człowiek mający własną wizję świata. Zrobiłem wtedy sporo notatek zamierzając coś o nim napisać, lecz zgubiłem je, zachowując jedynie wspomnienie tego wrażenia. Widział on swych bliźnich w groteskowych zarysach. Irytowało go, że są tacy. Życie, gmatwanina śmiesznych, mało ważnych wydarzeń, było przedmiotem śmiechu; ale śmiech ten sprawiał mu przykrość. Brueghel robił na mnie wrażenie człowieka, który usiłował wyrazić w pewien sposób doznania dające się lepiej wyrazić w inny; może Strickland wyczuł to niejasno i dlatego darzył go sympatią. Może obaj starali się oddać w malarstwie idee, które dałyby się lepiej wyrazić w literaturze.

Strickland w tym czasie musiał mieć około czterdziestu siedmiu lat.

XLV

Mówiłem już, że gdyby nie przypadkowy wyjazd na Tahiti, nigdy nie napisałbym tej książki. Tam właśnie po wielu wędrówkach wylądował Strickland i tam namalował obrazy, które najmocniej

ugruntowały jego sławę. Sądzę, że żaden artysta nie realizuje w pełni marzenia, które go prześladowe, a Strickland, walcząc stale z trudnościami z dziedziny techniki, w mniejszym może niż inni stopniu zdołał wyrazić wizję, którą widział oczyma ducha. Na Tahiti warunki okazały się dla niego pomyślne. W nowym otoczeniu znalazł obiekty odpowiadające jego natchnieniu. Ostatnie obrazy dają przynajmniej pojęcie o tym, czego szukał. Dostarczają wyobraźni czegoś nowego i niezwykle. Tak jakby w tym dalekim kraju duch malarza, który błąkał się nieucieleśniony, szukając schronienia, nareszcie przyoblekł się w ciało. Mówiąc językiem potocznym, Strickland odnalazł tu siebie.

Wydawałoby się naturalne, że mój pobyt na tej odległej wyspie powinien był natychmiast wskrzesić moje zainteresowanie Stricklandem. Praca jednak, którą byłem zajęty, pochłaniała wyłącznie moją uwagę i dopiero po paru dniach przypomniałem sobie, że Strickland tu przebywał. Ostatecznie nie widziałem go od piętnastu lat, a minęło już dziewięć od jego śmierci. Ale przyjazd na Tahiti wypędziłby mi z myśli sprawy o wiele ważniejsze; jeszcze po tygodniu niełatwo tu było odzyskać równowagę i spokój. Przypominam sobie, że pierwszego ranka obudziłem się wcześniej. Kiedy wyszedłem na taras hotelu, panowała tam jeszcze zupełna cisza. Ruszyłem w kierunku kuchni, ale była zamknięta. Na ławce przed drzwiami spał mały tubylec. Wyglądało na to, że nieprędko dostanę śniadanie, poszedłem więc wolnym krokiem w kierunku wybrzeża. Chińczycy krzatali się już w swoich sklepikach. Niebo zachowało jeszcze bladość świtu; na lagunie panowała martwa cisza. Widniejąca w odległości dziesięciu mil wyspa Murea, niczym nieprzenikniony święty Graal, strzegła zazdrośnie swoich tajemnic.

Niezupełnie wierzyłem własnym oczom. Dnie, które minęły od chwili, gdy opuściłem Wellington, wydawały się niezwykle i niecodzienne. Wellington jest czyste, schludne, typowo angielskie. Przypomina miasto portowe na południowym wybrzeżu. Przez trzy dni morze było burzliwe. Szare chmury goniły się po niebie.

Potem wiatr ustał, a morze znów było błękitne i spokojne. Pacyfik jest bardziej pusty niż inne morza: jego przestwór wydaje się rozleglejszy, a najzwyczajsza po nim podróż ma w sobie coś z przygody. Powietrze, które się wdycha, to eliksir zwiastujący rzeczy nieprzewidziane. Nic bardziej nie nasuwa myśli o złotych krainach fantazji niż moment, gdy człowiek zbliża się do wyspy Tahiti. Murea, bliźniacza jej siostra, ukazując się we wspaniałości swych skał, wznosząc się tajemniczo z pustego oceanu, jak baśniowa budowla wyczarowana magiczną pałeczką. Poszarpaną linią brzegu przypomina jakieś Monserrat na Pacyfiku. Łatwo sobie wyobrazić rycerzy Polinezji, którzy sprawując dziwne obrzędy strzegą tam niedostępnych dla ludzi tajemnic. Wyspa odsłania swe piękno stopniowo, w miarę jak zmniejsza się dzieląca od niej odległość i ukazują się wyraźnie jej piękne skalne szczyty. Lecz zachowuje swą tajemnicę i gdy przepływa się obok, ciemna, nietykalna, zdaje się zamykać w kamiennej, nieprzystępnej ponurości. Człowiek by się wcale nie dziwił, gdyby, podpłynawszy bliżej w poszukiwaniu miejsca do przejazdu wśród raf, stwierdził, że wyspa znikła nagle sprzed oczu i nic nie maści błękitnej pustki oceanu.

Tahiti to górzysta, zielona wyspa. Ciemniejsze plamy zieleni pozwalają domyślać się zacisznych dolin. Jest coś tajemniczego w ich posępnych głębiach, na których dnie szemrzą i pluszcza chłodne strumienie. Czuje się, że w tych cienistych miejscach życie od niepamiętnych czasów toczy się w sposób niezmienny. Ale nawet tu jest trochę smutno i straszno. Wrażenie to jednak mija pogłębiając jedynie radość chwili. To tak jak smutek, który można dojrzeć w oczach błazna, kiedy wesole grono śmieje się z jego dowcipów; wargi jego uśmiechają się, a żarty stają się coraz weselsze, choć w tym wspólnym śmiechu błazen czuje się jeszcze bardziej samotny. Wyspa Tahiti jest uśmiechnięta i przyjazna. Przypomina ładną kobietę, która łaskawie i hojnie szafuje swą pięknnością i wdziękiem. A najmiłszy jest wjazd do portu Papeete. Szkunery przycumowane do mola wyglądają schludnie i czysto,

białe miasteczko rozciągnięte wzdłuż zatoki — miło i wielkomięjsko, zaś purpurowe kwiaty południa na tle błękitnego nieba pyszną się swą barwą, ostrą jak krzyk namiętności. Są tak bezwstydnie zmysłowe, że aż dech zapiera. A tłum cisnący się do przystani, gdy parowiec sunie wzdłuż brzegu, jest wesoły i przyjazny. Hałaśliwa, beztroska, gestykująca gromada. Morze brunatnych twarzy. Sprawia to wrażenie barwnego tańca na tle rozżarzonego błękitu. Wszystko odbywa się w nieopisanym zgiełku: wyładowanie bagażu, odprawa celna. A wszyscy zdają się uśmiechać do siebie. Jest bardzo gorąco. Barwy oślepiają.

XLVI

Wkrótce po przyjeździe na Tahiti poznałem kapitana Nicholasa. Pewnego ranka, gdy jadłem śniadanie na hotelowym tarasie, podszedł i przedstawił się. Słyszał, że interesuję się Karolem Stricklandem: oświadczył, że chciałby ze mną pogawędzić. Na wyspie Tahiti, tak samo jak w angielskim miasteczku, ludzie lubią plotki; parę pytań, które zadałem na temat obrazów Stricklanda, rozniosło się szybko. Zapytałem mego gościa, czy jadł śniadanie.

— Tak. Wcześniej piję kawę — odpowiedział. — Ale chętnie napiję się kropelkę whisky.

Zawołałem chińskiego boya.

— Może uważa pan, że to za wcześnie na whisky? — zapytał kapitan.

— O tym musi zdecydować pan i pańska wątroba — odparłem.

— Jestem właściwie abstynentem — rzekł nalewając sobie dobre pół szklanki Canadian Club.

W uśmiechu pokazywał popsute, ciemne zęby. Był to szczupły mężczyzna średniego wzrostu, z siwymi, krótko ostrzyżonymi włosami i siwymi szczeciniastymi wąsikami. Od paru dni najwidoczniej się nie golił. Twarz jego, spaloną na brąz przez długie przebywanie na słońcu, przecinały głębokie bruzdy, a małe niebieskie oczka były zadziwiająco żywe. Poruszały się szybko, śledząc

mój najmniejszy gest, i nadawały kapitanowi wygląd skończonego lotra. Na razie promieniał serdecznością i przyjaźnią. Ubrany był w brudne ubranie koloru khaki, a ręką jego przydałoby się umyć.

— Znałem dobrze Stricklanda — powiedział przechyliwszy się na oparcie krzesła i zapaliwszy papierosa, którym go poczęstowałem. — To za moim pośrednictwem wyjechał na wyspy.

— Gdzie go pan spotkał? — spytałem.

— W Marsylii.

— Co pan tam robił?

Rzucił mi przymilny uśmiech.

— Prawdę mówiąc, włóczyłem się trochę.

Wygląd mojego nowego przyjaciela nasuwał myśl, że obecnie znajdował się w tej samej sytuacji, przeczuwałem więc miłą znajomość. Towarzystwo włóczęgów zawsze wynagradza małe niedogodności, jakie trzeba znieść, by się nim cieszyć. Przystępni i mili w rozmowie, są rzadko zrozumieli, a kieliszek alkoholu jest pewną drogą do ich serc. Nie trzeba żmudnych starań, by żyć z nimi; słuchając uważnie tego, co mówią, zyskuje się nie tylko ich zaufanie, ale i wdzięczność. Uważają rozmowę za wielką w życiu przyjemność, dając w ten sposób dowód swojej kultury, i poważnie są zajmującymi gawędziarzami. Ich rozległe doświadczenie uzupełnia w przyjemny sposób bujna wyobraźnia. Nie można powiedzieć, by nie byli sprytni, odczuwają jednak pobłażliwy szacunek dla popartego siłą prawa. Grać z nimi w pokera to ryzyko, lecz ich pomysłowość dodaje szczególnych emocji tej najbardziej interesującej w świecie grze. Zanim opuściłem Tahiti, poznałem bardzo dobrze kapitana Nicholisa i znajomość ta dała mi wiele. Sądzę, że cygara i whisky, które wypalił i wypił na mój rachunek (odmawiał zawsze cocktailów, gdyż twierdził, że właściwie jest abstynentem), oraz parę dolarów, które pożyczony z uprzejmą miną, jakby wyświadczał mi łaskę, przeszły z mojej do jego kieszeni, w żadnym stopniu nie były ekwiwalentem przyjemności,

jakiej mi swoim towarzystwem dostarczył. Pozostałem jego dłużnikiem. Żałowałbym, gdyby moje sumienie, upierając się przy ścisłym trzymaniu się tematu, zmusiło mnie do załatwienia się z jego osobą w paru wierszach.

Nie wiem, czemu kapitan Nichols opuścił niegdyś Anglię. Nie wypowiadał się na ten temat, a w stosunku do osób jego pokroju bezpośrednie pytania są zawsze niedyskrecją. Napomykał o niezasłużonych klęskach i bez wątpienia uważał się za ofiarę niesprawiedliwości. Wyobrażałem sobie różne rodzaje defraudacji i nadużyć i ze współczuciem przytakiwałem mu, kiedy zauważył, że władze w starym kraju są diabelnie biurokratyczne. Miło było jednak widzieć, że przykrości, jakie musiał znosić w ojczyźnie, nie osłabiły jego gorącego patriotyzmu. Często zapewniał, że Anglia to najpiękniejszy kraj w świecie, i świadom był własnej wyższości nad Amerykanami, ludami kolonialnymi, Holendrami i mieszkańcami wysp południowych.

Nie sądzę jednak, by był człowiekiem szczęśliwym. Cierpiał na niestrawność i często widziało się go ssącego tabletkę pepsyny. Z rana miewał słaby apetyt. Lecz dolegliwość ta nie psuła mu humoru. Miał poważniejsze powody do narzekania na życie. Przed ośmiu laty ożenił się dość nierozważnie. Są mężczyźni, których litościwa Opatrzność bez żadnej wątpliwości przeznaczyła do samotnego życia, oni jednak z własnej woli lub z powodu okoliczności, którym nie potrafią się przeciwstawić, wyraźnie lekceważą tę decyzję. Nikt nie zasługuje bardziej na litość niż żonaty stary kawaler. Do takich właśnie należał kapitan Nichols. Poznałem jego żonę. Była to, jak sądzę, osoba dwudziestoosmioletnia, choć należała do typu kobiet, których wiek budzi zawsze wątpliwości. Nie mogła wyglądać inaczej, kiedy miała lat dwadzieścia, a mając czterdzieści też nie będzie wyglądała starzej. Zostało mi wrażenie czegoś niesłychanie sztywnego. Nieladna twarz o wąskich zaciśniętych wargach i naciągniętej mocno skórce, suchy uśmiech, gładkie, ulizane włosy, ściśle przylegające do ciała ubranie. Biała bawelniana suknia wyglądała na niej jak czarny żałobny strój. Nie umiałem wyobrazić sobie, dlaczego kapitan Nichols ożenił się z nią,

a ożeniwszy się, dlaczego jej nie rzucił. Może i próbował to zrobić niejednokrotnie, a jego melancholia płynęła stąd, że mu się to nigdy nie udawało. Dokądkolwiek by pojechał i w jakimkolwiek miejscu się ukrył, byłem pewny, że pani Nichols, nieubłagana jak los i bezlitosna jak sumienie, wkrótce go odnajdzie. Nie mógł jej się wymknąć, tak samo jak przyczyna nie może uciec od skutku.

Łotr, podobnie jak artysta i może dżentelmen, nie należy do żadnej klasy. Nie krępuje go sans *gêne* włóczęgi i nie onieśmiela ceremonialność księcia. Ale pani Nichols należała do ściśle określonej klasy, która ostatnio doszła do głosu, zwanej drobnomieszczactwem. Ojciec jej był policjantem, i to dobrym — jestem tego pewien. Nie wiem, co łączyło ją z kapitanem, ale nie sądzę, by to była miłość. Nigdy nie słyszałem jej głosu, możliwe jednak, że w zaciszu domowym bywała rozmowna. W każdym razie kapitan Nichols bał się jej śmiertelnie. Niekiedy, gdy siedział ze mną na hotelowym tarasie, spostrzegął nagle, że ona idzie ulicą. Nie wołała go. Żadnym gestem nie zdradzała, że wie o jego obecności. Spacerowała tylko spokojnie tam i z powrotem. Kapitan stawał się wtedy dziwnie niespokojny. Patrzył na zegarek i wzdychał.

— No, muszę już iść — mawiał.

Nie można go było zatrzymać ani dowcipami, ani whisky. A przecież był to człowiek, który nieustraszenie stawiał czoło huraganowi i burzy i nie zawahałby się walczyć z tuzinem Murzynów, mając w ręku tylko rewolwer. Czasem pani Nichols przysyłała do hotelu córkę, blade, milczące, siedmioletnie dziecko.

— Matka cię woła — mówiła mała płaczącym głosem.

— Dobrze, kochanie — odpowiadał kapitan Nichols.

Podnosił się natychmiast i w towarzystwie córki szedł do domu. Uważam, że był to doskonały przykład zwycięstwa ducha nad materią, i w ten sposób moja dygresja ma przynajmniej wartość morału.

XLVII

Staralem się powiązać jakoś różne szczegóły, które kapitan Nichols opowiedział mi na temat Stricklanda, i teraz usiłuję je uszeregować tak, jak się wydarzyły. Poznali się oni przy końcu zimy, która nastąpiła po moim ostatnim spotkaniu ze Stricklandem w Paryżu. Nie wiem, jak spędził poprzednie miesiące, ale nie musiało mu być łatwo, bo kapitan Nichols zobaczył go po raz pierwszy w domu noclegowym. W Marsylii wybuchł właśnie strajk i Strickland, wyczerpawszy swoje zasoby, nie mógł widocznie zarobić tej niewielkiej sumy, potrzebnej mu do związania końca z końcem.

Dom noclegowy jest to duży kamienny budynek, gdzie biedacy i włóczędzy mogą otrzymać na okres tygodnia łóżko, byle tylko mieli dokumenty w porządku i potrafili przekonać zakonników sprawujących opiekę nad domem, że są gdzieś zatrudnieni. Kapitan Nichols spostrzegł Stricklanda, wyróżniającego się wzrostem i niezwykłą powierzchownością, wśród tłumu czekającego na otwarcie drzwi. Ludzie czekali obojętnie, niektórzy spacerowali tam i z powrotem, inni stali oparci o ścianę, jeszcze inni siedzieli na skraju chodnika, z nogami w rynsztoku. Kiedy szli w dwóch szeregach do kancelarii, Nichols usłyszał, jak zakonnik sprawdzający dokumenty Stricklanda zwrócił się do niego po angielsku. Nie miał jednak okazji pomówić z nim, bo kiedy weszli do ogólnego pokoju, zjawił się tam mnich z ogromną Biblią w ręku, wdrapał się na stojące w głębi podwyższenie i rozpoczął modły, których nieszczęsne wyrzutki musiały wysłuchać; była to cena za udzielony im przytułek. Jego i Stricklanda ulokowano w innych pokojach. Kiedy o piątej rano, wyrzucony z łóżka przez krzepkiego zakonnika, posłał swe leże i umył twarz, Strickland już znikł. Kapitan Nichols błądził przez godzinę po ulicach drżąc od przenikliwego zimna, a potem skierował się na Place Victor Gélou, gdzie zwykli się zbierać marynarze. Zobaczył tam znów Stricklanda, który drzemał oparty o postument pomnika. Obudził go kopniakiem.

— Chodź na śniadanie, kolego — powiedział.

— Idź do diabła! — odrzekł Strickland.

Rozpoznałem zwięzły słownik mego przyjaciela i nastawiłem się na wysłuchanie kapitana Nicholasa jako wiarogodnego świadka.

— Splukany? — spytał kapitan.

— Idź do cholery! — odparł Strickland.

— Chodź ze mną. Zafunduję ci śniadanie.

Po chwili wahania Strickland dźwignął się na nogi i poszli do instytucji dobroczynnej zwanej „Kęsem Chleba”, gdzie głodni otrzymują kawałek chleba, który muszą zjeść na miejscu: nie wolno im zabierać go ze sobą. Potem udali się do „Łyżki Zupy”, gdzie przez tydzień o jedenastej i o czwartej można dostać miskę wodnistej, słonej lury. Oba budynki położone są tak daleko od siebie, że tylko człowiek umierający z głodu miewa pokusę skorzystania z ich dobrodziejstw. W ten sposób zjedli śniadanie. I tak zaczęła się dziwna przyjaźń Karola Stricklanda z kapitanem Nicholsem.

Spędzili razem w Marsylii chyba cztery miesiące. Ich dzieje pozabawione były przygód, jeśli przez przygodę rozumiemy nieprzewidziane i niezwykle wydarzenia, gdyż cały dzień wypełniała im pogoń za zdobyciem takiej ilości pieniędzy, by móc opłacić nocleg i kupić żywność. Chciałbym umieć odmalować tu obrazy, barwne i rubaszne, których dostarczyła mej wyobraźni opowieść kapitana Nicholasa. To, co oglądali zapoznając się z życiem nizin portowego miasta, mogłoby złożyć się na treść uroczej książki, a w różnorodnych postaciach, jakie spotkali na swej drodze, uczony znalazłby łatwo materiał do encyklopedycznego słownika łotrów. Muszę się jednak zadowolić kilku zaledwie fragmentami. Odniosłem wrażenie, że było to życie intensywne, brutalne i pierwotne, wielobarwne i zmienne. Marsylia, którą znałem jako miasto hałaśliwe i słoneczne, pełne wytwornych hoteli i restauracji zatłoczonych bogatymi ludźmi, wydawała się w porównaniu z tym banalna i bez życia. Zazdrościłem ludziom, którzy oglądali na własne oczy rzeczy opisywane przez kapitana Nicholasa.

Kiedy drzwi domu noclegowego były przed nimi zamknięte, Strickland i kapitan szukali gościny u Mocnego Billa.

Był to właściciel niewielkiego hoteliku, ogromny Mulat z ciężką pięścią, który dawał tulającym się marynarzom jedzenie i dach nad głową, póki nie znalazł im zajęcia. Strickland i kapitan mieszkali u niego przez miesiąc śpiąc z kilkunastu innymi pensjonariuszami, Szwedami, Murzynami, Brazylijczykami, na podłodze w dwóch pustych pokojach domu, które Bill przeznaczył dla swych pupilów. I co dzień chodzili z nim na Place Victor Gélú, gdzie zjawiali się kapitanowie statków, werbujący ludzi. Bill miał żonę Amerykankę, kobietę otyłą i niechlujną, która doszła do obecnego życia drogą Bóg wie jakiej degradacji. Lokatorzy na zmianę pomagali jej w zajęciach domowych. Kapitan Nichols uważał, że Strickland sprytnie wywinął się od tej roboty podjąwszy się namalować portret Mocnego Billa. Ten nie tylko zapłacił za płótno, farby i pędzle, lecz dał jeszcze Stricklandowi funt szmuglowanego tytoniu na dodatek. Może obraz ten do dziś zdobi bawialnię zniszczonego domku gdzieś w okolicach Quai de la Joliette; przypuszczam, że można by uzyskać za niego tysiąc pięćset funtów. zamiarem Stricklanda było popłynąć na jakimś statku do Australii lub Nowej Zelandii, a stamtąd dostać się na Samoa lub na Tahiti. Nie wiem, jak wpadł na myśl wyprawienia się na południowe morza, choć pamiętam, że od dawna wyobraźnię jego zaprzętał obraz wyspy zielonej i słonecznej, otoczonej morzem o intensywniejszym błękicie, niż widuje się pod północnymi szerokościami geograficznymi. Sądzę, że przylgnął do kapitana Nicholasa dlatego, że znał te strony, i to on przekonał Stricklanda, że najlepiej mu będzie na Tahiti.

— Widzi pan, Tahiti to wyspa francuska — wyjaśnił mi. — A Francuzi nie są tacy diabelnie biurokratyczni.

Zdawało mi się, że go rozumiałem.

Strickland nie miał żadnych papierów, lecz to nie mogło speszzyć Mocnego Billa, kiedy miał w perspektywie zysk (zabierał on gażę za pierwszy miesiąc każdemu marynarzowi, któremu wynalazł pracę), dostarczył więc Stricklandowi dokumenty jakiegoś angielskiego palacza, który szczęśliwie zmarł właśnie na jego rękach. Zarówno kapitan Nichols, jak Strickland chcieli jechać na

wschód, a tak się składało, że jedyne możliwości podpisania kontraktu trafiały się na statkach płynących na zachód. Strickland dwa razy zrezygnował z posady na statkach handlowych udających się do Stanów Zjednoczonych, a raz na statku węglowym płynącym do Newcastle. Mocny Bill nie miał cierpliwości na upór, który mógł się źle skończyć dla niego samego, i po ostatniej odmowie Stricklanda bez większych ceregieli wyrzucił go z domu razem z kapitanem Nicholsem. I znowu znaleźli się na bruku.

Jedzenie u Mocnego Billa rzadko było obfite i wstawalo się tam od stołu tak samo prawie głodnym, jak się do niego zasiadło, lecz przez parę dni mieli czego żałować. Poznali, co to prawdziwy głód. „Łyżka Zupy” i dom noclegowy były dla nich zamknięte, a jedyne pożywienie stanowił kawałek chleba, którego dostarczał im „Kęs Chleba”. Spali, gdzie się zdarzyło, niekiedy w pustym wagonie towarowym na kolejowej bocznicy, innym znów razem na wózku na tyłach jakiegoś składu; ale ostry chłód zmuszał ich po paru godzinach niespokojnej drzemki do ponownej wędrówki po ulicach. Najdotkliwiej odczuwali brak tytoniu, zwłaszcza kapitan Nichols nie mógł się bez niego obejść. Zaczął polować na niedopałki papierosów i cygar, które przechodnie rzucili na ziemię ubiegłej nocy.

— Palilem już gorsze mieszanki w fajce — powiedział wzruszając filozoficznie ramionami i biorąc równocześnie z pudełka, które mu podałem, dwa cygara: jedno włożył do ust, a drugie do kieszeni.

Od czasu do czasu udawało im się coś zarobić. Niekiedy przybijał do brzegu parowiec pocztowy i kapitan Nichols wykorzystując znajomość z dozorcą zdobywał dla nich obu pracę ładowaczy. Jeśli był to statek angielski, wślizgiwali się na przedni pomost, gdzie załoga częstowała ich solidnym śniadaniem. Ryzykowali co prawda, że wpadną na jednego z oficerów, który wyrzuci ich z pomostu dawszy na drogę kopniaka.

— Można znieść kopniaka w tyłek, kiedy ma się pełny brzuch — powiedział kapitan Nichols. — Ja osobiście nigdy nie

miałem tego za złe oficerowi. Musi dbać o dyscyplinę.

Wyobraziłem sobie kapitana Nicholisa uciekającego na łeb na szyję po wąskim pomoście przed wzniesioną stopą roz-wścieczonego marynarza; jak prawdziwy Anglik cieszył się przy tym z dziarskiej postawy marynarki handlowej.

Często można było dostać niespodziewane zajęcie na targu rybnym. Kiedyś zarobili obaj po franku ładując na wózki niezli-czone skrzynki pomarańcz wyrzucone na molo. Pewnego dnia poszczęściło im się: jeden z kapitanów polecił im pomalować sta-tek handlowy, który przyplłynął z Madagaskaru okrążywszy Przy-ładek Dobrej Nadziei. Spędzili kilka dni przewieszeni przez deskę, pokrywając farbą zardzewiały kadłub. Sytuacja ta musiała odpo-wiadać sardonicznemu poczuciu humoru Stricklanda. Zapytałem kapitana Nicholisa, jak on znosił te trudy.

— Nigdy nie słyszałem, żeby narzekał — powiedział kapitan. — Czasami bywał trochę zgryźliwy, ale kiedy nie mieliśmy kęsa w ustach od rana, a nie zarobiliśmy nawet na nocleg u Chińczyka, nie przejmował się i był wesoły jak szczygiel.

Nie zdziwiło mnie to wcale. Strickland był właśnie człowiekiem zdolnym wznieść się ponad okoliczności, które większość ludzi wprawiłyby w przygnębienie. Ale trudno powiedzieć, czy należało to przypisać równowadze jego ducha, czy zmysłowi przekory.

Włóczędzy portowi nazywali „Głową Chińczyka” obskurną knajpę w okolicach Rue Bouterie, którą prowadził jednooki Chiń-czyk, gdzie za sześć su można było przespać się na pryczy, a za trzy — na podłodze. Tu kapitan i Strickland zawarli przyjaźń z ludźmi znajdującymi się w równie rozpaczliwym położeniu; kiedy nie mieli grosza przy duszy, a noc była chłodna, czuli się zadowo-leni mogąc pożyczyć od kogoś, kto w ciągu dnia zarobił przypad-kowo franka, tyle, by zapewnić sobie dach nad głową. Włóczędzy nie byli skąpi, a ten, co miał pieniądze, nie wahał się podzielić nimi. Należeli do wszystkich możliwych narodowości świata, ale to nie przeszkadzało zupełnie w przyjaźni. Czuli się bowiem

wolnymi obywatelami kraju, w którego granicach poruszali się wszyscy — wielkiej Krainy Bezczywności.

— No, ale Strickland to nie był miły pasażer, gdy go coś rozdrażniło — powiedział z namysłem kapitan Nichols. — Pewnego dnia wpadliśmy przypadkiem na Mocnego Billa i ten zażądał od Karola zwrotu dokumentów, które mu dał. „Przyjdź i weź je sobie, jeśli są ci potrzebne” — odparł Karol. Ten Bill to był silny chłop, ale nie bardzo podobała mu się mina Karola, więc zaczął kłąć. Używał wszelkich możliwych wyzwisk, jakie przyszły mu na myśl, a kiedy Mocny Bill zaczynał kłąć, to warto było posłuchać. Karol znosił to chwilę, a potem postąpił krok naprzód i powiedział tylko: „Zabieraj się stąd, ty cholerna świnio!” Nie jest nawet ważne, co powiedział, ale jak to powiedział. Mocny Bill nie wyrzekł słowa więcej, zrobił się żółty na twarzy i odszedł, jakby przypomniał sobie właśnie o jakimś umówionym spotkaniu.

Strickland, zgodnie z relacją Nicholasa, nie użył dokładnie tych słów, które podałem, lecz ponieważ książka ta przeznaczona jest do lektury w gronie rodzinnym, uważałem, że nawet kosztem prawdy lepiej będzie włożyć w jego usta wyrażenie bardziej cenzuralne.

Ale Mocny Bill nie był człowiekiem, który potrafiłby znieść zniewagę ze strony prostego marynarza. Jego potęga opierała się na osobistym prestiżu i coraz to któryś z marynarzy, mieszkających w jego domu, powtarzał, że Bill poprzysiągł zabić Stricklanda.

Pewnej nocy kapitan Nichols i Strickland siedzieli w jednym z barów na Rue Bouterie. Rue Bouterie to wąska ulica składająca się z jednoizbowych domków. Przypominają one budy jarmarczne na zatłoczonym targowisku lub klatki ze zwierzętami w cyrku. W każdych drzwiach można tam dostrzec kobietę. Niektóre z nich opierają się leniwie o odrzwia mruczając coś do siebie lub nawołując ochryplym głosem przechodniów, inne spokojnie czytają. Są tam Francuzki, Włoszki, Hiszpanki, Japonki i kobiety kolorowe. Jedne tłuste, drugie chude. A pod grubą warstwą szminki, mocno

umalowanymi brwiami i szkarłatem warg dostrzega się zmarszczki starości i ślady rozpustnego życia. Niektóre z nich noszą czarną bieliznę i cieliste pończochy; inne z fryzowanymi włosami, ufarbowanymi na rudo, ubrane są jak małe dziewczynki, w krótkie muślinowe sukienki. Przez otwarte drzwi widać posadzkę z czerwonych kafelków, duże drewniane łóżko, miednicę i dzbanek na sosnowym stołku. Różnobarwny tłum snuje się wzdłuż ulicy: marynarze hinduscy, jasnowłosi Skandynawowie ze szwedzkiego żaglowca, Japończycy z okrętu wojennego, żeglarze angielscy, Hiszpanie, sympatyczne chłopaki z francuskiego krążownika, Murzyni z amerykańskiego frachtowca. W dzień ulica ta wygląda obrzydliwie, ale w nocy, oświetlona jedynie blaskiem lamp płonących w małych domkach, ma w sobie jakieś złowieszcze piękno. Ohydna żądza przenikająca powietrze przygnębia i budzi wstręt, a jednak jest coś tajemniczego w tym widoku, coś, co budzi lęk i niepokoi. Czuje się jakąś prymitywną moc, która odpycha, a mimo to fascynuje. Znikły tam wszelkie względy przyzwoitości, stanowiące owoc cywilizacji; czuje się, że ludzie stoją oko w oko z ponurą rzeczywistością. Atmosfera jest napięta i tragiczna.

W barze, gdzie zasiedli Nichols ze Stricklandem, mechaniczna pianola głośno rzępoliła jakąś taneczną melodię. Wokół sali siedzieli przy stolikach ludzie; tu sześciu matrosów pijanych i hałaśliwych, tam grupa żołnierzy. Na środku tańczyły stłoczone pary. Brodaci marynarze o brudnych twarzach i szerokich, stwardniałych dłoniach obejmowali swoje tancerki w ciasnym uścisku. Kobiety miały na sobie tylko bieliznę. Co jakiś czas dwóch marynarzy podnosiło się z miejsca i tańczyło razem. W lokalu panował ogłuszający hałas. Ludzie śpiewali, krzyčeli, śmiali się. A kiedy któryś z mężczyzn obdarzył długim pocałunkiem siedzącą mu na kolanach dziewczynę, gwizdy angielskich marynarzy powiększały jeszcze wrzawę. Powietrze było ciężkie od kurzu wzbijanego obcasami mężczyzn i szare od dymu. Było bardzo gorąco. Za barem siedziała kobieta karmiąca niemowlę. Kelner, niewyrośnięty młodzian z tłustą, krościatą twarzą, biegł tam i z powrotem z tacą pełną kufli piwa.

Po chwili wszedł do baru Mocny Bill w towarzystwie dwóch ogromnych Murzynów. Łatwo było poznać, że jest już dobrze podпиты. Wyraźnie szukał zaczepki. Chwiejąc się na nogach oparł się o stół, przy którym siedziało trzech żołnierzy, i strącił na ziemię kufel piwa. Posypały się przekleństwa. Właściciel baru zbliżył się i kazał Billowi opuścić lokal. Ten silny chłop miał zwyczaj nie tolerować żadnych głupstw ze strony swoich klientów, więc Bill zawahał się. Gospodarz nie był człowiekiem, z którym chciałby zadzierać, bo miał on za sobą policję. Rzuciwszy przekleństwo obrócił się na pięcie. Nagle spostrzegł Stricklanda. Bez słowa ruszył w jego kierunku. Zebrał w ustach ślinę i plunął mu prosto w twarz. Strickland schwycił swój kufel i cisnął w niego. Tancerze przerwali taniec. Przez moment panowała kompletna cisza, ale kiedy Mocny Bill rzucił się na Stricklanda, wszystkich ogarnął szal walki i w jednej chwili rozgorzała beładna bijatyka. Przewrócono stoły, kufle rozbijały się o podłogę. Powstał piekielny zgiełk. Kobiety rzuciły się do drzwi lub ukryły za ladą baru. W lokalu pojawili się przechodnie z ulicy. Rozbrzmiewały przekleństwa we wszystkich językach świata, odgłosy uderzeń, krzyki, a na środku sali kilkunastu mężczyzn biło się, ile tylko starczyło im sił. Nagle do baru wtargnęła policja; kto tylko mógł, rzucił się do drzwi. Kiedy lokal opustoszał nieco, okazało się, że Mocny Bill leży na podłodze nieprzytomny z wielką ciętą raną w głowie. Kapitan Nichols wyciągnął na ulicę Stricklanda krwawiącego z rany na ramieniu, w podartym na strzępy ubraniu. I on miał twarz zakrwawioną od ciosu w nos.

— Sądzę, że powinieneś wyjechać z Marsylii, zanim Mocny Bill wyjdzie ze szpitala — powiedział do Stricklanda, kiedy wrócili do „Głowy Chińczyka” i doprowadzali się do porządku.

— Wesola zabawa — odrzekł Strickland.

Ujrzałem w wyobraźni jego ironiczny uśmiech.

Kapitan Nichols był niespokojny. Znał mściwość Mocnego Billa. Strickland pobił dwukrotnie Mulata; w stanie trzeźwym nie był to człowiek, którego można lekceważyć. Przyczailby się i czekał.

Nie spieszyłyby się, lecz pewnej nocy Strickland otrzymałby pchnięcie nożem w plecy, a po paru dniach trup nieznanego włośczigi zostałby wyłowiony z brudnej wody w porcie. Nichols udał się nazajutrz wieczorem na zwiady do domu Billa. Przebywał on jeszcze w szpitalu, lecz żona, która go odwiedzała, opowiedziała, że przysiągł zabić Stricklanda, kiedy go tylko stamtąd wypuszczą. Minął tydzień.

— Zawsze mówię — rozważał kapitan Nichols — że jak już zbić człowieka, to zbić go dobrze. Ma się wtedy trochę czasu, by rozejrzeć się i obmyślić, co robić dalej.

I wtedy do Stricklanda uśmiechnęło się szczęście. Ze statku płynącego do Australii przysłano do Domu Marynarza zapotrzebowanie na palacza, bo dawny palacz w ataku delirium tremens skoczył na Gibraltarze do morza.

— Leć do portu, chłopie — powiedział kapitan do Stricklanda — i podpisuj kontrakt. Masz przecież dokumenty.

Strickland wyruszył od razu i kapitan Nichols nie widział go więcej. Statek stał w porcie tylko sześć godzin i wieczorem Nichols dojrzał rozplywający się w powietrzu dym z jego kominów, kiedy statek pruł chłodne morskie fale kierując się na wschód.

Opowiedziałem to wszystko, jak mogłem najdokładniej, bo bawił mnie kontrast między tymi wydarzeniami, a życiem Stricklanda w Londynie na Ashley Gardens, kiedy to zajmował się giełdą i akcjami. Wiem jednak, że kapitan Nichols był bezczelnym łgarzem, i sądzę, że nie ma słowa prawdy w tym wszystkim, co mi opowiedział. Nie zdziwiłbym się wcale dowiedziawszy się, że nigdy w życiu nie widział Stricklanda, a Marsylię znał jedynie z obrazków w pismach ilustrowanych.

XLVIII

Na tym zamierzałem skończyć tę książkę. Z początku chciałem zacząć ją od opisu ostatnich lat Stricklanda spędzonych na Tahiti i jego strasznej śmierci, a potem cofnąć się i opowiedzieć wszystko,

co wiem o poprzednim jego życiu. Zamierzałem tak zrobić dlatego, że chciałem ukazać Stricklanda wyruszającego pod wpływem Bóg wie jakich marzeń, nękających tę samotną duszę, na nieznane wyspy, których obraz rozpałał jego wyobraźnię. Z przyjemnością malowałem go sobie, jak wybiera się na podbicie nowego świata w czterdziestym siódmym roku życia, kiedy to większość ludzi urządziła się już wygodnie. Widziałem go na morzu szarym, spienionym w podmuchach mistrala, wpatrującego się w znikający brzeg Francji, której nie było mu już sądzone nigdy ujrzeć. I myślałem sobie, że w jego decyzji była odwaga i nieustraszonosc. Pragnąłem zakończyć książkę nutą nadziei. Podkreśliłoby to niezłomność ducha człowieka. Ale mi się to nie udało. Nie umiałem się jakoś rozpisać i po paru próbach musiałem zrezygnować. Zacząłem od początku i zdecydowałem, że mogę opowiedzieć o życiu Stricklanda tylko to, co wiem, i w porządku, w jakim poznawałem fakty.

Te, którymi rozporządzam, są fragmentaryczne. Jestem w sytuacji biologa, zmuszonego odtworzyć z jednej kości nie tylko wygląd nie istniejącego już zwierzęcia, ale i jego zwyczaje. Strickland nie wywarł specjalnego wrażenia na ludziach, którzy zetknęli się z nim na Tahiti. Dla nich był on zwykłym włóczęgą, znajdującym się w stałych tarapatach pieniężnych, wyróżniającym się tym, że malował obrazy, ich zdaniem, cudaczne. I dopiero w parę lat po jego śmierci, gdy pojawili się agenci wysłani przez handlarzy z Paryża i Berlina, szukając obrazów, jakie może na wyspie pozostały, zrozumieli, że żył wśród nich człowiek wybitny. Przypomnieli sobie wtedy, że prawie za darmo mogli kupić płótna warte teraz duże sumy, i nie mogli darować sobie zmarnowania tej okazji. Przyjechał tam handlarz żydowski nazwiskiem Cohen. Zdobył on jeden z obrazów Stricklanda w sposób niezwykle. Był to niski, stary Żyd francuski o łagodnych oczach i miłym uśmiechu, półhandlarz, półmłynarz, właściciel kutra, na którym wędrował śmiało pomiędzy Paumotami i Markizami, zabierając z sobą towary na sprzedaż, a przywożąc w zamian kopre, muszle i perły.

Poszedłem do niego, powiedziano mi bowiem, że ma on dużą czarną perłę, którą chce tanio sprzedać. Przekonawszy się, że zakup ten przekracza moje możliwości, wszcząłem z nim rozmowę o Stricklandzie. Znał go dobrze.

— Widzi pan — powiedział — na wyspach nie widuje się wielu malarzy, a ja współczułem mu, bo moim zdaniem był kiepskim malarzem. Ja pierwszy dałem mu zajęcie. Miałem na półwyspie plantację i szukałem białego nadzorcy. Nie zmusi się nigdy krajowców do pracy, jeśli nie pilnuje ich biały. Powiedziałem mu: „Będzie pan miał moc czasu na malowanie, a może pan trochę zarobić!” Wiedziałem, że przymierał głodem; ofiarowałem mu dobrą zapłatę.

— Nie mogę sobie wyobrazić, by był z niego dobry nadzorca — rzekłem z uśmiechem.

— Przymknąłem na to oko. Zawsze czułem sympatię dla artystów. Mamy to we krwi, wie pan. Ale on wytrwał w tej pracy zaledwie parę miesięcy. Kiedy miał już dość pieniędzy na kupno farb i płótna, opuścił mnie. Przywiązał się wtedy do tych okolic; chciał zamieszkać sam na pustkowiu. Ale widywałem go od czasu do czasu. Zjawiał się nieoczekiwanie w Papeete co parę miesięcy i przebywał tam czas jakiś; zdobywał od kogoś pieniądze i znowu znikał. Podczas jednej z tych wizyt przyszedł do mnie prosząc o pożyczkę dwustu franków. Wyglądał, jakby nie jadł od tygodni. Nie miałem serca mu odmówić. Naturalnie, nie oczekiwałem, że kiedykolwiek zobaczę te pieniądze. Ale w rok potem odwiedził mnie znowu i przyniósł ze sobą obraz. Nie wspomniał o pieniądzach, które był mi winien, powiedział tylko: „Tu jest obraz przedstawiający pańską plantację, którą namalowałem dla pana.” Spojrzałem na obraz. Nie wiedziałem, co powiedzieć, ale oczywiście podziękowałem mu, a kiedy poszedł, pokazałem malowidło żonie.

— Co to był za obraz? — spytałem.

— Niech pan nie pyta. Nie umiałem się w nim połapać. W życiu nie widziałem nic podobnego. „Co z tym zrobimy?” — spytałem żony. „Nie możemy tego powiesić — odrzekła, — Ludzie śmialiby

się z nas.” Wyniosła obraz na strych i postawiła pośród innych gratów, bo moja żona nigdy nic nie wyrzuca. To jej mania. A potem, niech pan sobie wyobrazi, tuż przed samą wojną brat pisze do mnie z Paryża: „Czy wiesz coś może o angielskim malarzu, który mieszkał na Tahiti? To był podobno geniusz i jego obrazy są tu w wielkiej cenie. Jeśli trafisz na jakiś, przyslij mi go. Można na tym dobrze zarobić.” Więc spytałem żony: „Co się stało z tym obrazem, który podarował mi Strickland? Czy to możliwe, by był jeszcze na strychu?” „Jest na pewno — odrzekła. — Wiesz przecież, że ja nigdy nic nie wyrzucam. To moja mania.” Poszliśmy na strych i tam, wśród Bóg wie jakich śmieci, które nagromadziły się w ciągu trzydziestu lat, to znaczy, odkąd mieszkamy w tym domu, znalazł się obraz. Przyjrzałem mu się znowu i powiedziałem: „Kto by pomyślał, że nadzorca mojej plantacji, któremu pożyczyłem dwieście franków, to był geniusz! Czy widzisz coś genialnego w tym obrazie?” — „Nie — odrzekła — to nie przypomina plantacji i nigdy nie widziałam palm kokosowych o niebieskich liściach. Ale oni tam w Paryżu są zwariowani i może twój brat będzie mógł sprzedać ten obraz za dwieście franków, które pożyczyłeś Stricklandowi.” Zapakowaliśmy go więc i wysłaliśmy bratu. A w końcu dostałem od niego list. I jak się panu zdaje, co napisał? „Otrzymałem twój obraz i przyznaję, że sądziłem, iż to figiel, którego mi spłatałeś. Nie dałbym zań nawet tyle, ile kosztowała przesyłka. Bałem się pokazać go panu, który mówił ze mną o tym. Wyobraź sobie moje zdumienie, kiedy powiedział mi, że to arcydzieło, i ofiarował za nie trzydzieści tysięcy franków. Sądzę, że zapłaciłby więcej, ale szczerze mówiąc, byłem tak zdziwiony, że straciłem głowę. Przyjąłem propozycję, zanim zdołałem ochłonąć.”

Na zakończenie pan Cohen wyrzekł te godne podziwu słowa:

— Szkoda, że biedny Strickland już nie żyje. Ciekaw jestem, co by powiedział, gdybym mu dał dwadzieścia dziewięć tysięcy osiemset franków za jego obraz.

XLIX

Mieszkałem w „Hôtel de la Fleur”. Właścicielka jego, pani Johnson, opowiedziała mi też smutną historię o straconej okazji. Po śmierci Stricklanda niektóre z jego ruchomości zostały sprzedane z licytacji na placu targowym w Papeete. Poszła tam, bo pomiędzy tymi rzeczami był piec amerykański, który chciała kupić. Zapłaciła za niego dwadzieścia siedem franków.

— Było tam kilkanaście obrazów — opowiadała — ale bez ram, więc nikt nie chciał ich kupować. Niektóre sprzedano w końcu po dziesięć franków, ale większość szła za pięć, sześć. Niech pan tylko pomyśli, gdybym je była kupiła, byłabym dziś bogatą kobietą.

Ale Tiare Johnson nie wzbogaciłaby się nigdy. Nie trzymały się jej pieniądze. Córka tubylczej kobiety i Anglika — kapitana statku, który osiedlił się na Tahiti — była, kiedy ją poznałem, kobietą lat pięćdziesięciu, wyglądającą jednak na więcej, o obfitych kształtach. Wysoka i niezmiernie tęga, miałyby wygląd imponujący, gdyby nie jej dobronudna twarz, która nie mogła wyrażać nic innego poza życzliwością. Ramiona jej przypominały baranie udźce, a piersi — olbrzymie głowy kapusty. Twarz, szeroka i mięsista, sprawiała wrażenie nieprzyzwoitej wprost nagości, a tłuste podbródki piętrzyły się jeden na drugim, opadając ogromną masą na jej łono. Nie zdołałem ich nigdy policzyć. Tiare ubrana była zwykle w różowy luźny fartuch i cały dzień nosiła na głowie duży słomkowy kapelusz. Kiedy jednak rozpuściła czasem włosy, z których była dumna, spostrzegano się, że były długie, ciemne i kędzierzawe. Oczy jej pozostały młode i pełne życia. Miała najbardziej zaraźliwy śmiech, jaki w życiu słyszałem. Zaczynał się niską, gardłową kaskadą i rozbrzmiewał coraz głośniej i głośniej, aż całe jej ciało drgało. Kochała trzy rzeczy w świecie: dobry żart, szklanekę wina i przystojnych mężczyzn. Dużo bym stracił, gdybym jej nie poznał.

Była najlepszą kucharką na wyspie i uwielbiała dobre jedzenie. Od rana do wieczora widywało się ją siedzącą na niskim krześle w

kuchni, w otoczeniu chińskiego kucharza i paru tubylczych dziewcząt, komenderującą, gawędzącą przyjacielsko ze wszystkimi o wszystkim i próbującą smakowitych dań, które obmyślała. Kiedy chciała uczcić kogoś z przyjaciół, gotowała dla niego obiad osobście. Gościnność była jej pasją i nikt na wyspie nie potrzebował martwić się o obiad, póki było coś do jedzenia w „Hôtel de la Fleur”. Nigdy nie wyrzucała swoich gości z domu dlatego, że nie zapłacili rachunku. Zawsze ufała, że zapłacą, gdy będą mogli. Pewnemu człowiekowi, który znalazł się w trudnych warunkach, dawała przez szereg miesięcy wikt i mieszkanie. Kiedy Chińczyk odmówił prania dla niego bez zapłaty, posyłała rzeczy tego człowieka do prania razem ze swoimi. Mówiła, że nie może pozwolić, by biedak chodził w brudnej koszuli, ponieważ zaś był mężczyzną, a mężczyźni muszą palić, dawała mu franka dziennie na papierosy. Traktowała go tak samo uprzejmie jak tych gości, którzy regulowali co tydzień swoje rachunki.

Wiek i tusza uczyniły ją niezdolną do miłości, ale interesowała się żywo miłosnymi przeżyciami młodych. Folgowanie tym pragnieniom uważała za naturalne u mężczyzn i kobiet i zawsze gotowa była służyć wskazówkami i przykładami z własnego bogatego doświadczenia.

— Nie miałam jeszcze piętnastu lat, kiedy ojciec mój odkrył, że mam kochanka — opowiadała. — Był to trzeci oficer z „Tropikalnego Ptaka”. Ładny chłopiec.

Westchnęła lekko. Podobno kobieta zawsze wspomina czule swego pierwszego kochanka; ale może nie zawsze go pamięta.

— Mój ojciec był człowiekiem rozsądnym.

— No i co zrobił? — spytałem.

— Zbił mnie na kwaśne jabłko, a potem kazał mi wyjść za mąż za kapitana Johnsona. Nie protestowałam. Był on naturalnie dużo starszy ode mnie, ale przystojny.

Tiare — ojciec nadał jej imię białego pachnącego kwiatu, który według podania, przyciąga zawsze do Tahiti tego, kto go raz powącha, jakkolwiek daleko by od wyspy odjechał — pamiętała bardzo dobrze Stricklanda.

— Przychodził tu czasem i widywałam go nieraz wałęsającego się po Papeete. Żał mi go było; był chudy i nigdy nie miał pieńdzy. Ilekroć dowiedziałam się, że jest w mieście, posyłałam chłopca, by go odnalazł i przyprowadził na obiad do mnie. Parę razy wynalazłam mu pracę, ale on nie potrafił wytrwać w niczym. Bardzo prędko zaczynał marzyć o powrocie na swoje pustkowie i pewnego ranka zniknął.

Strickland przybył na Tahiti w jakieś sześć miesięcy po opuszczeniu Marsylii. Zapracował na przejazd żaglowcem który płynął z Auckland do San Francisco. Przywiózł z sobą pudełko farb, sztalugi i z tuzin płócien. W kieszeni miał kilka funtów, bo w Sydney zarobił cośkolwiek; wynajął sobie mały pokoik za miastem u jednego z krajowców. Myślę, że znalazłszy się na Tahiti poczuł się jak w domu. Tiare opowiadała mi, że mówił kiedyś do niej:

— Szorowałem pokład, a tu nagle jeden z majtków mówi do mnie: „Oto i ona.” Podniosłem wzrok i zobaczyłem zarysy wyspy. Wiedziałem z całą pewnością, że to jest miejsce, do którego tęskniłem całe życie. Kiedy podpłynęliśmy bliżej, miałem wrażenie, że je rozpoznaję. Nieraz, gdy idę przez wyspę, wszystko wydaje mi się znajome. Mógłbym przysiąc, że mieszkałem tu już kiedyś.

— Czasami tak ich to miejsce przyciąga — mówiła Tiare. — Znałam ludzi, którzy wyszli na brzeg na parę godzin, na czas, gdy statek brał ładunek, i nigdy już na pokład nie wrócili. Znałam i takich, co przyjechali tu urzędowo na rok, przeklinali tę wyspę i wyjeżdżając zaklinali się na wszystkie świętości, że prędzej się powieszą, niż wrócą, a po sześciu miesiącach widziało się ich tu znowu i mówili, że nigdzie indziej nie potrafią żyć.

L

Wydaje mi się, że niektórzy ludzie rodzą się w niewłaściwym miejscu. Przypadek umieszcza ich w pewnym środowisku, ale oni zawsze tęsknią za jakimś nieznanym domem. Czują się obco w

ojczystej ziemi, a zacienione uliczki, znane im od dziecka, czy gwarne ulice, na których się bawili, pozostają dla nich jedynie miejscem czasowego pobytu. Mogą spędzić całe życie jako obcy wśród swej rodziny i znanego im otoczenia. Może właśnie to poczucie obcości skłania ludzi do podróży w poszukiwaniu czegoś trwałego, do czego mogliby się przywiązać. Może jakiś głęboko zakorzeniony atawizm gna wędrowca z powrotem do krain, które przodkowie jego w zamierzonych wiekach opuścili. Czasami człowiek trafia do miejsca, z którym w tajemniczy sposób czuje się związany. Tu jest dom, którego szukał; osiedla się w okolicy nigdy dotąd nie widzianej, pośród nieznanych zupełnie ludzi, tak jakby znał ich od urodzenia.

I wreszcie znajduje spokój.

Opowiedziałem Tiare historię człowieka, którego poznałem na studiach w szpitalu Świętego Tomasza. Miał na imię Abraham. Był to Żyd; jasnowłosey, dość tęgi młodzieniec, nieśmiały i skromny, lecz wyjątkowo zdolny. Przyszedł na uczelnię jako stypendysta i w ciągu pięciu lat studiów zdobył wszelkie możliwe nagrody. Pełnił obowiązki lekarza na wydziale wewnętrznym i chirurgicznym. Uznawano go powszechnie za człowieka wybitnego. W końcu wszedł w skład stałego personelu i kariera jego była zapewniona. O ile można przewidzieć ludzkie losy, wydawało się pewne, że osiągnie w swym zawodzie najwyższe sukcesy. Czekają go zaszczyty i bogactwo. Przed objęciem nowych obowiązków zapragnął zrobić sobie wakacje, a nie mając na to środków zgłosił się jako chirurg na parowiec płynący na Wschód. Zazwyczaj statki takie nie angażują lekarzy, ale jeden ze starszych kolegów w szpitalu znał dyrektora linii i przez protekcję Abraham dostał się na statek.

Po paru tygodniach władze otrzymały jego rezygnację z tak godnego zazdrości stanowiska w szpitalu. Wywołało to głębokie zdumienie; zaczęły kursować najniewiarygodniejsze plotki. Ilekroć człowiek popełnia coś nieoczekiwanego, bliźni przypisują mu najbardziej dyskredytujące pobudki. Znalazł się jednak ktoś gotów

zastąpić Abrahama i o Abrahamie zapomniano. Nie słyszało się o nim więcej. Zniknął.

W jakieś dziesięć lat później kazano mi pewnego ranka przed przybiciem statku do portu w Aleksandrii poddać się wraz z innymi pasażerami badaniu lekarskiemu. Lekarz był to tegi mężczyzna w zniszczonym ubraniu. Kiedy zdjął kapelusz, zwróciła moją uwagę jego łysina. Wydało mi się, że go już gdzieś widziałem. I nagle przypomniałem sobie.

— Abraham!

Odwrócił się zdumiony, a poznawszy mnie uściśnął mi rękę. Wyraziliśmy sobie nawzajem nasze zdziwienie z powodu tego spotkania, a kiedy Abraham usłyszał, że zamierzam spędzić noc w Aleksandrii, poprosił mnie, bym zjadł z nim obiad w Klubie Angielskim. Gdyśmy się tam znaleźli, spytałem, skąd się tu wziął. Zajmował bardzo skromne stanowisko i widać było po nim, że żyje w ciężkich warunkach. Opowiedział mi swoje dzieje. Kiedy zaczął wakacje na Morzu Śródziemnym, miał szczerzy zamiar wrócić do Londynu i na proponowane mu stanowisko w szpitalu Świętego Tomasza. Pewnego ranka statek przybił do portu w Aleksandrii. Abraham ogarnął wzrokiem miasto, białe w słonecznym blasku, i rojące się na molo tłumy. Dostrzegł krajowców w podartych płaszczach, Murzynów z Sudanu, hałaśliwe gromady Greków i Włochów, poważnych Turków w fezach, promienne słońce i błękitne niebo. I doznał nagle wstrząsu. Nie potrafił tego opisać. Było to jak uderzenie pioruna, mówił, a potem niezadowolony z tego określenia, powiedział, że było to objawienie. Coś jakby ścisnęło mu serce i ogarnęło go uczucie ogromnej radości i cudownej swobody. Poczul się w domu i postanowił natychmiast, w jednej chwili, że resztę życia spędzi w Aleksandrii. Bez wielkiego trudu udało mu się opuścić statek i po dwudziestu czterech godzinach znalazł się ze wszystkimi swoimi rzeczami na lądzie.

— Kapitan uznał cię chyba za wariata — rzekłem z uśmiechem.

— Nie dbałem o to, za co mnie kto uzna. To nie ja decydowałem, lecz coś silniejszego we mnie. Postanowiłem pójść do

małego greckiego hoteliku. I szukając go czułem, że wiem, gdzie go znaleźć. Poszedłem prosto tam, a ujrawszy hotel rozpoznałem go od razu.

— Czy byłeś już przedtem w Aleksandrii?

— Nie. Nigdy w życiu nie wyjeżdżałem z Anglii.

Wkrótce potem dostał posadę państwową, na której pozostał do tej chwili.

— Czy nigdy nie żałowałeś swego kroku?

— Nigdy, ani przez moment. Zarabiam akurat tyle, by żyć, i jestem zadowolony. Nie pragnę niczego więcej, jak pozostać tu do śmierci. Pędzę cudowne życie.

Opuściłem nazajutrz Aleksandrię i zapomniałem o Abrahamie. Ale niedawno temu umówiłem się na obiad z innym dawnym kolegą po fachu, Alekiem Carmichaelem, który przyjechał na krótki urlop do Anglii. Spotkałem go na ulicy i pogratulowałem mu tytułu szlacheckiego, jakim nagrodzono jego wybitne zasługi wojenne. Umówiliśmy się, że spędzimy wieczór razem dla przypomnienia sobie dawnych czasów, a kiedy zgodziłem się na wspólne zjedzenie kolacji, zaproponował, że nie zaprosi już nikogo więcej, byśmy mogli spokojnie pogawędzić. Był właścicielem pięknego starego domu na Queen Anne Street, a mając dużo gustu urządził go przepięknie. Na ścianach jadalni ujrzałem cudowny obraz Belotta; były tam też dwa dzieła Zoffany'ego, których mu pozazdrościłem. Kiedy żona jego, wysoka, piękna kobieta w sukni koloru złota, zostawiła nas samych, zrobiłem śmiejąc się uwagę, że jego obecne warunki różnią się nieco od tych, w jakich żyliśmy za studenckich czasów. Wtedy uważaliśmy za rozrzutność zjedzenie obiadu w marnej włoskiej restauracji na Westminster Bridge Road. Teraz Alec Carmichael pracował jako lekarz w kilku szpitalach. Przypuszczam, że zarabiał z dziesięć tysięcy funtów rocznie, a uzyskane szlacheństwo było zaledwie pierwszym z szczytów, jakie bez wątplenia musiały mu przypaść w udziale.

— Powiodło mi się — powiedział. — Ale co dziwniejsze, że zawdzięczam to wszystko szczęśliwemu przypadkowi.

— Jak to?

— Pamiętasz Abrahama? To on miał przed sobą przyszłość.

Kiedy byliśmy studentami, bił mnie na całej linii. Dostawał nagrody i stypendia, o które ja się ubiegałem. Zawsze we wszystkim mnie przewyższał. Gdyby był wytrwał, miałby teraz tę pozycję, którą ja zdobyłem. Ten chłop miał genialny zmysł chirurgiczny. Nikt nie mógł się z nim mierzyć. Kiedy dostał się do Świętego Tomasza, ja nie miałem żadnych szans wejścia do szpitala. Mogłem zostać lekarzem omnibusem, a wiesz, jakie są możliwości dla omnibusa wydostania się kiedykolwiek z codziennej koleiny. Ale Abraham rzucił swoją posadę, a ja ją dostałem. To otworzyło przede mną możliwości.

— Sądzę, że tak.

— Miałem po prostu szczęście. Wydaje mi się, że Abraham to kawał dziwaka. Biedaczysko, zjechał zupełnie na psy. Ma marną posadkę w Aleksandrii — oficera sanitarnego czy coś takiego. Opowiadano mi, że żyje z brzydką starą Greczynką i ma pół tuzina skrofulicznych dzieci. Faktem jest, że to mało mieć głowę na karku. Liczy się przede wszystkim charakter. Abraham nie miał charakteru.

Charakteru? Sądzę, że wymagało to niemałego charakteru zrezygnować po półgodzinnym namyśle z całej swojej kariery, dojrzawszy głębszy sens w życiu innego rodzaju. A nigdy nie żałować tego nagłego kroku — to wymagało jeszcze większej siły. Nie powiedziałem jednak nic, a Alee Carmichael ciągnął dalej z namysłem:

— Byłoby oczywiście hipokryzją z mojej strony udawać, że żałuję tego, co zrobił Abraham. Ostatecznie ja na tym zyskałem. — Wypuścił z rozkoszą kłęb dymu z długiego cygara, które palił. — Ale gdybym nie był osobiście zainteresowany, żałowałbym tej straconej przez niego okazji. To paskudna rzecz, kiedy człowiek tak zmarnuje życie.

Zastanowiłem się, czy Abraham rzeczywiście zmarnował życie. Czy robić to, czego się najbardziej pragnie, żyć w warunkach, które człowiekowi odpowiadają, w zgodzie z samym sobą — to marnowanie życia? I czy to jest osiągnięcie być wybitnym chirurgiem, mieć piękną żonę i dziesięć tysięcy rocznie? Myślę, że wszystko zależy od tego, jakie znaczenie nadaje się życiu, czego się żąda od

społeczeństwa i wymaga od jednostki. Ale znowu ugryzłem się w język. Kimże jestem, aby spierać się z człowiekiem uszlachconym?

LI

Kiedy opowiedziałem tę historię Tiare, pochwaliła moją mądrość i przez parę minut pracowaliśmy w milczeniu — łuskaliśmy właśnie groszek. Po chwili oczy jej, zawsze czujne, jeśli chodzi o sprawy kuchenne, dostrzegły, że kucharz Chińczyk zrobił coś, co wzbudziło jej gwałtowną dezaprobatę. Obrzuciła go potokiem wyzwisk, Chińczyk, broniąc się, nie pozostał jej dłużnym i wybuchła kłótnia. Sprzeczali się w miejscowym narzeczu, z którego umiałem zaledwie parę słów, i robili taki hałas, jakby lada chwila miał nastąpić koniec świata. Niebawem zapanował jednak spokój i Tiare dała kucharzowi papierosa. Oboje z przyjemnością zaciągnęli się dymem.

— Czy pan wie, że to ja wyszukałam mu żonę? — powiedziała nagle Tiare, a uśmiech rozjaśnił jej ogromną twarz.

— Kucharzowi?

— Nie, Stricklandowi.

— Ależ on miał już żonę!

— To samo mi oświadczył, ale ja odpowiedziałam, że ona jest w Anglii, a Anglia znajduje się na drugim końcu świata.

— Racja — przyznałem.

— Przychodził do Papeete co dwa, trzy miesiące, kiedy potrzebował farb, tytoniu lub pieniędzy, i wałęsał się wtedy jak bezpański pies. Miałam tu sierotę do sprzątania pokoi, imieniem Ata; była moją daleką krewną i mieszkała ze mną. Strickland zachodził do nas od czasu do czasu na skromny posiłek lub partię szachów z którymś z chłopców. Spostrzegłam, że Ata zerka na niego, kiedy się zjawiał, i zapytałam ją, czy się jej podoba. Odpowiedziała, że owszem. Wie pan, jakie są te dziewczęta: zawsze gotowe pójść za białym mężczyzną.

— Czy to była mieszkanka tej wyspy?

— Tak. Nie miała ani kropli białej krwi w żyłach. Rozmówiwszy się z nią, posłałam po Stricklanda i powiedziałam mu: „Strickland, czas już, byś się ustatkował. Człowiek w twoim wieku nie powinien zadawać się z dziewczynami z ulicy. To złe nasienie i nic dobrego z tego dla ciebie nie wyniknie. Nie masz pieniędzy i nigdy nie możesz się utrzymać na posadzie dłużej jak miesiąc, dwa. Nikt cię teraz nie zatrudni. Powiadasz, że możesz mieszkać w szalasię któregoś z tubylców i oni są zadowoleni, że mają białego człowieka, ale to nie uchodzi. Posłuchaj mnie, Strickland.”

Tiare mieszała w rozmowie słowa francuskie i angielskie, bo władała z równą łatwością oboma językami. Nadawała im też miły śpiewny akcent. Gdyby ptak umiał po angielsku, to chyba mówiłby w ten sposób.

— „Co byś powiedział na małżeństwo z Atą? To dobra dziewczyna; ma dopiero siedemnaście lat. Nigdy nie była tak niewybredna jak inne dziewczyny — kapitan czy pierwszy oficer to tak, ale nigdy krajowiec. *Elle se respecte, vois-tu.*¹

¹ Szanuje się, widzisz, (fr.)

Kasjer z «Oahu» powiedział mi za ostatnim swoim tu pobytem, że nie spotkał na wyspach ładniejszej dziewczyny. Już pora, żeby i ona się ustatkowała, a poza tym kapitanowie i pierwsi oficerowie lubią od czasu do czasu odmianę. Nie trzymam długo moich dziewcząt. Ata ma kawałek ziemi koło Taravao, w miejscu, gdzie zaczyna się półwysep. Przy obecnej cenie kopry moglibyście żyć całkiem dobrze. Jest tam dom i miałbyś tyle czasu na malowanie, ile byś chciał. Co na to powiesz?”

Tiare umilkła, by zacerpnąć tchu.

— Wtedy powiedział mi o swojej żonie w Anglii. „Mój biedaku — odrzekłam. — Wszyscy mają gdzieś jakieś żony. Przeważnie dlatego przyjeżdżają na wyspy. Ale to rozsądna dziewczyna, nie oczekuje ceremonii przed burmistrzem. Jest protestantką, a protestanci, jak wiesz, nie zapatrują się na te sprawy tak jak katolicy.” Wtedy on spytał: „A co ona na to?” „Wydaje się, że wpadłeś jej w oko — odrzekłam. — Nie ma nic przeciwko temu, jeśli się zgadzasz.

Czy mam ją zawołać?” Zaśmiał się zabawnie, sucho, jak miał w zwyczaju, a ja zawołałam dziewczynę. Wiedziała, szelma, o czym mowa, widziałam kątem oka, jak udając, że prasuje bluzkę, którą mi uprała, słuchała nadstawiawszy uszu. Przyszła. Śmiała się, ale widziałam, że była trochę zmieszana, a Strickland przyglądał się jej bez słowa.

— Czy była ładna? — spytałem.

— Niebrzydka. Musiał pan widzieć jej portrety. Malował ją ciągle, czasami okrytą *pareo*, a czasami zupełnie naga. Tak, była dość ładna. I umiała gotować. Nauczyłam ją tego sama. Wiedziałam, o czym myśli Strickland, więc dodałam: „Płaciłam jej dobrze i zaoszczędziła te zarobione pieniądze. Kapitanowie i pierwsi oficerowie, których poznała, dawali jej też coś czasem. Ma odłożone kilkaset franków.” Szarpnął swoją wielką rudą brodę i uśmiechnął się. „No, Ata, chciałabyś mnie za męża?” — spytał. Nie odpowiedziała, zachichotała tylko. „Mówię ci, Strickland, że dziewczyna ma słabość do ciebie” — odezwałam się. „Będę cię bił” — powiedział patrząc na nią. „Jakże inaczej wiedziałabym, że mnie kochasz?” — odparła.

Tiare przerwała opowiadanie i zwróciła się do mnie z powagą:

— Mój pierwszy mąż, kapitan Johnson, miał zwyczaj pracować dla mnie regularnie. To był dopiero mężczyzna. Przystojny, sześć stóp i trzy cale, a kiedy się upił, nie było przed nim ratunku. Czasami przez parę dni byłam cała w sińcach. Ach, jak płakałam, kiedy umarł! Myślałam, że nigdy się nie pocieszę. A kiedy wyszłam za George'a Raineya, przekonałam się dopiero, co straciłam. Nigdy się nie wie, jaki jest mężczyzna, póki się z nim nie żyje. Na nikim się tak nie zawiodłam jak na George'u Raineyu. I on był pięknym, postawnym mężczyzną. Prawie tak wysoki jak kapitan Johnson, wydawał się dość silny. Ale to były tylko pozory. Nigdy nie pił. Nigdy nie podniósł na mnie ręki. Mógłby być właściwie misjonarzem. Spałam z oficerami ze wszystkich statków, które przybijały do brzegów wyspy, a George Rainey nigdy nic nie widział. W końcu

obrzydł mi i zażądałam rozwodu. Co za korzyść z takiego męża? To straszne, jak niektórzy mężczyźni traktują kobiety.

Wyraziłem jej słowa współczucia i dodałem, że mężczyźni zawsze byli oszustami, a potem poprosiłem o dalszy ciąg historii Stricklanda.

— „No — powiedziałam. — Nie ma pośpiechu. Namyśl się i zastanów. Ata ma w przybudówce ładny pokoik. Pomieszkać z nią z miesiąc i zobacz, czy ona ci odpowiada. Możesz się stołować tutaj. A w końcu miesiąca, jeśli się zdecydujesz i zechcesz ożenić, możesz się przenieść do jej posiadłości.” Zgodził się na to. Ata dalej spełniała domową robotę, a ja karmiłam go, jak obiecałam. Nauczyłam Atę paru potraw, które wiedziałam, że on lubi. Nie malował wiele. Błąkał się po wzgórzach i kąpał w strumieniu. Siadywał przed domem wpatrując się w lagunę, a o zachodzie słońca schodził popatrzeć na wyspę Murea. Chodził też łowić ryby ze skały. Lubił wałęsać się po porcie i gawędzić z krajowcami. To był miły, spokojny człowiek. A co wieczór po kolacji szedł do przybudówki z Atą. Widziałam, że tęsknił już do swojej pustelni, i w końcu miesiąca spytałam, co zamierza zrobić. Odrzekł, że jeśli Ata zechce z nim pójść, on jest gotów iść z nią. Wyprawiłam im więc weselną ucztę. Przyrządziłam ją własnymi rękoma. Dałam im zupę z groszku i homara à *la portugaise*, i *curry*, i sałatę z orzechów kokosowych — nigdy nie jadł pan mojej sałaty z orzechów, prawda? Muszę przyrzadzić ją panu, zanim pan wyjedzie — i na koniec lody. Było pod dostatkiem szampana i likierów. Postanowiłam urządzić wszystko jak najlepiej. A potem tańczyliśmy w bawialni. Nie byłam jeszcze wtedy taka gruba i zawsze lubiłam tańczyć.

Bawialnią w „Hôtel de la Fleur” był to niewielki pokój z małym pianinem i garniturem mahoniowych mebli, krytych tłoczonym pluszem, ustawionych porządnie pod ścianami. Na okrągłych stołach leżały albumy z fotografiami, a na ścianach wisiały powiększone fotografie Tiaré i jej pierwszego męża, kapitana Johnsona. Jeszcze teraz, choć Tiare była stara i tłusta, zwijaliśmy nieraz dywan, sprowadzaliśmy dziewczęta i paru przyjaciół Tiaré i

tańczyliśmy przy chrapliwych dźwiękach gramofonu. Powietrze na werandzie przesycone było ciężkim zapachem kwiatów *tiare*, a na bezchmurnym niebie jaśniał w górze Krzyż Południa.

Tiare uśmiechnęła się pobłaźliwie, wspominając wesołe, dawno minione czasy.

— Bawiliśmy się do trzeciej rano, a potem poszliśmy spać; nie sądzę, by ktokolwiek był trzeźwy. Powiedziałam im, że mogą wziąć moją bryczkę i dojechać nią do końca drogi. Potem mieli jeszcze długi marsz pieszy przed sobą. Posiadłość *Aty* znajdowała się daleko w dolinie. Wyruszyli o świcie, a chłopiec, którego z nimi posłałam, wrócił dopiero nazajutrz. Tak to ożenił się *Strickland*.

LII

Sądzę, że następne trzy lata to były najszcześniejsze lata w życiu *Stricklanda*. Dom *Aty* stał w odległości ośmiu kilometrów od drogi okrążającej wyspę. Szło się tam wijącą się ścieżką, którą ocieniały bujne, rozrośnięte tropikalne drzewa. Domek o niemalowanych drewnianych ścianach składał się z dwóch niewielkich izb. Szopa stojąca obok służyła jako kuchnia. Mebli nie było żadnych prócz mat służących za posłanie i bujającego fotela stojącego na werandzie. Obok domku rosły bananowce o dużych, poszarpanych liściach, przypominających podartą szatę cesarzowej, która znalazła się w nędzy, na tyłach domu drzewo, miejscowa odmiana gruszy, a wszędzie wokoło palmy kokosowe będące bogactwem tej ziemi. Ojciec *Aty* obsadził posiadłość rycynusem, rosło tam mnóstwo tych krzewów o żywych, lśniących barwach. Otaczały ów skrawek ziemi płomienną barierą. Przed domem wznosiło się drzewo mangowe, a na skraju polanki dwa bliźniacze drzewa rywalizujące swymi szkarłatnymi kwiatami ze złotem kokosowych palm.

Tu *Strickland* żył z plodów ziemi, rzadko zjawiając się w *Papeete*. W pobliżu domku znajdował się mały strumyk, w którym się kąpał; czasami przepływała tamtędy ławica ryb. Wtedy tubylcy gromadzili się na brzegu z dzidami w rękę i krzycząc głośno,

przebijali duże spłaszczone sztuki sunące szybko w kierunku morza. Niekiedy Strickland schodził w dół na rafę i wracał z homarem lub koszykiem małych kolorowych rybek, które Ata smażyła w oleju kokosowym. A czasami przyrządzała pikantną potrawę z dużych lądowych krabów, które umykały spod nóg. Na szczycie góry rosły dzikie drzewa pomarańczowe; co jakiś czas Ata szła tam z paru kobietami z wioski i wracała obładowana zielonymi, słodkimi, soczystymi owocami. A potem dojrzewały orzechy kokosowe, i kuzyni jej (Ata jak wszyscy krajowcy miała mnóstwo krewnych) wdrapywali się tłumnie na drzewa i zrzucali na ziemię duże dojrzałe owoce. Otwierali je i układali na słońcu, by wyschły. Potem wycinali z nich koprę i kładli ją w worki; kobiety zносиły następnie koprę do handlarza we wsi nad laguną, a on dawał im za to ryż, mydło, konserwy mięsne i trochę pieniędzy. Czasami w sąsiedztwie odbywała się jakaś uroczystość i z tej okazji zabijano wieprza. Szli tam wtedy i objadali się po dziurki w nosie, tańczyli i śpiewali.

Ale dom stał daleko od wsi, a mieszkańcy wyspy są leniwi. Lubią podróżować i plotkować, ale nie chce im się chodzić; czasem przez tygodnie całe Strickland i Ata żyli sami. On malował i czytał, a wieczorem, kiedy się ściemniło, siadali razem na werandzie pałac tytoń i wpatrując się w noc. Po jakimś czasie Ata urodziła dziecko, a stara kobieta, która pomagała jej w tych ciężkich chwilach, została już z nimi. Jeszcze później zamieszkała z nią jej wnuczka, a następnie zjawił się młody chłopak — nikt dobrze nie wiedział, skąd pochodził i czyim był krewnym — ale i on niefrasobliwie zadomowił się i żyli tak wszyscy razem.

LIII

— *Tenez, voilà le capitaine Brunot*¹ — powiedziała pewnego dnia Tiare, kiedy zsumowałem wszystko, co potrafiła powiedzieć

¹ O, kapitan Brunot. (fr.)

mi o Stricklandzie. — On znał dobrze Stricklanda, odwiedzał go nawet w jego domu.

Ujrzałem Francuza w średnim wieku z dużą, czarną brodą, przetykaną siwizną, o opalonej twarzy i dużych błyszczących oczach. Ubrany był w czyste płócienne ubranie. Spostrzegłem go już w czasie lunchu i Ah Lin, boy chiński, powiedział mi, że przyjechał z Paumotów łodzią, która tego dnia przybyła. Tiare przedstawiła go, a on podał mi swój bilet wizytowy, duży bilet, na którym widniało wydrukowane nazwisko „René Brunot”, a pod spodem „Capitaine au long cours”¹. Siedzieliśmy na małej werandzie przed kuchnią. Tiare kroił suknię, którą szyła dla jednej z dziewcząt w domu. Kapitan przysiadł się do nas.

¹ Kapitan żeglugi wielkiej, (fr.)

— Tak. Znałem dobrze Stricklanda — powiedział. — Bardzo lubię szachy, a i on chętnie w nie grywał. Przyjeżdżałem na Tahiti trzy, cztery razy do roku w interesach, a jeśli Strickland znajdował się wtedy w Papeete, przychodził tutaj i graliśmy. Kiedy się ożenił — kapitan Brunot z uśmiechem wzruszył ramionami — *enfin*, kiedy zamieszkał z dziewczyną, którą podsunęła mu Tiare, poprosił mnie, bym go odwiedził. Byłem jednym z gości na ucztę weselnej. — Spojrzał na Tiaré i roześmieli się oboje. — Potem nie przychodził już często do Papeete; w rok później tak się zdarzyło, że miałem jakiś interes w tej części wyspy, a kiedy go załatwiłem, powiedziałem sobie: „*Voyons*, dlaczego nie miałbym odwiedzić tego biednego Stricklanda?” Zapytałem paru krajowców, czy wiedzą coś o nim, i dowiedziałem się, że mieszka nie dalej niż pięć kilometrów od miejsca, gdzie się znajdowałem. Poszedłem więc do niego. Nie zapomnę nigdy wrażenia, jakie wywarła na mnie ta wizyta. Mieszkam na atolu, płaskiej wysepce; to skrawek ziemi otaczający lagunę, którego piękno stanowią niebo i morze, i zmienne barwy laguny, i wdzięk kokosowych palm. Ale miejsce, gdzie osiedlił się Strickland, miało w sobie coś z piękności ogrodu Edenu. Ach, chciałbym umieć opisać panu urok tego zakątka,

ukrytego przed światem, z jego błękitnym niebem i bogatym, bujnym listowiem drzew! Istna orgia barw. Było tam chłodno i wonnie. Słowa nie zdołają opisać tego raj. I tam mieszkał Strickland, nie troszcząc się o świat i zapomniany przezeń. Sądzę, że oczom Europejczyka egzystencja taka musiałaby się wydać niesłychanie nędzna. Dom był zniszczony i bynajmniej nie czysty. Kiedy się zbliżyłem, ujrzałem kilku krajowców leżących na werandzie. Wie pan, jak oni lubią żyć stadami. Leżał tam rozciągnięty jakiś młodzieniec, paląc papierosa, odziany jedynie w *pareo*.

Pareo to długi pas bawełnianej materii, czerwony lub niebieski w biały deseń. Okręcony wokół talii, zwisa do kolan.

Dziewczynka, piętnastoletnia może, plotła kapelusz z liści pandanusa, a stara kobieta siedziała w kucki paląc fajkę. A potem zobaczyłem Atę. Karmiła niemowlę, a drugie dziecko, zupełnie nagie, bawiło się u jej stóp. Ujrawszy mnie zawołała Stricklanda, który wyszedł do drzwi. I on miał na sobie tylko *pareo*. Wyglądał niezwykle z tą swoją rudą brodą, zmierzwionymi włosami i szeroką owłosioną pierśią. Stopy miał stwardniałe i całe w bliznach, z czego wywnioskowałem, że zawsze chodzi boso. Upodobił się zupełnie do krajowców. Wydawał się zadowolony z mego widoku i kazał Acie zabić na obiad kurczę. Wprowadził mnie do domu, by pokazać mi obraz, nad którym właśnie pracował. W rogu pokoju znajdowało się posłanie, a na środku sztalugi z ustawionym na nich płótnem. Żał mi go było, więc kupiłem za niewielką sumę parę obrazów, a inne posłałem przyjaciółom do Francji. Choć kupiłem je z litości, obcując z nimi zacząłem je lubić. Odkryłem w nich naprawdę przedziwne piękno. Wszyscy uważali, że jestem pomyłony, ale okazało się, że miałem rację. Byłem pierwszym człowiekiem na wyspach, który się na nim poznał.

Uśmiechnął się złośliwie zerkając na Tiare, a ona użalając się opowiedziała nam znów historię o tym, jak na wyprzedazy rzeczy po Stricklandzie zlekceważyła jego obrazy, a kupiła amerykański piec za dwadzieścia siedem franków.

— Czy ma pan jeszcze te płótna? — spytałem.

— Tak. Potrzymam je do czasu, gdy moja córka będzie pan-
ną na wydaniu, i wtedy je sprzedam. Będzie to jej *dot*¹.

¹ posąg (fr.)

Potem powrócił do swego opowiadania o wizycie u Stricklanda.

— Nigdy nie zapomnę spędzonego z nim wieczoru. Nie miałem zamiaru zostać tam dłużej niż jakąś godzinkę. Lecz on nalegał, bym zanocowałem. Wahałem się, gdyż, mówiąc szczerze, nie bardzo podobały mi się maty, na których zaproponował mi spanie. Ale w końcu postanowiłem nie zwracać na to uwagi. Kiedy budowałem sobie dom na Paumotach, spałem przez całe tygodnie na jeszcze twardszym posłaniu, mając krzaki jako jedyną osłonę. A jeśli chodzi o robactwo, liczyłem na to, że moja twarda skóra okaże się odporna na ich złośliwość. Poszliśmy do strumienia, aby się wykąpać, zanim Ata przygotuje kolację, a po kolacji usiedliśmy na werandzie paląc papierosy i gawędząc. Młody chłopak grał na harmonijce melodie popularne w musichallach przed laty. Dziwnie brzmiały wśród tropikalnej nocy, tysiące mil od cywilizowanego świata. Spytałem Stricklanda, czy nie drażni go mieszkanie w takiej gromadzie. Odrzekł, że lubi mieć modele pod ręką. Niebawem, ziewając głośno, krajowcy poszli spać i zostaliśmy sami.

Nie potrafię opisać panu absolutnej ciszy tej nocy. Na mojej wyspie na Paumotach nie ma nigdy w nocy tak całkowitego spokoju. Słyszy się szelest miliardów żyjątek na piasku, szmer wydawany przez maleńkie skorupiaki czołgające się bezustannie i spieszne kroczki lądowych krabów.

Od czasu do czasu rozlega się na lagunie plusk wyskakującej z wody ryby lub słychać płynącego szybko brunatnego rekina buzdzącego popłoch wśród ryb. Przede wszystkim — nieprzerwany jak czas — głuchy szum fal bijących o skały.

Ale tu nie słyszało się żadnych dźwięków, a powietrze przenikał zapach białych kwiatów nocy. Noc ta była tak piękna, że dusza z trudem wytrzymała więzy ciała. Czulo się, że gotowa jest ulecieć

w niematerialne przestworza, a śmierć wydawała się bliskim przyjacielem. Tiare westchnęła.

— Ach, jakbym ja chciała mieć znowu piętnaście lat!

Wtem spostrzegła kota usiłującego dobrać się do półmiska krewetek stojącego na kuchennym stole; przy akompaniamencie głośnych, pełnych oburzenia krzyków zręcznym ruchem cisnęła książkę w ogon uciekającego stworzenia.

— Spytałem go, czy jest szczęśliwy z Atą. „Zostawia mnie w spokoju — odrzekł. — Gotuje i niańczy dzieci. Robi, co jej powiem. Daje mi to, czego żądam od kobiety.” „A czy pan nigdy nie tęskni do Europy? Do oświetlonych ulic Paryża lub Londynu, do towarzysztwa przyjaciół i ludzi na tym samym co pan poziomie, do... *que sais-je?*¹, do teatrów i gazet, do łoskotu autobusów po bruku?”

¹ Czy ja wiem? (fr.)

Przez długą chwilę nie odpowiadał. Potem rzekł: „Pozostanę tu do śmierci.” „Ale czy nigdy nie czuje się pan znudzony lub samotny?” — spytałem. Roześmiał się. „*Mon pauvre ami*² — odparł. — Oczywiście, że nie ma pan pojęcia, co to jest być artystą.”

² Mój biedny przyjacielu, (fr.)

Kapitan Brunot zwrócił się do mnie z miłym uśmiechem; w jego ciemnych, łagodnych oczach malował się dziwny wyraz.

— Niesprawiedliwie mnie osądził, bo i ja wiem, co to są marzenia. I ja je miewam. I ja na swój sposób jestem artystą.

Przez chwilę milczeliśmy wszyscy, a Tiare wyłowiła ze swej przepaścistej kieszeni garść papierosów. Podała nam po jednym i zapaliliśmy. W końcu powiedziała:

— Skoro ce *monsieur* interesuje się Stricklandem, może by go zapoznać z doktorem Coutras? On mógłby opowiedzieć coś o chorobie i śmierci Stricklanda.

— *Volontiers*⁸ — odrzekł kapitan patrząc na mnie.

⁸ Chętnie, (fr.)

Podziękowałem mu, a on spojrział na zegarek.

— Już po szóstej. Gdyby pan zechciał pójść teraz, zastaniemy go w domu.

Podniosłem się od razu i poszliśmy drogą prowadzącą do domu doktora. Mieszkał za miastem, ale i „Hôtel de la Fleur” położony był na skraju miasta, szybko więc znaleźliśmy się w polu. Szeroką drogę ocieniały drzewa pieprzowe, po obu jej stronach rozciągały się plantacje palm kokosowych i wanilii. Ptaki-piraty skrzeczały wśród liści palm. Przeszliśmy kamiennym mostem nad płytką rzeką, zatrzymawszy się parę minut na nim, by przyjrzeć się kąpiącym chłopcom. Gonili się ze śmiechem i krzykiem, a ich brunatne, mokre ciała lśniły w słońcu.

LIV

Po drodze rozmyślałem nad pewnym faktem, który zwrócił moją uwagę w związku z tym, co ostatnio usłyszałem o Stricklandzie. Tu, na tej odległej wyspie, nie wzniecał on zupełnie, jak się zdawało, owej niechęci, jaką budził w swoim kraju, lecz raczej współczucie, a jego ekstrawagancje przyjmowano z pobłażliwością. Dla tutejszych ludzi, Europejczyków i krajowców, był po prostu dziwakiem, a oni byli do dziwaków przyzwyczajeni, tolerowali go. Świat jest pełen dziwaków, którzy robią rzeczy niezwykłe. A może ludzie tutejsi wiedzieli, że człowiek nie jest tym, kim chce być, lecz tym, kim musi. W Anglii i we Francji Strickland nie pasował do warunków, w jakich żył, ale tu warunki były bardzo różne i każdy mógł znaleźć to, co mu odpowiadało. Nie sądzę, by na Tahiti Strickland stał się sympatyczniejszy, mniej samolubny i brutalny, lecz warunki były tu bardziej sprzyjające. Gdyby spędził całe życie w tym otoczeniu, mógłby uchodzić za człowieka nie gorszego od innych. Tu znalazł to, czego ani nie oczekiwał, ani nie pragnął wśród rodaków — mianowicie sympatię ludzką.

Spróbowałem wyrazić kapitanowi Brunot zdziwienie, jakie budził we mnie ten fakt. Przez chwilę nie odpowiadał.

— W każdym razie to nic dziwnego, że ja go lubiłem — rzekł w końcu — bo choć może nie wiedzieliśmy o tym, dążyliśmy obaj do tego samego celu.

— Jakież był cel, do którego mogli dążyć dwaj tak różni ludzie, jak pan i Strickland? — spytałem z uśmiechem.

— Piękno.

— Rozległe pojęcie — mruknąłem.

— Czy pan wie, że ludzie mogą być tak opętani miłością, że stają się ślepi i głusi na wszystko inne w świecie? W równie małym stopniu są panami swej woli co niewolnicy przykuci do galerii. Namiętność, która trzymała w niewoli Stricklanda, była nie mniej tyrańska niż miłość.

— Jakie to dziwne, że i pan to mówi! — odrzekłem. — Kiedyś miałem wrażenie, że on jest opętany przez demona.

— Namiętnością Stricklanda była pasja tworzenia piękna. Nie dawała mu ona spokoju. Gnała go z miejsca na miejsce. Był wiecznym pielgrzymem, nękanym boską tęsknotą, a tkwiący w nim demon nie znał litości. Są ludzie opanowani tak silnym pragnieniem prawdy, że gotowi są podważyć fundamenty swego istnienia, by ją osiągnąć. Do takich należał Strickland, tylko miejsce prawdy zajmowało u niego piękno. Nie mogłem nie odczuwać głębokiej dla niego litości.

— To jest zdumiewające. Człowiek, którego on bardzo skrzywdził, też powiedział mi, że żał mu go szczerze. — Milczałem chwilę. — Zadaję sobie pytanie, czy nie rozszyfrował pan charakteru, który zawsze był dla mnie niezrozumiały. Jak pan na to wpadł?

Odwrócił się do mnie z uśmiechem.

— Czyż nie powiedziałem panu, że i ja na swój sposób jestem artystą? Odkryłem w sobie to samo pragnienie, które jego ożywiało. Dla niego środkiem do celu były farby, a dla mnie życie.

Tu kapitan Brunot opowiedział mi historię, którą muszę powtórzyć, bo choćby drogą kontrastu pogłębi ona jeszcze moją

opinię o Stricklandzie. Jest też piękna sama w sobie.

Kapitan Brunot był Bretończykiem i służył we francuskiej flocie. Ożeniwszy się porzucił służbę morską i osiadł w swej małej posiadłości niedaleko Quimper chcąc przeżyć resztę życia w spokoju. Lecz na skutek złych rad swego finansowego doradcy znalazł się nagle bez grosza, a ani on, ani żona nie chcieli żyć w nędzy tam, gdzie dotąd cieszyli się poważaniem. W czasie swoich żeglarskich podróży krążył nieraz po morzach południowych, postanowił więc teraz tam szukać szczęścia. Spędził parę miesięcy w Paapeete, by ułożyć plan i nabyć doświadczenia. Następnie za pieniądze pożyczone od jednego z przyjaciół we Francji kupił jedną z wysp na Paumotach. Był to pierścień lądu obejmujący głęboką lagunę, nie zamieszkaną i porosłą jedynie niskimi krzakami i dziką guawą. Wraz z dzielną żoną i kilku tubylcami wylądował na wyspie i zabrał się do budowania domu i karczowania krzaków, by zasadzić palmy kokosowe. Działo się to przed dwudziestu laty. Teraz w miejscu jałowej wyspy krzewił się ogród.

— Początkowo była to ciężka i niewdzięczna robota, pracowaliśmy oboje ze wszystkich sił. Co dzień wstawiałem o świcie i ciąłem chaszczę, sadziłem drzewa, budowałem dom. Rzuciwszy się wieczorem na łóżko, spałem jak kłoda do rana. Moja żona pracowała równie ciężko jak ja. Z czasem urodziły nam się dzieci, najpierw syn, potem córka. Nauczyliśmy ich z żoną wszystkiego, co umieją. Sprowadziliśmy pianino z Francji. Żona nauczyła ich grać na nim i mówić po angielsku, a ja łaciny i matematyki; historię czytaliśmy razem. Dzieci potrafią też żeglować i pływają równie dobrze jak krajowcy, a wyspa nie ma dla nich żadnych tajemnic. Zasadzone przez nas drzewa wyrosły pięknie, a wśród raf znajduje się ostrygi. Przyjechałem teraz na Tahiti, żeby kupić szkuner. Może opłaci mi się połów ostryg? Może znajdę perły? Stworzyłem coś tam, gdzie nie było nic. Ja też stworzyłem piękno. O, pan nie wie, co to za uczucie patrzeć na te wysokie, dorodne drzewa i myśleć, że każde z nich sadziło się samemu!

— Pozwoli pan, że zadam pytanie, które postawił pan Stricklandowi: czy nigdy nie tęskni pan do Francji i do swego rodzinnego domu w Bretanii?

— Kiedyś, gdy dzieci założą własne rodziny i będą mogły zająć moje miejsce na wyspie, wrócimy z żoną i dożyjemy naszych dni w starym domu, gdzie się urodziłem.

— Będziecie tam rozpamiętywać swoje szczęśliwe życie — powiedziałem.

— *Evidemment!* na mojej wyspie nie ma atrakcji i jesteśmy bardzo daleko od świata — niech pan pomyśli, cztery dni jadę na Tahiti — ale jesteśmy szczęśliwi. Niewielu ludziom dane jest podjąć jakąś pracę i dokonać jej. Nasze życie jest proste i skromne. Nie zżera nas ambicja, a jedyna nasza duma to podziwianie dzieła własnych rąk. Nie może osiągnąć nas złośliwość ani zawiść. *Ah, mon cher monsieur* ², mówi się często o błogosławieństwie pracy. To właściwie zwrot bez znaczenia, ale dla mnie ma on najbardziej istotne znaczenie. Jestem człowiekiem szczęśliwym.

* Oczywiście, (fr.)

* Ach, mój drogi panie, (fr.)

— Jestem pewny, że pan na to zasługuje — uśmiechnąłem się.

— Chciałbym móc w to uwierzyć. Nie wiem, czym zasłużyłem na żonę będącą idealnym przyjacielem i towarzyszem, doskonałą kochanką i wzorową matką.

Rozmyślałem chwilę nad życiem, które wyczarował w swojej wyobraźni kapitan.

— Oczywiście jest, że aby prowadzić taką egzystencję i uczynić ją tak owocną, musieliście oboje posiadać silną wolę i mocny charakter.

— Może. Ale bez jeszcze jednego czynnika nie osiągnęlibyśmy niczego.

— Cóż to takiego?

Zatrzymał się i wyciągnął nieco teatralnym gestem rękę.

— Wiara w Boga. Bez niej musielibyśmy zginąć.

Doszliśmy właśnie do domu doktora Coutras.

LV

Doktor Coutras był to stary Francuz wysokiego wzrostu i niezwykłej tuszy. Ciało jego miało kształt ogromnego kaczego jaja. Oczy niebieskie, o bystrym, łagodnym spojrzeniu zwracał od czasu do czasu z zadowoleniem na swój olbrzymi brzuch. Miał kwitnącą cerę i siwe włosy. Był to człowiek wzbudzający z miejsca sympatię. Przyjął nas w pokoju, jakby żywcem przeniesionym z jakiegoś domu w prowincjonalnym francuskim mieście; parę polinezyjskich drobiazgów wyglądało tam dziwacznie. Ujął moją rękę w swoje dłonie — były ogromne — i obrzucił mnie serdecznym, lecz bystrym spojrzeniem. Witając się z kapitanem Brunot zapytał grzecznie o *madame et les enfants*¹. Parę chwil wymienialiśmy uprzejmości, dzieliliśmy się miejscowymi plotkami i mówiliśmy o przewidywanych zbiorach kopry i wanilii, potem przeszliśmy do celu mojej wizyty.

¹ żonę i dzieci (fr.)

Relacji doktora nie przekażę w jego słowach, lecz w moich własnych, gdyż nie sądzę, bym potrafił oddać jego żywy sposób wyśławiania się. Miał on głęboki, dźwięczny głos, harmonizujący z jego masywną postacią, i wybitny zmysł aktorski. Słuchać go to była równa przyjemność co uczestniczenie w przedstawieniu, a nawet o wiele większa niż oglądanie większości przedstawień.

A więc doktor Coutras został pewnego dnia wezwany do Taravao, do starej chorej żony wodza plemienia. Odmalował obrazowo tłustą imość leżącą w ogromnym łóżku, palącą papierosy, otoczoną gromadą ciemnoskórych podwładnych. Po skończonej konsultacji zaprowadzono go do drugiego pokoju i poczęstowano obiadem, na który złożyły się: surowa ryba, pieczone banany i kurczak — typowy obiad tubylca — a gdy jadł, ujrzał nagle młodą dziewczynę we łzach, odpędzaną od drzwi. Nie zrobiło to na nim wrażenia, lecz kiedy wyszedł z domu, by wsiąść do swojej bryczuszki i wracać do siebie, zobaczył ją ponownie, stojącą nieco z

boku. Wpatrywała się w niego z żalną miną, a łzy spływały jej po policzkach. Zapytał kogoś, co jej jest. Dowiedział się, że przyszła z gór, by prosić go o odwiedzenie jakiegoś białego, który jest chory. Powiedziano jej, że nie można niepokoić doktora. Zawołał ją i sam zapytał, czego chce. Odrzekła, że przysłała ją Ata, ta, która pracowała dawniej w „Hôtel de la Fleur”, bo Rudy jest chory. Ścisła w dłoni zgnieciony kawałek gazety, a kiedy rozwinął go, znalazł w środku banknot stufrankowy.

— Kto to jest Rudy? — spytał kogoś z obecnych.

Wyjaśniono mu, że tak nazywają malarza Anglika, który mieszka z Atą w dolinie wśród gór o siedem kilometrów stamtąd. Z opisu rozpoznał Stricklanda. Trzeba tam było iść pieszo. Dłatego nie chciano dopuścić do niego dziewczyny.

— Przyznaję — rzekł lekarz zwracając się do mnie — że zawahałem się. Nie miałem wielkiej ochoty maszerować czternaście kilometrów po złej drodze; nie było też nadziei, bym wrócił do Papeete tej samej nocy. Poza tym nie darzyłem Stricklanda sympatią. Uważałem go za leniwego, bezużytecznego nicponia, który wolał mieszkać z tubylczą kobietą niż zarabiać na życie jak każdy z nas. *Mon Dieu*, skąd miałem wiedzieć, iż świat pewnego dnia dojdzie do wniosku, że to był geniusz? Zapytałem dziewczynę, czy czuje się on aż tak źle, że nie może zejść na dół do mnie, i co mu jest. Nie chciała mi odpowiedzieć. Nalegałem, może nawet gniewnie, ale ona utkwiała wzrok w ziemię i zaczęła płakać. Wzruszyłem ramionami. Ostatecznie moim obowiązkiem było pójść; w bardzo złym humorze kazałem jej iść naprzód.

Humor doktora z pewnością się nie poprawił, gdy dotarł na miejsce, zgrzany i spragniony. Ata wyglądała go i wyszła mu kawałek drogi na spotkanie.

— Zanim zbadam kogokolwiek, dajcie mi pić, bo umrę z pragnienia! — krzyknąłem. — *Pour l'amour de Dieu*¹, dajcie mi orzech kokosowy!

¹ Na miłość boską, (fr.)

Na jej wołanie przybiegł jakiś chłopiec, wdrapał się na drzewo i po chwili zrzucił na ziemię dojrzały orzech. Ata przebiła w nim otwór i doktor pociągnął długi, orzeźwiający łyk. Potem skrzył sobie papierosa i humor mu się poprawił.

— No, gdzie Rudy? — zapytał.

— Jest w domu. Maluje. Nie powiedziałam mu, że pan przyszedł. Proszę, niech go pan zbada.

— Ale na co się skarży? Jeśli czuje się na tyle dobrze, by malować, to mógł zejść do Taravao i oszczędzić mi tej przeklętej drogi. Sądzę, że mój czas nie jest mniej cenny niż jego.

Ata nie odpowiedziała, lecz razem z chłopcem weszła za doktorem do domu. Dziewczyna, która go przyprowadziła, usiadła tymczasem na werandzie, gdzie leżała jakaś stara kobieta, oparta plecami o ścianę, zajęta skręcaniem papierosów z krajowego tytoniu. Ata wskazała drzwi. Doktor, zdziwiony i zirytowany tym dziwnym zachowaniem, wszedł. Spostrzegł Stricklanda, który czyścił paletę. Na sztalugach stał obraz. Strickland, odziany tylko w *pareo*, zwrócony był tyłem do drzwi, lecz odwrócił się usłyszawszy kroki. Spojrzał na doktora z irytacją. Zdziwiony jego widokiem, miał mu za złe natręctwo. Lecz doktorowi, gdy go ujrzał, zabrakło tchu; stanął jak wryty i wpatrywał się w malarza z natężeniem. Tego nie oczekiwał. Był wstrząśnięty.

— Wchodzi pan sobie bez ceremonii — odezwał się Strickland. — Czym mogę panu służyć?

Doktor ochłonął, ale z wysiłkiem dobył głosu. Cała jego irytacja minęła, czuł tylko — „*eh bien, oui, je ne le nie pas*”² — czuł przytłaczającą litość.

² tak, nie wypieram się (fr.)

— Jestem doktor Coutras. Byłem w Taravao z wizytą u żony

jednego z wodzów i Ata przysłała tam po mnie, bym odwiedził pana.

— Skończona idiotka. Miałem ostatnio jakieś bóle i trochę gorączki, ale to nic, przejdzie. Kiedy następnym razem ktoś będzie szedł do Papeete, poproszę o trochę chininy.

— Niech pan przyjrzy się sobie w lustrze.

Strickland popatrzył na doktora i z uśmiechem podszedł do taniego lustra w drewnianych ramkach, wiszącego na ścianie.

— No i co?

— Czy nie widzi pan dziwnej zmiany w swojej twarzy? Czy nie dostrzega pan zgrubienia rysów? Twarz pańska wygląda, no, jak to określić? Podręczniki nazywają to „lwią twarzą”. *Mon pauvre ami*¹, czy muszę mówić panu, że jest pan chory na straszłą chorobę?

¹ Mój biedny przyjacielu, (fr.)

— Ja?

— Gdy pan przyjrzy się sobie w lustrze, dostrzeże pan typowe objawy trądu.

— Pan żartuje — powiedział Strickland.

— Chciałbym, na Boga, żeby to były żarty.

— Czy pan chce powiedzieć, że ja mam trąd?

— Niestety, nie może być co do tego żadnych wątpliwości.

Doktor Coutras oznajmiał wyrok śmierci wielu ludziom, ale nigdy nie mógł opanować grozy, jaką go to napełniało. Wczuwał się wtedy zawsze w straszliwą nienawiść, jaka musiała ogarniać człowieka skazanego na śmierć, kiedy porównał siebie z doktorem, cieszącym się pełnią władz umysłowych i fizycznych, obdarzonym bezcennym przywilejem życia. Strickland patrzył na niego bez słowa. Nie widać było żadnego wrażenia na jego twarzy zniekształconej już odrażającą chorobą.

— Czy oni wiedzą? — spytał w końcu, wskazując osoby na werandzie, siedzące w niezwykłym, niezrozumiałym milczeniu.

— Tubylcy znają te objawy doskonale — odrzekł doktor. — Bali się powiedzieć panu.

Strickland podszedł do drzwi i wyjrzał przez nie. W twarzy jego musiało być coś strasznego, bo nagle ci z werandy zaczęli głośno krzyczeć i płakać. Strickland nie przemówił słowa. Patrzył na nich przez chwilę, potem wrócił do pokoju.

— Jak długo, pańskim zdaniem, mogę żyć?

— Któż to może wiedzieć! Niekiedy choroba ciągnie się ze dwadzieścia lat. To błogosławieństwo, jeśli przebieg jej jest szybki.

Strickland zbliżył się do sztalug i w zamyśleniu popatrzył na stojący na nich obraz.

— Odbył pan długą drogę. Zwiastun ważnych wiadomości powinien być nagrodzony. Niech pan weźmie ten obraz. Teraz nie przedstawia on dla pana wartości, ale może kiedyś będzie pan zadowolony, że go posiada.

Doktor Coutras wzbraniał się przed zapłatą za odbytą drogę. Oddał już przedtem Acie banknot stufrankowy. Strickland nalegał jednak, by wziął obraz. Potem wyszli razem na werandę. Krajowcy szlochali rozpaczliwie.

— Uspokój się, kobieto. Otrzyj łzy — rzekł Strickland zwracając się do Aty. — Nie ma czego płakać. Opuszczę cię bardzo niedługo.

— Nie zabiorą cię stąd przecież? — krzyknęła.

W owym czasie nie obowiązywały jeszcze na wyspach surowe przepisy separowania trędowatych i jeśli chcieli, mogli pozostać na wolności.

— Pójdę w góry — rzekł Strickland.

Ata wstała i spojrzała mu w oczy.

— Niech inni odejdą, jeśli chcą, ale ja cię nie opuszczę. Jesteś moim mężczyzną, a ja twoją kobietą. Jeśli mnie opuścisz, powieszę się na drzewie za domem. Przysięgam na Boga.

Było coś niesłychanie mocnego w tonie, jakim wypowiedziała te słowa. Nie była to już potulna, łagodna tubylcza dziewczyna, lecz kobieta gotowa na wszystko. Nastąpiła w niej niezwykła wprost przemiana.

— Dlaczego miałabyś ze mną pozostać? Możesz wrócić do Papeete, znajdziesz tam prędko innego białego mężczyznę. Stara może opiekować się dziećmi, a Tiare będzie zadowolona, gdy wrócisz.

— Jesteś moim mężczyzną, a ja twoją kobietą. Gdzie ty pójdziesz, tam i ja za tobą.

Przez moment Strickland zachwiał się w swym męstwie. Łzy napłynęły mu do oczu i stoczyły się wolno po policzkach. Potem uśmiechnął się swoim zwykłym ironicznym uśmiechem.

— Kobiety to dziwne stworzenia — powiedział do doktora Coutras. — Można traktować je jak psy, można je bić, aż ramiona zabolą, a one nadal kochają. — Wzruszył ramionami. — Oczywiście to jedno z najabsurdalniejszych złudzeń chrystianizmu, że kobieta ma duszę.

— Co ty mówisz doktorowi? — spytała podejrzliwie Ata. — Nie chcesz chyba odejść?

— Jeśli chcesz, zostanę, moje biedne dziecko.

Ata padła przed nim na kolana, objęła rękami jego nogi i całowała je. Strickland patrzył na doktora Coutras uśmiechając się blade.

— W końcu opanują człowieka i jest się bezsilnym w ich rękach. Białe czy brunatne, wszystkie takie same.

Doktor Coutras czuł, że byłoby absurdem wyrażać słowa współczucia w tak okropnym nieszczęściu, więc pożegnał się. Strickland rozkazał młodemu chłopcu, imieniem Tanè, odprowadzić go do wsi. Doktor Coutras umilkł na chwilę, a potem zwrócił się do mnie:

— Nie lubiłem go. Mówiłem panu, że nie był mi sympatyczny, ale kiedy wolnym krokiem schodziłem do Taravao, nie mogłem opanować mimowolnego podziwu dla stoickiej odwagi, która pozwoliła mu znieść najstraszliwsze może z ludzkich nieszczęść. Kiedy rozstawałem się z Tanè, powiedziałem mu, że przyślę lekarstwo, które może się przydać. Niewielką miałem jednak nadzieję, że Strickland zechce je zażywać, a jeszcze mniejszą, że pomoże mu, gdyby to robił. Poleciałem chłopcu, by powiedział Acie, że przyjdę, kiedykolwiek przyśle po mnie. Życie jest okrutne,

a natura znajduje czasem straszliwą rozkosz w torturowaniu swych dzieci. Z ciężkim sercem jechałem z powrotem do mego wygodnego domu w Papeete.

Przez długą chwilę milczeliśmy wszyscy.

— Ale Ata nie przysłała po mnie — podjął doktor — i tak się złożyło, że przez długi czas nie odwiedzałem tej części wyspy. Nie miałem też żadnych wiadomości o Stricklandzie. Parę razy słyszałem, że Ata była w Papeete po materiały malarskie, ale nie zdarzyło mi się jej widzieć. Upłynęło przeszło dwa lata, zanim znów pojechałem do Taravao, i to znów do starej żony wodza. Spytałem tam wtedy, czy słyszano coś o Stricklandzie. Było już powszechnie wiadome, że ma on trąd. Najpierw Tanè opuścił dom, wkrótce potem stara kobieta z wnuczką. Strickland i Ata zostali sami ze swymi dziećmi. Nikt nie zbliżał się do plantacji, bo jak wiecie, tubylcy boją się strasznie tej choroby; w dawnych czasach, odkrywszy ją, zabijali chorego. Ale czasami chłopcy z miasta, goniący po wzgórzach, dostrzegali białego mężczyznę z dużą rudą brodą, który się tam błakał. Uciekali wtedy w popłochu. Niekiedy Ata schodziła nocą do wsi i budziła kupca, by nabyć rzeczy, których potrzebowała. Wiedziała, że tubylcy patrzą na nią z taką samą niechęcią i wstrętem jak na Stricklanda, i usuwała im się z drogi. Pewnego razu kilka kobiet odważyło się zbliżyć bardziej niż zazwyczaj do plantacji; zobaczyły ją piorącą bieliznę w strumieniu i obrzuciły kamieniami. Zapowiedziano następnie kupcowi, by oznajmił jej, że jeśli jeszcze raz ośmieli się prać w strumieniu, mężczyźni spalą jej dom.

— Zwierzęta! — powiedziałem.

— *Mais non, mon cher monsieur.*¹ Ludzie są zawsze tacy sami. Strach czyni ich okrutnymi. Postanowiłem odwiedzić Stricklanda. Po wizycie u żony wodza poprosiłem jakiegoś chłopca, by wskazał mi drogę. Ale nikt nie chciał mi towarzyszyć i musiałem iść sam.

¹ Ależ nie, drogi panie, (fr.)

Kiedy doktor Coutras dotarł do plantacji, poczuł się nieswojo. Choć zgrzał się idąc, wstrząsnął nim dreszcz. Zawahał się czując w powietrzu coś wrogiego, jakby jakieś niewidzialne siły zagradzały mu drogę. Niewidoczne ręce zdawały się odciągać go z powrotem. Nikt nie zbliżał się do plantacji, by zebrać kokosowe orzechy; leżały i gnily na ziemi. Zewsząd ziało pustką. Krzewy rozrosły się bujnie i wyglądało na to, że niebawem pierwotny las porośnie znów skrawek łądu z tak wielkim trudem z niego oczyszczony. Doktor miał wrażenie, jakby miejsce to było siedzibą cierpienia. Kiedy zbliżył się do domu, uderzyła go niezwykła cisza; w pierwszej chwili pomyślał, że dom jest opuszczony. Potem zobaczył Aę. Siedziała w kucki w szopie, służącej za kuchnię, pilnując jakiejś strawy, gotującej się w garnku. Mały chłopczyk cicho bawił się obok niej w piasku. Nie uśmiechnęła się na widok doktora.

- Przyszedłem odwiedzić Stricklanda — rzekł.
- Pójdę mu to powiedzieć.

Ruszyła w kierunku domu i weszła tam po kilku schodach przez werandę. Doktor Coutras podążył za nią, lecz posłuszny jej gestowi zaczekał na zewnątrz. Kiedy otworzyła drzwi, poczuł słodkawo-mdlący zapach, który czyni tak wstrętnym sąsiedztwo trędowatych. Usłyszał, jak powiedziała coś, a potem odpowiedź Stricklanda, lecz nie poznał jego głosu. Stał się on ochrypły i niewyraźny. Doktor Coutras uniósł w górę brwi. Osądził, że choroba zaatakowała już struny głosowe. Po chwili Ata wyszła z domu.

- Nie chce pana widzieć. Musi pan odejść.

Doktor nalegał, ale ona nie pozwoliła mu wejść. Wzruszył ramionami i po chwili namysłu zawrócił. Poszła z nim. Czuł, że i ona chce się go pozbyć.

- Czy w niczym absolutnie nie mogę mu pomóc? — spytał.
- Może mu pan przysłać trochę farb — odrzekła. — Niczego innego nie pragnie.
- Czy może jeszcze malować?
- Maluje ściany domu.
- To straszne życie dla ciebie, moje biedne dziecko.

Wtedy uśmiechnęła się wreszcie, a w oczach jej pojawił się błysk nadludzkiej wprost miłości, który zadziwił doktora i poruszył go. Wzbudził w nim uczucie czci. Nie wiedział, co powiedzieć.

— To mój mężczyzna — rzekła.

— Gdzie twoje drugie dziecko? — spytał. — Gdy byłem tu ostatnim razem, miałaś dwoje.

— Tak, ale jedno umarło. Pochowaliśmy je pod drzewem mangowym.

Odprowadziwszy go kawałek, Ata powiedziała, że musi wracać. Doktor Coutras przypuszczał, że bała się iść dalej, by nie spotkać kogoś z mieszkańców wsi. Powtórzył jeszcze raz, że gdyby go potrzebowała, przyjdzie natychmiast, kiedy tylko po niego przyśle.

LVI

Minęły dwa lata, a może trzy, bo czas na Tahiti upływa niepostrzeżenie i traci się jego rachubę. W końcu jednak doniesiono doktorowi, że Strickland umiera. Ata uprosiła woźnicę, który woził pocztę do Papeete, by zaraz po przyjeździe poszedł do doktora. Lecz wezwanie to nie zastało go w domu i zapadł już wieczór, gdy je otrzymał. Niepodobieństwem było wyruszać o tak późnej porze, więc dopiero nazajutrz, zaraz po wschodzie słońca, wyprawił się w drogę. Dotarł do Taravao i po raz ostatni przebył pieszo siedem kilometrów dzielących go od domu Aty. Ścieżka była zarośnięta, najwidoczniej nikt nią nie chodził od lat. Niełatwo było znaleźć drogę. Chwilami musiał brnąć wzdłuż strumienia, to znów przedzierać się przez krzaki, gęste i kolczaste; często zmuszony był wdrapywać się na skały, by ominąć gniazda szerszeni zwisające z drzew nad jego głową. W powietrzu panowała absolutna cisza. Z westchnieniem ulgi dotarł w końcu do małego niemalowanego domku, okropnie zaniedbanego i opuszczonego; i tu panowała ta sama nieznośna cisza. Podszedł bliżej. Mały chłopczyk, bawiący się spokojnie w słońcu, zerwał się na jego widok i szybko uciekł:

każdy obcy był dla niego wrogiem. Doktor Coutras miał wrażenie, że dziecko obserwuje go skrycie zza drzewa. Drzwi były szeroko otwarte. Zawołał, lecz nikt mu nie odpowiedział. Wszedł do domu. Zapukał do drzwi, ale znów odpowiedziało milczenie. Nacisnął klamkę i wszedł. Smród, który weń uderzył, przyprawił go o mdłości. Przytknął chustkę do nosa i zmusił się do wejścia do izby. Panował tu półmrok, po oślepiającym słonecznym blasku przez chwilę nie widział nic. Potem wzdrygnął się. Nie mógł się połapać, gdzie jest. Wydało mu się, że wszedł nagle w jakiś zaczerowany świat, że znajduje się w wielkiej pierwotnej puszczy, wśród której drzew przechadzają się nagie postacie. A potem spostrzegł, że to malowidła na ścianach.

— *Mon Dieu*, mam nadzieję, że to nie słońce mnie poraziło — mruknął.

Lekki szmer zwrócił jego uwagę: dostrzegł Atę leżącą na podłodze i szlochającą cicho.

— Ata! — zawołał. — Ata!

Nie zwróciła na niego uwagi. Potworny odór znów o mało nie przyprawił go o zemdlenie; zapalił cygaro. Oczy jego przywykły już do ciemności. Spojrzawszy znów na zamalowane ściany doznał jakiegoś niezwykle silnego wrażenia. Nie znał się zupełnie na malarstwie, ale tu było coś, co go do głębi poruszyło. Ściany od podłogi do sufitu pokrywała dziwna, skomplikowana kompozycja. Było to cudowne i zupełnie niepojęte. Zabrakło mu tchu. Ogarnęło go wzruszenie, którego nie umiał pojąć ani zanalizować. Czuł podziw i zachwyt, jakie odczuwałby człowiek oglądający powstawanie świata. Było w tym coś potężnego, zmysłowego, namiętnego, a równocześnie strasznego, budzącego trwogę. Było to dzieło człowieka, który zanurzył się w ukryte głębie natury i odkrył tam tajemnice piękne i przerażające zarazem, dzieło człowieka, który poznał rzeczy, których poznanie jest świętokradztwem. W malarstwie tym było coś pierwotnego, przerażającego, nieludzkiego. Przywiodło ono doktorowi na myśl niejasne wspomnienie czarnej magii. Było to piękne i równocześnie bezwstydnę.

— *Mon Dieu*, to geniusz!

Słowa te wyrwały mu się; sam nie wiedział, że je wymówił.

A potem wzrok jego padł na posłanie z mat w rogu izby. Podszedł i ujrzał straszny, zniekształcony, upiorny kształt, który kiedyś był Stricklandem. Leżał martwy. Doktor Coutras zdobył się na wysiłek i pochylił się nad tą okropną maskarą. Wtem wzdrygnął się gwałtownie i strach go ogarnął, bo poczuł, że ktoś stoi za nim. Była to Ata. Nie słyszał, jak podniosła się z ziemi. Stała u jego boku patrząc na to, na co i on patrzył.

— Boże drogi, moje nerwy są tak rozstrojone, że przestraszyłaś mnie śmiertelnie — powiedział.

Spojrzał znów na nieszczęsny zewłok, który kiedyś był człowiekiem, i cofnął się z przerażeniem.

— Ależ on był ślepy!

— Tak. Oślepił mnie więcej przed rokiem.

LVII

W tym momencie opowiadanie przerwała pani Coutras, która wróciła z wizyt. Do pokoju wpłynęła jak okręt pod parą okazała postać, wysoka i krzepka, z obfitym biustem, ściśnięta gorsetem. Miała wydatny, haczykowaty nos i trzy podbródki. Trzymała się prosto. Nie uległa ani na moment osłabiającemu czarowi tropikalnego kraju, przeciwnie, stała się bardziej czynna, bardziej światowa i bardziej zdecydowana, niż mieszkaniec umiarkowanej strefy uważałby za możliwe w tych warunkach. Była najwidoczniej osobą gadatliwą, bo z ust jej popłynął strumień anegdotek i komentarzy. Rozmowa, którą wiedliśmy przed chwilą, wydawała się obecnie daleka i nierealna. Po chwili doktor Coutras zwrócił się do mnie.

— W moim *bureau* mam jeszcze obraz, który ofiarował mi Strickland — powiedział. — Czy chciałby go pan obejrzyć?

— Chętnie.

Podnieśliśmy się i doktor poprowadził mnie na werandę, która otaczała dom. Stanęliśmy, by przyjrzeć się barwnej orgii kwitnących w ogrodzie kwiatów.

— Długo nie mogłem zapomnieć niezwyklej dekoracji, jaką Strickland pokrył ściany swego domu — rzekł w zamyśleniu.

I ja nad tym myślałem. Wydawało mi się, że tu w końcu malarz wypowiedział się całkowicie. Wyobrażałem sobie, iż pracując w milczeniu, ze świadomością, że to ostatnia szansa, musiał wyrazić wszystko, co wiedział i co przeczuwał o życiu. I może wreszcie tu znalazł spokój. Demon, który go opętał, został w końcu wygnany. Gdy artysta dokonał dzieła, do którego całe jego życie było przygotowaniem, spokój zstąpił na znękaną i niedostępną duszę. Go-tów był umrzeć dobiwszy do celu.

— Jaki był temat kompozycji? — spytałem.

— Nie wiem dokładnie. Był to jakiś niezwykle twórczy fantazji. Może wizja początku świata, raj z Adamem i Ewą, *que sais-je?* Hymn na cześć ludzkiego piękna, mężczyzny i kobiety, pochwała natury: wzniosłej, bezstronnej, pięknej i okrutnej. Dawało to straszliwe wrażenie nieogarnionej przestrzeni i nieskończoności czasu. Ponieważ namalował drzewa, które widzę wokół siebie co dzień: palmy kokosowe, bananowce, grusze, widzę je odtąd inaczej, jakby były przeniknięte duchem, jakby kryły w sobie tajemnicę, którą prawie chwytam, a która jednak stale mi się wymyka. Barwy, jakich używał, były mi znane, a jednak inne. Miały swoją własną wymowę. A te nagie kobiety i mężczyźni byli niby istotami ziemskimi, a mimo to dalekimi od ziemi. Zdawali się zawierać w sobie coś z gliny, z której ich stworzono, a jednocześnie był w nich pierwiastek boski. Patrzyło się na człowieka w całej nagości jego pierwotnych instynktów i lęk ogarniał, bo widziało się siebie... — doktor Coutras wzruszył ramionami i uśmiechnął się. — Będzie się pan śmiał ze mnie. Jestem materialistą, ciężkim, grubym tłuszczochem. Falstaffem. Liryczne nastroje to nie dla mnie. Ośmieszam się. Nie widziałem jednak nigdy obrazu, który wywarłby na

mnie tak silne wrażenie. *Tenez!*, doznałem tego samego uczucia, kiedy wszedłem w Rzymie do Kaplicy Sykstyńskiej.

¹ Otóż (fr.)

I tam ogarnął mnie podziw dla człowieka, który namalował sklepienie. Było to dzieło genialne, zdumiewające, potężne. Poczulem się mały i nic nie znaczący. Człowiek jest przygotowany na wielkość Michała Anioła. Nic nie przygotowało mnie natomiast na niezwykle niespodziankę, jaką będą te malowidła w tubylczej chacie z dala od cywilizacji, u stoku góry wznoszącej się nad Taravao. Michał Anioł jest zdrowy i normalny. Jego wielkie dzieła mają w sobie wzniosły spokój. Ale tu prócz piękna było coś niepokojącego. Nie wiem sam co. Czułem się nieswojo. Miałem takie wrażenie, jakie się ma siedząc obok pokoju, o którym wie się, że jest pusty, lecz który nie wiadomo czemu budzi przerażającą świadomość, że mimo wszystko ktoś się w nim znajduje. Człowiek jest zły sam na siebie, wie, że to tylko nerwy, a jednak, jednak... W pewnej chwili nie można już opanować strachu, jest się zupełnie bezsilnym w jego szponach. Tak, przyznaję, że wcale się nie zmartwiłem, kiedy usłyszałem, że to niezwykle arcydzieło uległo zniszczeniu.

— Zniszczeniu?! — wykrzyknąłem.

— *Mais oui.*² Nie wiedział pan o tym?

² Ależ tak. (fr.)

— Skąd miałem wiedzieć? Prawdę mówiąc, nigdy nie słyszałem o tym dziele. Ale myślałem, że może dostało się w ręce jakiegoś prywatnego kolekcjonera. Nie ma przecież ustalonej listy obrazów Stricklanda.

— Kiedy ślepił coraz bardziej, przesiadywał w tych dwóch izbach, których ściany pokrył obrazami, wpatrując się niewidzącymi oczami w swoje dzieło i dostrzegając w nim może więcej, niż widział dotąd w całym życiu. Ata mówiła mi, że nigdy nie skarżył się na swój los, nigdy się nie załamał. Umysł jego do końca pozostał jasny i niezmacony. Ale kazał jej złożyć obietnicę, że gdy

go pochowa — nie mówiłem jeszcze, zdaje się, panu, że kopałem mu grób własnymi rękami, bo żaden z tubylców nie chciał się zbliżyć do zarażonego domu; pogrzebaliśmy z Atą ciało pod drzewem mangowym, zaszywszy je w trzy *pareos* — kazał jej więc obiecać, że podpali dom i nie odejdzie, póki doszczętnie nie spłonie, tak by nie zostało z niego nic.

Przez chwilę milczałem pogrążony w myślach, a potem powiedziałem:

— Strickland pozostał więc taki sam do końca.

— Prawda? Muszę panu powiedzieć, że uważałem za swój obowiązek przekonać ją, by tego nie robiła.

— Nawet po tym, co pan przed chwilą powiedział?

— Tak. Bo wiedziałem, że to było dzieło geniusza, i uważałem, że nie mamy prawa pozbawiać świata czegoś takiego. Lecz Ata była innego zdania. Obiecała przecież! Nie chciałem być świadkiem tego barbarzyńskiego czynu. Dopiero później dowiedziałem się, jak to zrobiła. Polała naftą suchą podłogę i maty i podpaliła to wszystko. Po chwili z chaty zostały tylko tłące zgliszczca; wielkie arcydzieło przestało istnieć.

— Sądzę, że Strickland wiedział, że to było arcydzieło. Osiągnął to, czego pragnął. Dzieło jego życia zostało wypełnione. Sam stworzył świat i ujrzał, że jest udany. A potem, powodowany dumą i wzdumą, zniszczył go.

— Ale muszę pokazać panu mój obraz — rzekł doktor Co-
utras wstając.

— A co się stało z Atą i dzieckiem?

— Przenieśli się na Markizy. Miała tam krewnych. Słyszałem, że chłopiec pracuje na jednym ze szkunerów Camerona. Podobno z wyglądu jest bardzo podobny do ojca.

Przy drzwiach prowadzących z werandy do pokoju przyjęć doktor zatrzymał się z uśmiechem.

— To martwa natura. Owoce. Pomyśli pan, że obraz taki nie bardzo pasuje w lekarskim gabinecie. Ale moja żona nie chciała powiesić go w salonie. Twierdzi, że jest po prostu bezwstydnym.

— Owoce?! — krzyknąłem zdumiony.

Weszliśmy do pokoju i wzrok mój padł od razu na obraz. Przyglądałem mu się długo.

Przedstawiał stos owoców manguowych, bananów, pomarańczy i jeszcze tam czegoś. Na pierwszy rzut oka był dość niewinny. Ktoś mniej uważny uznałby go na wystawie postimpresjonistów za doskonały, lecz nie szczególnie wybitny przykład malarstwa tej szkoły. Później jednak myślałby o tym obrazie, sam nie wiedząc dlaczego. I nie sądzę, by mógł całkowicie o nim zapomnieć.

Kolory obrazu były tak niezwykle, że z trudem da się opisać słowami wrażenie, jakie wywierały. Ciemny błękit z lekka zmatowiała jak delikatnie zdobiona czara z lapis-lazuli, ale z drżącym połyskiem, jakby tajemnicze życie pulsowało w jego wnętrzu. Purpura, ohydna jak surowe, gnijące mięso, a jednocześnie mająca w sobie jakąś płomienną zmysłowość, przywodzącą na myśl Imperium Rzymskie z czasów Heliogabala. Czerwień, jaskrawa jak jagody ostrokrzewu — nasuwające myśl o świętach Bożego Narodzenia w Anglii, o śniegu, radości i śmiechu dzieci — a równocześnie w przedziwny sposób złagodzona, mająca delikatność i miękkość gołębiego gardziołka. Ciemnożółte tony przechodziły z niezwykłą wprost pasją w zieleń wonną jak wiosna i czystą jak skrzęca się woda górskiego potoku. Któż zdoła wyrazić, jaka udręczona wyobraźnia stworzyła te owoce? Pasowały do jakiegoś polinezyjskiego ogrodu Hesperyd. Była w nich niezwykła siła żywotna, jak gdyby powstały w owym zamierzchłym okresie historii ziemi, kiedy rzeczy nie posiadały jeszcze ściśle określonych form. Pyszniły się niezwykłą wspaniałością. Były ciężkie od tropikalnej woni. Zdawały się kryć w sobie ciemną zmysłowość. Były to owoce zaczarowane, których skosztowanie mogło otworzyć drzwi do Bogu tylko wiadomych tajemnic duszy i tajemniczych pałaców wyobraźni. Miały w sobie ponurość nieprzewidzianych niebezpieczeństw; ten, kto je zjadł, mógł zamienić się w bestię lub boga. Wszystko, co naturalne i zdrowe, wszystko, co ma jakiś związek ze szczęściem i zwykłymi radościami prostych ludzi, usuwało się przed nimi z lękiem. A jednak tkwiła w nich fatalna przyciągająca

siła i jak owoce z drzewa wiadomości złego i dobrego były straszne dzięki możliwościom Nieznanego, jakie w sobie kryły.

Wreszcie odwróciłem się od obrazu. Czuję, że Strickland zabrał swoją tajemnicę do grobu.

— *Voyons, René, mon ami*¹ — rozległ się donośny, wesół głos pani Coutras — co ty robisz przez cały ten czas! Aperitify czekają. Zapytaj *monsieur*, czy nie wypilby kieliszczyka quinquina dubonnet.

— *Volontiers, madame*² — odrzekłem wychodząc na werandę.

Czar przysł.

¹ No, René, mój drogi, (fr.)

² Chętnie, proszę pani. (fr.)

LVIII

Nadeszła chwila wyjazdu z wyspy Tahiti. Zgodnie z miłym panującym tam zwyczajem, osoby, które poznałem, obdarzyły mnie upominkami w postaci koszyków uplecionych z liści palm kokosowych, mat z pandanusa i wachlarzy. Tiare ofiarowała mi trzy małe perły i trzy słoiki galaretki z owoców guawy osobiście przez nią usmażonej. Kiedy z parowca pocztowego, zatrzymującego się na wyspie przez dwadzieścia cztery godziny w drodze z Wellington do San Francisco, rozległ się gwizdek nawołujący pasażerów do wstępowania na pokład, Tiare przytuliła mnie do swego szerokiego łona, tak iż miałem wrażenie, że tonę we wzburzonym morzu, i przycisnęła swe czerwone wargi do moich. Łzy zabłysły w jej oczach. A gdy wypływaliśmy wolno z laguny lawirując ostrożnie pośród raf, a potem posterowaliśmy na pełne morze, ogarnęła mnie melancholia. Podmuchy wiatru przenikała jeszcze miła woń lądu. Wyspa Tahiti leży bardzo daleko i wiedziałem, że nigdy jej już nie zobaczę. Jeden rozdział mego życia został zamknięty i poczułem się trochę bliżej nieuniknionej śmierci.

W jakiś miesiąc później znalazłem się w Londynie. Gdy załatwiłem parę pilnych spraw, przyszło mi na myśl, że pani Strickland chciałaby może usłyszeć to, co dowiedziałem się o ostatnich latach jej męża, i napisałem do niej. Ostatni raz widziałem ją na długo przed wojną; musiałem więc poszukać jej adresu w książce telefonicznej. Wyznaczyła mi spotkanie i poszedłem do schludnego domku na Campden Hill, gdzie obecnie mieszkała. Była to już teraz kobieta bliska sześćdziesiątki, ale nie wyglądała na swoje lata i nikt nie dałby jej więcej niż pięćdziesiąt. Twarz jej, pociągła i mało pomarszczona, należała do tych twarzy, które starzeją się nie tracąc wdzięku, tak iż nasuwała się myśl, że w młodości musiała być o wiele ładniejsza, niż była w istocie. Włosy, nie bardzo jeszcze siwe, były starannie uczesane, a czarna jej suknia miała dość modny krój. Przypomniałem sobie, że słyszałem, iż pani MacAndrew, przeżywszy męża o parę lat zaledwie, zostawiła pani Strickland jakiś spadek. Sądząc po wyglądzie domu i schludnej pokojówce, która otworzyła mi drzwi, uznałem, że musiała to być suma wystarczająca, by zapewnić wdowie życie w skromnym komforcie.

W bawialni zastałem panią Strickland z jakimś gościem, a gdy przekonałem się, kim on jest, domyśliłem się, że zostałem zaproszony na tę godzinę zupełnie celowo. Gość nazywał się Van Busche Taylor i był Amerykaninem; pani Strickland udzieliła mi na jego temat informacji z czarującym usprawiedliwiającym uśmiechem, skierowanym do niego.

— Widzi pan, my, Anglicy, jesteśmy takimi strasznymi ignorantami. Pozwoli pan, że udzielię wyjaśnienia — zwróciła się do mnie: — Pan Van Busche Taylor jest wybitnym krytykiem amerykańskim. Jeśli pan nie czytał jego książki, wykształcenie pańskie jest haniebnie zaniedbane i musi pan to natychmiast naprawić. Teraz pan Van Busche pisze coś o drogim Karolu i przyszedł zapytać, czy mogłabym mu służyć pomocą.

Pan Van Busche Taylor był szczupłym mężczyzną z dużą, łąsą głową, kościstą i świecąca. Jego żółta, pobrużdżona twarz wydawała

się bardzo mała pod ogromnym sklepieniem czaszki. Był spokojny i niezwykle uprzejmy. Mówił akcentem mieszkańców Nowej Anglii, a zachowanie jego cechowało takie opanowanie i chłód, że zadałem sobie pytanie, dlaczego interesuje się Karolem Stricklandem. Ubawił mnie trochę czuły ton, jakim pani Strickland wymówiła imię męża. Podczas gdy tych dwoje rozmawiało, rozglądałem się po pokoju, w którym siedzieliśmy. Pani Strickland zmieniła z biegiem czasu gust. Znikły morrisowskie tapety, skromne kretony i reprodukcje Arundela, które ozdabiały ściany jadalni na Ashley Gardens. Pokój olśniewał fantastycznymi kolorami; zastanawiałem się, czy pani Strickland wie, że te różnorakie barwy, które narzuciła jej moda, są wynikiem marzeń biednego malarza z wyspy na południowym morzu. Sama dała mi na to odpowiedź.

— Jakież to cudowne poduszki! — odezwał się pan Van Busche Taylor.

— Podobają się panu? — odrzekła z uśmiechem. — To Bakst.

Na ścianach dzięki przedsiębiorczości jakiegoś handlarza obrazów z Berlina wisiały kolorowe reprodukcje kilku najlepszych płócien Stricklanda.

— Przygląda się pan moim obrazom — rzekła idąc za moim wzrokiem. — Naturalnie oryginały są dla mnie niedostępne, ale to pociecha mieć choć te. Wydawca sam mi przysłał te reprodukcje. Są mi dużą osłoda.

— Musi być miło mieć je stale przed oczyma — powiedział pan Van Busche Taylor.

— Tak. Są ogromnie dekoracyjne.

— To jedno z moich najgłębszych przekonań — oświadczył pan Van Busche Taylor — że wielka sztuka jest zawsze dekoracyjna.

Oczy ich spoczęły na postaci nagiej kobiety karmiącej niemowlę, klęcząca obok niej dziewczyna podawała kwiat obojętnemu na to dziecku. Chuda, pomarszczona jędra przyglądała się tej grupie. Była to Święta Rodzina w wersji Stricklanda. Podejrzałem, że do postaci tego obrazu pozowali Stricklandowi mieszkańcy chaty położonej w górach nad Taravao; kobieta i

niemowlę to byli Ata i jego pierwszy syn. Zapytywałem siebie, czy pani Strickland domyśla się tego.

Rozmowa toczyła się dalej. Podziwiałem takt, z jakim pan Van Busche Taylor unikał wszystkiego, co mogłoby być choć w najmniejszym stopniu kłopotliwe, i zręczność pani Strickland, która nie wypowiadając słowa nieprawdy, insynuowała, że jej stosunki z mężem były zawsze doskonałe. Wreszcie pan Van Busche Taylor podniósł się z miejsca, by się pożegnać. Ściskając rękę gospodyni, wygłosił uprzejme, choć może zbyt wyszukane przemówienie, wyrażając jej podziękowanie, i opuścił pokój.

— Mam nadzieję, że nie zdudził pana — powiedziała, kiedy drzwi zamknęły się za nim. — Oczywiście, że to czasami nużące, ale czuję, że trzeba dawać ludziom informacje, jakich mogę udzielić na temat Karola. To jednak pewna odpowiedzialność, gdy się było żoną geniusza.

Patrzała na mnie swymi łagodnymi oczami, które pozostały równie szczerze i współczujące jak przed przeszło dwudziestu laty. Zastanawiałem się, czy sztydzi ze mnie.

— Zwinęła pani naturalnie swoje przedsiębiorstwo? — rzekłem.

— O, tak — odparła lekko. — Prowadziłam je więcej dla rozrywki niż z innych powodów i dzieci namówiły mnie, by je odprzedać. Uważały, że narażam zdrowie.

Spostrzegłem, iż pani Strickland zapomniała już, że kiedykolwiek zajmowała się czymś tak hańbiącym jak zarabianie na życie. Posiadała prawdziwy instynkt przyzwoitej kobiety, uważając, że wypada żyć jedynie za cudze pieniądze.

— Dzieci są tutaj — powiedziała. — Sądziłam, że będą chciały usłyszeć, co pan może im opowiedzieć o ich ojcu. Pamięta pan Roberta, prawda? Miło mi oznajmić panu, że został przedstawiony do wojskowego krzyża zasługi.

Podeszła do drzwi i zawołała dzieci. Do pokoju wszedł wysoki mężczyzna w mundurze koloru khaki i pastorskim kołnierzyku, przystojny, lecz nieco ciężki, o szczerych oczach, które zapamiętałem z okresu, gdy był chłopcem. Za nim ukazała się siostra. Musiała być chyba w tym wieku co jej matka, kiedy zobaczyłem ją

po raz pierwszy, i była do niej bardzo podobna. I ona sprawiała wrażenie, że jako młoda dziewczyna musiała być ładniejsza, niż istotnie była.

— Pewnie ich pan zupełnie nie pamięta — powiedziała pani Strickland uśmiechając się z dumą. — Moja córka nazywa się teraz pani Ronaldson. Jej mąż jest majorem artylerii.

— To oficer wysoko ceniący honor munduru — powiedziała wesoło pani Ronaldson. — Dlatego jest tylko majorem.

Przypomniałem sobie moje dawne przewidywanie, że poślubi ona wojskowego. Było to nieuniknione. Miała wszelkie zalety żony oficera. Była miła i uprzejma, ale z trudem ukrywała wewnętrzne przekonanie, że nie jest taka jak inni ludzie. Robert był w świetnym humorze.

— To łut szczęścia, że jestem w Londynie, kiedy pan tu właśnie niespodziewanie zawitał — powiedział. — Mam tylko trzy dni urlopu.

— Umiera z pragnienia powrotu do pułku — wtrąciła matka.

— No, nie wstydzę się przyznać, że mi na froncie wyjątkowo dobrze. Mam wielu szczerych przyjaciół. To pierwszorzędne życie. Oczywiście wojna jest straszna, i tak dalej. Ale wyzwala w człowieku najlepsze wartości; trudno temu zaprzeczyć.

Opowiedziałem im wszystko, czego dowiedziałem się na Tahiti o Karolu Stricklandzie. Nie uważałem za potrzebne wspominać o Acie i jej synu, ale poza tym starałem się być jak najbardziej dokładny. Opisawszy jego okropną śmierć umilkłem. Przez parę chwil milczeliśmy. Potem Robert Strickland potarł zapałkę i zapalił papierosa.

— Młyny boże miał wolno, ale dokładnie — powiedział nieco uroczystym tonem.

Pani Strickland i pani Ronaldson siedziały ze spuszczoneymi oczami, a twarze ich miały wyraz nabożny, co dowodziło nieomyślnie, że ich zdaniem był to cytat z Pisma świętego. Nie byłem pewny,

czy Robert Strickland nie podziela ich złudzeń. Nie wiem, dlaczego pomyślałem nagle o synu Stricklanda i Aty. Opowiadano mi, że to wesoły, beztroski chłopak. Oczyma wyobraźni ujrzałem go na szkunerze, na którym pracował, przyodzianego jedynie w płócienne portki. A w nocy, gdy statek sunie gładko, pędzony lekką bryzą, gdy marynarze zbierają się na górnym pokładzie, a kapitan i intendent, rozwaleni na leżakach, kurzą fajki, wyobraziłem go sobie tańczącego z drugim chłopcem, tańczącego w zawrotnym tempie przy chrapliwych dźwiękach koncertyny. A w górze granatowe niebo i gwiazdy, wokoło zaś bezmiar Pacyfiku.

Na wargi cisnęło mi się zdanie z Biblii, ale ugryzłem się w język, wiedziałem bowiem, że duchowni uważają to za pewnego rodzaju bluźnierstwo, gdy laicy wkraczają w ich dziedzinę. Mój stryj Henryk, przez dwadzieścia siedem lat proboszcz w Whitstable, miał zwyczaj w takich razach mawiać, że szatan może zawsze cytować Pismo święte dla swoich celów. Pamiętał on czasy, gdy można było dostać trzynaście ostryg za szylinga.